

NAGRODA GONCOURTÓW 2012

Jérôme Ferrari

Kazanie
o upadku
Rzymu



+ PAX +

Jérôme **Ferrari**
Kazanie
o upadku
Rzymu

Przełożyła
Catherine Walewicz-Bekka

Instytut Wydawniczy Pax
Warszawa

Mojemu stryjowi, Antoine'owi Vesperiniemu

Dziwisz się, że świat stoi nad grobem?

Powinieneś raczej dziwić się, że dobiegł tak sędziwego wieku. Świat jak człowiek: rodzi się, dorasta i umiera. [...] Człowiek w swej starości znosi rozliczne boleści i na świat, który dobiega kresu, spadają nieszczęścia. [...] Chrystus mówi ci: Ten świat jest stary, odchodzi, niszczeje, dyszy ostatkiem sił, ale ty się nie obawiaj: odnawia się młodość twoja jak orła.

Święty Augustyn, Kazanie 81, 8, grudzień 410

„Jeśli ostali się Rzymianie, Rzym przetrwał”

Fotografia zrobiona latem 1918 roku stała się świadectwem początku i końca. Marcel Antonetti wpatrywał się w nią z uporem przez całe życie. Pragnął zgłębić w ten sposób tajemnicę nieistnienia. Na zdjęciu widać matkę i pięcioro rodzeństwa Marcela. Wokół nich mlecznobiała pościła, tło niewyraźne – ani podłogi, ani ścian, wszyscy unoszą się niczym duchy we mgle, która pewnie wkrótce ich pochłonie i unicestwi. Matka siedzi nieruchomo w żałobnej sukni, w ciemnej chustce na głowie, dłonie położyła płasko na kolanach. Trudno powiedzieć, ile ma lat. Intensywnie wpatruje się w jakiś punkt ponad obiektywem. Otaczający świat – fotograf i jego akcesoria, słoneczne, piękne lato, a nawet własne dzieci zdają się jej zupełnie obojętne. Syn Jean-Baptiste przytula się do niej bojaźliwie. Ma na sobie beret z pomponem i za ciasne marynarskie ubranko. Trzy starsze córki stoją rzędem za plecami matki, wyprostowane, sztywne i wystrojone. Miejsce na pierwszym planie zajęła najmłodsza, Jeanne-Marie, bosa, źle ubrana, z opadającymi na twarz czarnymi, potarganymi włosami. Za każdym razem, kiedy Marcel napotyka wzrok matki na fotografii, jest pewien, że szuka wzrokiem spojrzenia nienarodzonego syna, którego wtedy jeszcze nie знаła. Zdjęcie zostało zrobione w upalny letni dzień 1918 roku na szkolnym podwórku, gdzie przejezdny fotograf rozwiesił białe płótno. Dzięki tej fotografii Marcel może teraz kontemplować spektakl własnej nieobecności. Wszystkie osoby, które widzi, otoczą go wkrótce troską, a może nawet miłością, ale w tej właśnie chwili nikt o nim nie myśli, nikomu go nie brakuje. Wyciągnęli z szafy nigdy nienoszone, przesiąknięte zapachem naftaliny świąteczne ubrania. Jeanne-Marie ma tylko cztery lata i nie dostała jeszcze żadnej nowej sukienki ani trzewików, więc musieli ją pocieszać, a potem wszyscy razem wyruszyli w stronę szkoły. Szczęśliwi, że coś się dzieje, że coś wyrwie ich na chwilę z monotonii wojennych lat. Szkolne podwórko wypełniło się po brzegi. Tego lata żar lał się z nieba. Fotograf pstrykał zdjęcia kobiet i dzieci, kalek, starców i księży przez cały dzień. Matka Marcela i jego bracia i siostry cierpliwie czekali w upale, aż przyjdzie ich kolej, a potem ustawili się przed obiektywem, znajdując w tym chwilę wytchnienia. Od czasu do czasu ocierali łzy Jeanne-Marie, która wstydziała się swojej dziurawej sukienki i bosych nóg. Kiedy nadeszła chwila na zrobienie zdjęcia, nie chciała pozować z resztą rodziny, musieli się zgodzić, by stanęła z przodu sama, kryjąc twarz pod potarganymi włosami. Marcela jeszcze wtedy z nimi nie było. A potem to on kolejno ich wszystkich pochował. I on swoim upartym, wiernym spojrzeniem pozwala im istnieć. A przecież kiedy wstrzymywali oddech, słysząc dźwięk migawki, nawet o nim nie myśleli. I nie wiedzieli, że tylko jego spojrzenie obroni ich kiedyś przed nicością. Nienawidzi tego zdjęcia, zawsze go nienawidził. Ale starannie przechowuje je w szufladzie i regularnie wyjmuje. Wie, że jeśli któregoś dnia zlekceważy ten rytuał i nie spojrzy na zdjęcie, nic po nich nie zostanie, zamienią się w nic nieznaczące, czarno-szare, nieruchome plamy, a Jeanne-Marie na zawsze przestanie być czteroletnią dziewczynką. Czasami patrzy na nich ze złością, ma ochotę wygarnąć im, że tego nie przewidzieli i nie okazują wdzięczności. Ale w oczach matki dostrzega, że ona go widzi. Być może ujrzała go w głębi otchłani, która więzi jeszcze nienarodzone dzieci, i czeka na niego. Bo matka ze zdjęcia rozpaczliwie poszukuje kogoś wzrokiem. Patrzy w daleki punkt i oczekuje kogoś, kto powinien stanąć obok. Jego nieobecność na zdjęciu jest równie oślepiająca jak słońce tego lata osiemnastego roku. Można by pomyśleć, że zdjęcie zostało zrobione tylko po to, by dać namacalne świadectwo pustki, jaką ten ktoś po sobie zostawił, i by zachować jej ślad. Już w pierwszych chwilach wojny, po potyczkach w Ardenach, ojciec Marcela został zesłany na roboty do kopalni soli na Dolnym Śląsku. Co dwa miesiące wysyłał list, pisany za niego przez kolegę. Dzieci czytały go głośno

i tłumaczyły matce. Listy szły długo, obawiali się, że któregoś dnia nieznane pismo przyniesie im tylko echo, bo ojca nie będzie już na świecie. Ale nie umarł i w lutym 1919, zanim jeszcze Marcel ujrzał światło dzienne, wrócił do wioski. Miał spalone brwi, paznokcie u dłoni wyżarte kwasem, a na popękanych ustach białe plamy martwej skóry, których nigdy się nie pozbył. Nie poznał własnych dzieci. Żona nic się nie zmieniła, bo nigdy nie była młoda ani świeża. Przytulił ją do siebie. Marcel nie mógł zrozumieć, co zbliżyło do siebie ich wysuszone, zmęczone ciała, jak zrodziło się w nich wzajemne pożądanie. Nie był to przecież zwierzęcy instynkt. Może po prostu Marcel potrzebował ich uścisków, by wydostać się z otchłani nicości, gdzie od tak dawna czekał, by móc się narodzić. Może to w odpowiedzi na jego milczące wołanie przypelzli tej nocy jedno do drugiego, po cichutku i nie zapalając światła, by nie obudzić Jean-Baptiste'a i Jeanne-Marie. Dzieci udawały, że śpią, leżały bez ruchu na materacu w kącie pokoju. Ich serca biły jak oszalałe wobec tajemnicy trzeszczącego łóżka i ochrypłych westchnień. Rozumiały je, ale nie potrafiły nazwać, oszołomione ogromem niewiadomej, która tak blisko nich łączyła w sobie gwałtowność i intymność, podczas gdy ich rodzice z rozpaczliwym wysiłkiem nacierali na siebie, drążąc i czerpiąc ostatnie krople z wyschniętych z powodu smutku, żałoby i soli źródeł własnych ciał. Pragnęli wydobyć z łądzwi choć odrobinę cieczy, flegmy, wilgoci, płynu, który daje życie. Chociażby jedną kroplę. I włożyli w to tyle wysiłku, że ta jedyna kropla wytrysnęła i skondensowała się, tworząc życie, mimo że sami byli ledwie żywi. Marcel zawsze wyobrażał sobie, a nawet się tego obawiał, że był niechcianym dzieckiem, wynikiem nieodgadnionej kosmicznej konieczności, która kazała mu dojrzewać w wysuszonym i wrogim brzuchu matki, podczas gdy wokół zrywał się cuchnący wiatr niosący od morza opary śmiertelnej grypy, wymiałał miasteczka i rzucał do wykopanych pospiesznie rowów dziesiątki tych, którzy przeżyli wojnę. Nic nie mogło zatrzymać niosącego śmierć wiatru, był jak jadowita mucha, która wylęgała się w czaszce trupa. Pewnego ranka wyfrunęła z otchłani pustych oczodołów i rozprzestrzeniła po świecie truciznę, żywiąc się ludzkim życiem. Jej cień pograżał w ciemnościach całe doliny. Unicestwiła ją włócznia Archanioła, ale potem Archanioł powrócił do swego niebieskiego domostwa i stał się głuchy na modlitwy i procesje. Odwrócił się od słabych, umierających, starców, dzieci, ciężarnych kobiet. Mimo to matka Marcela cierpliwie czekała, niezłomna i smutna. Wiatr, który nieustannie wiał wokół, ominął jej domostwo. Ucichł na kilka tygodni przed narodzinami Marcela. Nad polami pełnymi chwastów i cierni, nad kamiennymi obracającymi się w gruzu murami, nad pustymi, owczarniami i nad grobami zapanowała cisza. Kiedy Marcela wyjęto z matczyego brzucha, przez kilka długich chwil spoczywał bezgłośnie i nieruchomo, a potem wydobył z siebie krótki, słaby krzyk. Jego leciutki oddech nie pozostawiał po sobie najmniejszego śladu na lusterku. Rodzice od razu kazali ochrzcić niemowlę. Usiedli obok kołyski, patrząc na syna z nostalgią, jakby musieli się z nim zaraz na zawsze żegnać. Patrzyli tak na niego przez całe dzieciństwo. Przy najmniejszej gorączce, mdłościach, ataku kaszlu czuwali nad nim, jakby za chwilę miał umrzeć, a każde wyzdrowienie witali jak cud, który pewnie już nigdy się nie powtórzy, bo nic na świecie nie wyczerpuje się tak szybko jak nieprawdopodobne boskie miłosierdzie. Ale Marcel nie przestawał zdrowieć i żył, równie uparty co delikatny. W skąpej ciemności matczyego łona nauczył się w wyczerpującej walce o przeżycie skutecznie wykorzystywać wszystkie siły. Stał się niezwycięzony. Czart krążył wokół niego nieustannie, rodzice obawiali się, że kiedyś go porwie. Ale Marcel wiedział, że bies może powalić go bez sił na łóżko, wycieńczyć bólem głowy i biegunką, ale nigdy go nie zwycięży. Nawet jeśli zamieszka w jego ciele, rozjątrzy wrzody i każe mu płuć krwią. Przez cały rok nie chodził do szkoły, ale licha nie dało mu rady. Zawsze się podnosił, chociaż czuł w żołądku pazur czyhający, by rozszarpać od wewnątrz jego delikatne wnętrze. Takie właśnie życie było mu dane, wiecznie zagrożone, lecz nieustannie triumfujące. Oszczędzał siły, nie wzruszał się ani nie zachwycał. Nie zadrżało mu serce, kiedy rozentuzjasmowana Jeanne-Marie przybiegła po niego z krzykiem: Marcel,

chodź, zobacz, przy fontannie jakiś pan lata w powietrzu. Nie drgnęła mu powieka, kiedy ujrzał pierwszego w miasteczku cyklistę, który pędził z zawrotną szybkością, a poły jego marynarki unosiły się niczym skrzydła żurawia. Bez najmniejszego wzruszenia patrzył na wstającego o świcie ojca, który szedł uprawiać nieswoją ziemię i doglądać nieswojej trzody. W tym czasie powstawały wszędzie pomniki nieznanego żołnierza, przedstawiające odlane w brązie postacie kobiet, do złudzenia przypominające jego własną matkę. Majestatycznym i zdecydowanym gestem popychały do przodu dziecko, które postanowiły poświęcić dla ojczyzny. Obok padający w boju żołnierze z ustami otwartymi w krzyku, ostatnim gestem wznoszący ku niebu chorągwie. Przelana krew i złożenie ofiary z życia nie wystarczyły. Nieistniejący już świat żądał haraczu z symboli i groził, że bez nich nie odejdzie i nie ustąpi miejsca nowemu światu. Ale nic nie następowało, świat znikał, a żaden inny nie przybywał w jego miejsce. Pozbawieni świata, osieroceni ludzie kontynuowali komedię następujących po sobie generacji i śmierci. Starsze siostry Marcela powychodziły za mąż. Na weselu, w upalnym, morderczym słońcu jedli czerstwe pączki, popijali je ciekawym winem i zmuszali się do uśmiechu. Chyba rzeczywiście czegoś się spodziewali, wierzyli, że kobiety, rodząc dzieci, przyczynią się do stworzenia nowego świata. Ale nic się nie wydarzyło. Upływający czas przynosił tylko monotonne następowanie po sobie tych samych pór roku, nad którymi wisiało przekleństwo trwania. Niebo, góry i morze nieruchomiały w otchłaniach spojrzeń bydła, których chude cielska, pokryte kurzem lub błotem, włóczyły się nad brzegami rzek. We wszystkich domach lustra odbijały te same spojrzenia, te same czeluście wydrążone w woskowych twarzach. Kiedy nastawała noc, Marcel związał się w łóżku w kłębek i czuł, jak serce kurczy mu się w śmiertelnej trwodze. Wiedział, że ta głęboka, nasyciona ciszą czerń nie jest naturalnym i chwilowym przedłużeniem dnia, lecz przerażającym, fundamentalnym stanem, w jaki zapada ziemia po wyczerpującym dwunastogodzinnym wysiłku i przed którym nikt nigdy nie umknie. Świt przynosił tylko chwilową ulgę. Marcel wychodził do szkoły, zatrzymując się czasami po drodze, by zwymiotować krwią. Obiecywał sobie, że nic nie powie matce, bo natychmiast położyłaby go do łóżka, a sama modliłaby się, klęcząc przy nim i przykładając mu gorące kompresy do brzucha. Nie chciał, by czyhające licho odebrało mu jedyną rzecz, która dawała mu radość. Szkoła, nauczyciel, kolorowe mapy i stateczność historii, lekcje o wynalazcach i uczonych, o dzieciach uratowanych przed wściekłą, o królach i następcach tronów. Wszystko to, co pozwalało mu wierzyć, że za morskim horyzontem istnieje inny, pulsujący życiem świat, w którym egzystencja ludzi jest czymś więcej niż ciągiem rozpacz i cierpienia. Świat, który inspiruje do marzeń, z którego nikt nie szuka ucieczki. Do tego nowego świata po drugiej stronie morza w 1926 roku wyjechał Jean-Baptiste. Skłamał, mówiąc, ile ma lat, bo chciał, się zaciągnąć. A potem zapomniał o morzu i tak jak setki innych młodych chłopaków, którzy uciekli wraz z nim, odkrył, do czego może być podobny świat. Zrezygnowani i cierpiący z powodu rozstania rodzice nie znaleźli żadnego powodu, by zatrzymać synów. Siedząc przy stole obok Jeanne-Marie, Marcel jadł z zamkniętymi oczami i marzył, że wraz z bratem podróżuje po morzach i oceanach, uciekając przed pirackimi dżonkami, lub że spaceruje po pogańskich, rozśpiewanych, zadymionych i krzykliwych miastach. Albo wędruje wśród wonnych lasów, gdzie dzikie zwierzęta i okrutni tubylcy z szacunkiem i trwogą spoglądają na jego brata, widząc w nim niezwykłego anioła, niszczyciela plag, który przybył, by zbawić ludzkość. Na religii bez słowa wysłuchiwał kłamstw katechety. Dobrze wiedział, co to jest apokalipsa. Zrozumiał, że kiedy następuje koniec świata, niebo się nie otwiera, nie przybywają jeźdźcy, nie słychać głosu trąb, nie pojawiają się straszliwe bestie. Nastaje jedynie cisza, tak głęboka, że można by pomyśleć, że nic się nie wydarzyło. Tak, nic się nie wydarzyło. Lata płynęły niczym piasek i nic nie nastąpiło. Nic rozpościerało nad wszystkim potęgę swego zaślepionego, śmiertelnego i bezlitosnego królestwa, o którym nikt nie potrafił powiedzieć, kiedy się zaczęło. Świat zniknął w chwili, kiedy zrobiono zdjęcie, latem 1918 roku, i stało się ono świadectwem

początku, ale też i końca. Świat zniknął, ale nikt nie zdał sobie z tego sprawy. Enigmatyczna i przerażająca nieobecność świata została utwierdzona tego dnia za pomocą kryształków halogenków srebra na światłoczułym papierze. Potem Marcel kontemplował ją przez całe życie, wypatrując jej śladów w przydymieniu na brzegach kadru, w twarzach matki, brata i sióstr, w obrażonej minie Jeanne-Marie, w ich mało znaczącej, biednej ludzkiej obecności. Ziemia rozstępowała się pod ich stopami, a oni niczym duchy zawiśli w abstrakcyjnej i nieokreślonej przestrzeni, bez celu ni zamiaru. Nawet ich wzajemna miłość okazała się bezsilna wobec nicości świata i nie zdołała ich przed nią wybawić. Prawdę mówiąc, nikt nie wie, czym są światy ani od czego zależy ich istnienie. Być może gdzieś w kosmosie ktoś zapisał tajemnicze prawo stanowiące o ich genezie, rozwoju i końcu. Ale jedno jest pewne: aby nowy świat mógł się narodzić, stary musi umrzeć. Czas, jaki dzieli dwa następujące po sobie światy, może być nieskończenie krótki lub tak długi, że ludzie muszą nauczyć się żyć przez lata wśród lamentu, by w końcu przekonać się, że nie podołali i że w zasadzie nic nie przeżyli. Uważny obserwator z pewnością dostrzeże ledwo zauważalne znaki zwiastujące, że czyjś świat znika. Końca nie zwiastuje świst pocisków rozpruwających niziny Północy, lecz zwykłe otwarcie migawki, niezauważalne w wibrującym świetle lata. Albo szczupła, spracowana dłoń kobiety, która w samym środku nocy zamyka cichutko drzwi, zostawiając za nimi coś, co nigdy nie powinno być jej życiem. Albo kwadratowy żagiel mknący po błękitnych wodach Morza Śródziemnego, niosący z Rzymu do Hippony niewiarygodną wieść, że ostali się ludzie, ale ich świata już nie ma.

„Bracia, nie obawiajcie się kary Bożej”

W samym środku nocy, bezszelestnie, mimo że i tak nikt nie mógł jej usłyszeć, Hayet zamknęła za sobą drzwi małego mieszkania nad barem, w którym pracowała jako kelnerka. Mieszkała tu od ośmiu lat. A teraz wyszła, by nigdy już tu nie wrócić. Koło dziesiątej rano po skończonym polowaniu zjechali myśliwi. Jeszcze odurzone pościgiem i zapachem krwi psy tłoczyły się z tyłu pickupa, merdając ogonami, skomląc i szczekając histerycznie. Mężczyźni, równie podekscytowani i zadowoleni z siebie, odpowiadali im stekiem przekleństw i złorzeczeń. Potężne cielsko Virgila Ordioniego trzęsło się od powstrzymywanego rechotu, kiedy koledzy gratulowali mu, klepiąc go po ramieniu. To on zabił trzy z pięciu upolowanych tego ranka dzików. Virgil śmiał się i czerwił skromnie, podczas gdy Vincent Leandri użalał się sam nad sobą. Mierzył z zaledwie trzydziestu metrów do wielkiego samca i skompromitował się, bo chybił. Jęczał teraz, że do niczego już się nie nadaje i właściwie uczestniczy w polowaniach tylko po to, by na zakończenie czegoś się napić z chłopakami. I wtedy ktoś krzyknął, że bar zamknięty. Hayet zawsze była punktualna i niezawodna jak gwiazdy na niebie, więc Vincent natychmiast pomyślał, że zdarzyło się jakieś nieszczęście. Wbiegł po schodach i zapukał do drzwi jej mieszkania, najpierw delikatnie, a potem łomocząc i krzycząc, co okazało się równie próżnym wysiłkiem:

– Hayet! Hayet! Coś się stało? Odpowiedz, proszę!

Po czym oznajmił, że wyważy drzwi. Ktoś powiedział, żeby się uspokoił. Hayet miała z pewnością jakąś pilną sprawę do załatwienia. Wprawdzie trudno było wyobrazić sobie, co w niedzielę rano, na samym początku jesieni, mogłoby być aż tak pilne, że usprawiedliwiłoby zamknięcie baru, ale któż to wie? Hayet na pewno zaraz wróci. Nie wracała, a Vincent nadal powtarzał, że zaraz wywali drzwi. Nie dawali sobie z nim rady, więc zgodnie zdecydowali, że najrozsądniej będzie pójść do Marie-Angèle Susini i powiadomić ją, że kelnerka nie stawiała się dziś rano w pracy. Sytuacja wyglądała na tak nieprawdopodobną, że Marie-Angèle popatrzyła na nich z niedowierzaniem. Zaczęła nawet podejrzewać, że są już nieźle pijani i chcą zabawić się jej kosztem, ale poza Virgilem, który bezsensownie chichotał, wszyscy inni wyglądali na skonanych, zupełnie trzeźwych i zaniepokojonych. Spojrzawszy na głęboko poruszonego Vincenta Leandriego, Marie-Angèle wzięła zapasowe klucze do baru i do mieszkania i poszła z mężczyznami. Coraz bardziej przejęta, weszła na piętro i otworzyła mieszkanie Hayet. Ujrzała starannie, do ostatniego ziarenka kurzu wysprzątane wnętrze. Krany błyszcząły czystością, szafy i szuflady świeciły pustką, na łóżku leżała świeżo wyprasowana pościel, a po Hayet nie pozostało najmniejszego śladu. Żadnego zgubionego pod meblem kolczyka, żadnej spinki zapomnianej w kącie łazienki, żadnego papierka, włoska, nic. Zaskoczona Marie-Angèle wciągnęła w nozdrza zapach środków czyszczących – jedyny, jaki dało się wyczuć. Można by pomyśleć, że nigdy nie żyła tu żadna ludzka istota. Zdumiona Marie-Angèle nadal rozglądała się po opustoszałym wnętrzu. Nie wierzyła własnym oczom. Nie docierało do niej, że Hayet po prostu odeszła, bez słowa pożegnania. Ale zrozumiała, że kelnerka już nigdy nie wróci. Usłyszała, jak ktoś powiedział:

– Chyba powinniśmy zadzwonić po gliny.

Pokręciła przecząco głową i nikt nie nalegał. Dla wszystkich stało się jasne, że nocą, o bliżej nieokreślonej godzinie, rozegrała się tu milcząca tragedia. Tragedia zagubionego samotnego człowieka, któremu inni ludzie nic już nie mogli pomóc. Zamilkli na chwilę i wtedy ktoś rzekł nieśmiało:

– Ponieważ i tak już tu jesteś, Marie-Angèle, może otworzyłabyś bar, żebyśmy mogli się napić.

Marie-Angèle w milczeniu skinęła głową. Wśród myśliwych rozległ się pomruk zadowolenia. Virgil roześmiał się gromko i wszyscy skierowali się w stronę baru. W słońcu ujadły i skomlały psy. Vincent Leandri wyszeptał:

– Jesteście wszyscy bandą pieprzonych pijusów.

I ruszył za innymi w stronę baru. Za kontuarem Marie-Angèle powróciła do znanych jej gestów, o których wolałaby zapomnieć. Z gracją operowała kieliszkami i wiaderkami z lodem, notując w pamięci, w kolejności i bez najmniejszej pomyłki, zamawiane w zawrotnym tempie, rubasznymi i coraz mniej pewnymi siebie głosami, napoje. Jednocześnie przysłuchiwała się rozmowom bez ładu i składu, powtarzanym po raz setny w różnych wariantach historii. Na przykład jak to Virgil Ordioni nigdy nie omieszka wykroić z dymiących jeszcze wnętrzości martwego dzika cienkich plasterków wątroby, które zjada surowe i jeszcze ciepłe, zachowując przy tym spokój prahistorycznego człowieka. Nic sobie nie robił z rozlegających się wokół okrzyków odrazy, tylko wspominał głośno własnego ojca, który zawsze mu, biedny, powtarzał, że dla zdrowia nie ma nic lepszego niż surowa wątroba dopiero co upolowanego zwierzęcia. W barze znowu zabrzmiały okrzyki obrzydzenia. Pięści uderzały w pokryty cynkową blachą, zachlapany pastisem kontuar. Śmieli się i mówili, że Virgil to zwierzę, ale doskonały myśliwy. Jedyne Vincent Leandri, siedząc samotnie w kącie, wpatrywał się w swój kieliszek wzrokiem pełnym rozpacz. Czas mijał. Marie-Angèle rozumiała, że nie zdoła wrócić do pracy, która wydawała jej się teraz jeszcze mniej znośna niż kiedykolwiek. Przez lata zdała się we wszystkim na Hayet, pozostawiając jej wolną rękę w zarządzaniu barem i ufając jak własnej córce. Na samą myśl, że nawet nie przyszła się pożegnać, zabolowało ją serce. Mogła chociaż napisać kilka słów, które świadczyłyby o tym, że coś się tutaj wydarzyło, coś miało znaczenie. Ale tego właśnie Hayet nie mogła zrobić. Ona nie tylko chciała stąd odejść. Pragnęła również zatrzeć wszelkie ślady swojej tu obecności, spędzonych w tym miejscu lat, i zachować tylko swoje piękne, przedwcześnie zniszczone dłonie. A może nawet i ręce wolałaby sobie uciąć i zostawić. Świadczył o tym sposób, w jaki wszystko po sobie posprzątała – maniacko, z jakimś szaleństwem, jakby chciała zedrzeć do żywego warstwę swojej tu obecności i wierzyła, że siłą woli można usunąć z własnego życia lata, których się żałuje. Nawet jeśli oznacza to również zatarcie śladów po tych, którzy nas kochali. Marie-Angèle świetnie to rozumiała. I wypełniając kolejne kieliszki pastisem¹ tak szczerze, że nie było już w nich miejsca na wodę, łudziła się, że Hayet, niezależnie od tego, gdzie się znajduje ani w jakim kierunku podąża, jest szczęśliwa. Lub przynajmniej wolna. Marie-Angèle rozbudziła w sobie wszelkie zasoby miłości, by błogosławić ją i pozwolić jej odejść, nie żywiąc urazy. A Hayet oddalała się, obojętna na niełaskę i na błogosławieństwa, nie domyślając się nawet, że jej zniknięcie zachwiało światem, o którym już nie myślała. Marie-Angèle postanowiła zamknąć knajpę. Nikt nigdy jej nie zmusi, by znosiła odrażający widok żółtawej cieczy w brudnych kieliszkach, anyżkowy smród oddechów, a w czasie niekończącej się zimy – dzikie okrzyki wydawane przez graczy w belotkę. Na samo wspomnienie robiło jej się niedobrze. Albo ciągle kłótnie i wiecznie powtarzający się rytuał nigdy niespełnionych gróźb, po których zawsze następowały łzawe przeprosiny. Wiedziała, że nie podoła. Chyba że zanim zatrudni nową kelnerkę, Virginie, jej córka, zgodziłaby się stanąć za barem. Ale tak się nie stanie. Virginie nigdy w życiu nie zrobiła nic, co choć w najmniejszym stopniu przypominałoby pracę. Na zawsze oddała się zgłębianiu nieskończenie wielu odmian beczynności i nonszalancji. Jedyne, czego pragnęła, to pójść za głosem swego powołania i osiągnąć w nim doskonałość. Chociaż nawet gdyby jakimś cudem okazała się tytanem pracy, to i tak jej wiecznie zły humor i naburmuszona mina udzielnej księżnej czyniły ją niezdolną do wykonania jakiegokolwiek zadania, szczególnie jeśli wymagało ono utrzymywania regularnych kontaktów z innymi istotami ludzkimi, również tak

¹ Pastis pije się zazwyczaj rozcieńczony zimną wodą w proporcjach 1 do 5.

nieokrzesanymi jak stali bywalcy baru. Marie-Angèle wiedziała, że na córkę nie ma co liczyć. Mogłaby wprawdzie poszukać nowej kelnerki, ale nie czuła się na siłach, by znowu zachowywać się jak szefowa. Nie chciało jej się pilnować godzin otwarcia i każdego wieczoru sprawdzać kasę, nie chciało jej się grać komedii autorytetu i podejrzliwości, która dzięki Hayet od dawna stała się niepotrzebna. A przede wszystkim nie miała ochoty przyznać, że nawet Hayet jest osobą do zastąpienia. Spojrzała na kuśtykającego, oddalającego się w kierunku toalety Virgila Ordioniego i zrezygnowana pomyślała o smutnym losie czekającym nieskazitelnie czystą deskę klozetową, nie mówiąc o podłodze i ścianach. Oczyma wyobraźni ujrzała siebie spędzającą wszystkie niedzielne popołudnia z gąbką w dłoni i przeklinającą w duchu tę bandę dzikusów. Postanowiła bezzwłocznie zamieścić ogłoszenie i oddać bar w dzierżawę.

Tego wieczoru Gavina Pintus opowiedziała swemu synowi Libero, co słychać u jego sióstr i braci, jak również u niezliczonej chmary siostrzeńców i bratanków, zapytała go, jak zwykle to robić każdego wieczoru, czy dobrze się czuje w Paryżu, a tuż przed odłożeniem słuchawki oznajmiła, że kelnerka baru w tajemnicy opuściła miasteczko. Libero powtórzył wiadomość Matthieu Antonettiemu, który odpowiedział na to roztargnionym mruknięciem. Powrócili do pracy, szybko zapominając o fakcie, który bądź co bądź zapoczątkował ich nową egzystencję. Znali się od dziecka, lecz nie od zawsze. Matthieu miał osiem lat, kiedy zaniepokojona jego skłonnością do medytacji i charakterem samotnika matka zdecydowała, że jest mu potrzebny przyjaciel. Było to w czasie wakacji, które spędzali w miasteczku. Spryskawszy syna wodą kolońską, wzięła go za rękę i zaprowadziła do Pintusów, których najmłodszy chłopiec był właśnie w jego wieku. Dom był olbrzymi, z poprzyklepianymi wokół niczym narosłe różnorodnymi przybudówkami z nieotynkowanych pustaków, które nadawały mu wygląd nieustannie rosnącego, wędrującego organizmu o nieokiełznanej sile życiowej. Wzdłuż fasady zwisały druty elektryczne z pustymi oprawkami po żarówkach, na podwórku wały się węże, taczki, dachówki, worki z cementem i liczne bliżej niezdefiniowane przedmioty, cierpliwie oczekujące dnia, kiedy będą mogły się komuś przydać. Wśród tego rozgardiaszu wylegiwały się w słońcu psy. Gavina Pintus cerowała marynarkę, z trudem utrzymując na małym, rozkładanym krzeselku, zdeformowane jedenastoma ciężami ciało. Na murku za jej plecami siedział Libero i obserwował trójkę wymazanych smarem braci, którzy wymontowywali silnik z rozklekotanego samochodu. Kiedy zobaczył zbliżającego się, ciągniętego energicznie przez matkę Matthieu, Libero, nie zmieniając pozycji, przyjrzał mu się bez uśmiechu. Wtedy Matthieu zaczął się jeszcze bardziej opierać, tak że ramię Claudie Antonetti coraz trudniej dawało sobie radę z balastem. Musiała się zatrzymać, a on po kilku sekundach wybuchł płaczem. Nie pozostawało jej więc nic innego, jak wrócić do domu, wytrzeć mu nos i zbesztać go. Pobiegł przytulić się do starszej siostry, Aurelie, która zawsze, z całą dziecięcą powagą, darzyła go matczyną troską. Późnym popołudniem Libero zapukał do drzwi i Matthieu zgodził się pójść z nim do miasteczka. Szli przez chaos sekretnych przejść, źródeł i uliczek wśród fantastycznych owadów. Wszystko to zaczęło powoli układać się w uporządkowaną przestrzeń, aż w końcu z chaosu powstał świat, który już nie przerażał Matthieu, lecz go zafascynował. Im był starszy, tym okropniejsze sceny urządzał rodzicom przed powrotem z wakacji. Claudie zaczęła żałować, że sama popchnęła syna na drogę życia wśród innych, nie przewidziawszy wszelkich tego konsekwencji. Matthieu przez cały rok żył w oczekiwaniu na lato. W wieku lat trzynastu zrozumiał, że jego egoistyczni rodzice nie mają najmniejszego zamiaru opuszczać Paryża i na stałe zamieszkać w miasteczku. Zaczął więc ich męczyć, by wysyłali go tam również na ferie zimowe. A kiedy odmówili, zrobił im karczemną scenę i rozpoczął kabotyńską głodówkę. Post trwał zbyt krótko, by zaważyć na jego zdrowiu, lecz wystarczająco długo, by doprowadzić rodziców do rozpacz. Jacques i Claudie Antonetti ze smutkiem przyznali się sami przed sobą, że spłodzili okropnego gnojka, ale to przykre stwierdzenie w żaden sposób nie pomogło im w rozwiązaniu problemu. Państwo Antonetti byli ciotecznym rodzeństwem. Kiedy urodziwszy dziecko, Marcelowi zmarła żona, a on uznał, że sam nie zdoła zająć się noworodkiem, uczynił to, co zwykł robić przez całe życie – poprosił o pomoc starszą siostrę. Jeanne-Marie natychmiast i bez słowa przygarnęła dziecko i wychowała je tak, jak wychowywała własną córkę Claudie. Dorastali zatem razem i kiedy odkryto ich związek, w rodzinie zapanowało pełne oburzenia osłupienie. A oni publicznie oświadczyli, że zamierzają się pobrać. Tak długo twardo obstawali przy

swoim, aż odbył się ślub. Zaszczyciło go swoją obecnością zaledwie kilka osób, dla których ta ceremonia i tak nie była świadectwem triumfu miłości, lecz zepsucia i kazirodztwa. Wraz z narodzinami Aurelie, która wbrew wszelkim oczekiwaniom okazała się idealnie zdrowym dzidziusiem, rodzinne niesnaski nieco się uspokoiły. Przyjście na świat Matthieu przyjęto już jako coś zwykłego. Dość szybko okazało się, że Marcel nigdy nie potrafił sprzeciwić się synowi ani synowej, za to całą swoją niechęć przeniósł na wnuki. Wprawdzie z czasem wbrew samemu sobie przywiązał się do Aurelie w sposób graniczący ze starczym bałwochwalstwem, ale za to nieustannie nękał wnuka. Jego złośliwość w stosunku do chłopca graniczyła z nienawiścią, mimo że podobne uczucie wobec dziecka wydawało się wszystkim nieprawdopodobne. Przecież to nie ono przyczyniło się do powstania obrzydliwego związku, z którego się narodziło. Kiedy przyjeżdżali latem, Claudie widziała wrogie spojrzenia, jakimi teść obdarzał jej syna, zauważyła, że za każdym razem, gdy Matthieu zbliżał się, by go pocałować, Marcel odsuwał się ostentacyjnie i nigdy nie tracił okazji do podstępnych uwag przy stole na temat zachowania chłopca, jego niechlujstwa i głupoty. Jacques z przykrością spuszczał oczy, a Claudie dwadzieścia razy dziennie powstrzymywała się, by nie zwymyślać starca, do którego i tak straciła cały sentyment. Kiedy Matthieu zaczął się spotykać z Libero, Marcel zachował się ohydnie, cedząc między zębami:

– Nie dziwi mnie, że zadurzył się w Sardyńczyku.

Claudie nie rzekła słowa.

– Mógłby przynajmniej nie przyprowadzać go do domu.

Nie powiedziała nic ani wtedy, ani później. I tak przez całe lata. Aż do chwili, kiedy na kilka tygodni przed wakacjami Matthieu, jak co roku, przysłał dziadkowi kartkę z życzeniami urodzinowymi.

Wszystkiego dobrego z okazji urodzin. Twój kochający wnuk, Matthieu.

Zupełnie niewinna, okolicznościowa kartka, na którą Marcel odpowiedział w dwóch zdaniach:

Mój chłopcze, niedługo skończysz trzynaście lat, więc powinieneś oszczędzić mi czytania podobnych głupot, nieodpowiednich dla mojego sędziwego wieku, z których ty też powinieneś już dawno wyrosnąć. Jeśli masz mi coś do powiedzenia, pisz, jeśli nie, daruj sobie.

Claudie przechwyciła list i sięgnęła po telefon, drżąc z wściekłości.

– Jesteś starym kretyńcem, wujku, i z pewnością zdechniesz jako kretyn. W oczekiwaniu na tę chwilę nigdy już nie zwracaj się w ten sposób do mojego syna.

Marcel zdążył się rozpląkać w telefon, zanim Claudie odłożyła słuchawkę. Złorzeczyła losowi, który okrutnie i niesprawiedliwie pozbawił ją rodziców, a pozwolił żyć temu nieznośnemu, wiecznie umierającemu ramolowi. Dzwonił do nich w środku nocy z najmniejszym katarem lub kiedy poczuł się choćby odrobinę gorzej, i niestrudzenie opowiadał o podstępnym wrzodzie żołądka, który od siedemdziesięciu lat powoli go zabija. A tak naprawdę miał żelazne zdrowie. I za wszelką cenę chciał zniszczyć dorosłe życie syna, którego w dzieciństwie całkowicie zaniedbał. Claudie w słodkich marzeniach widziała siebie wsiadającą do samolotu, by osobiście udać się do miasteczka i udusić teścia poduszką lub jeszcze lepiej gołymi rękami. Musiała jednak zrezygnować z mściwych zamiarów i stwierdzić, że nigdy już nie powierzy Matthieu temu człowiekowi. Ale nie mogła też oznajmić dziecku, że spędzi wakacje w Paryżu, i to tylko dlatego, że dziadek po prostu go nienawidzi. Wtedy zatelefonowała Gavina Pintus i rozwiązała problem: w mieszaninie korsykańsko-sardyńskiego dialektu rodem z Barbagii oznajmiła, że z radością i kiedy tylko Matthieu będzie chciał, przyjmie go u siebie. Claudie miała chęć odmówić, chociażby dlatego, by nauczyć syna, że szantaż uczuciowy nie popłaca. W dodatku podejrzewała, że to on, za pośrednictwem Libero, sprowokował tę nadarzającą się w samą porę propozycję. Zgodziła się, gdy zrozumiała, że teraz ona będzie mogła wywierać szantaż na synu. Nie

omieszkała korzystać z tej broni, grożąc pozbawieniem go wakacji, gdy dostawał słabsze stopnie lub próbował się buntować. Potem latami gratulowała sobie, że ma tak grzecznego, pracowitego i posłusznego chłopca, twierdząc że najlepszą metodą wychowawczą jest szantaż.

Istniały dwa światy. Może było ich więcej, ale dla niego istniały tylko dwa. Całkowicie rozdzielne, nie graniczące z sobą, zbudowane według różnych hierarchii. Ten, który był mu mniej znany, chciał uczynić swoim. Odkrył bowiem, że jego prawdziwym ja jest ta część duszy, której dotąd nie znał. Pragnął ją zgłębić i zaakceptować. Kiedyś, jeszcze zanim się narodził, pozbawiono go tej części, przez co skazano na obce, oddalone od prawdziwego istnienia, a wręcz przypominające jego parodię, życie. Z obrzydzeniem myślał o swojej codziennej egzystencji i chciał o niej zapomnieć, pozwalając na przykład, by zimny, górski wiatr chłostał go po twarzy, kiedy wraz z Libero siedzieli z tyłu wozu terenowego, a Sauveur Pintus wiózł ich po wyboistej drodze do owczarni. Mathieu miał wtedy szesnaście lat i wszystkie zimowe ferie spędzał w miasteczku, wśród gmatwaniny rodzeństwa Pintus, gdzie czuł się równie dobrze jak zapalony etnolog. Starszy brat Libero zaproponował, że zabierze ich ze sobą na cały dzień do owczarni. Kiedy dotarli na miejsce, Virgil Ordioni właśnie kastrował w zagrodzie młode knury. Wabił je jedzeniem, wydając przy tym z siebie modulowane chrumkanie, które jego zdaniem w uszach każdego wieprza brzmiało przyjemnie. Kiedy któryś z nich, oczarowany melodią, a może po prostu ulegając żarłoczności, zbliżył się nieostroźnie, Virgil skakał na niego i powalał na ziemię niczym worek kartofli. Chwytając za tylne kopyta, przekręcał zwierzę na plecy i siadał mu okrakiem na brzuchu, ściskając je przy tym z całych sił swymi potężnymi udami. Podstępnie zwabiony knur wydawał z siebie przerażające wycie, przeczuwając z pewnością, co się święci. Virgil nacinał nożem mosznę, pewnym gestem zagłębiał palce w otworze, wyciągał z niego pierwsze jądro i odcinał je od wiązadła. To samo robił z drugim i oba lądowały w wielkiej, w połowie wypełnionej misce. Uwolniony wieprz natychmiast po, operacji ze stoicyzmem, który zawsze robił na Matthieu wrażenie, powracał jakby nigdy nic do jedzenia wśród innych obojętnych na rozgrywający się dramat kabanów, a wszystkie jeden po drugim przechodziły przez zręczne ręce Virgila. Mathieu i Libero, oparci łokciami o barierkę, podziwiali spektakl. Sauveur wyszedł z owczarni i zbliżył się do nich.

– Nigdy przedtem czegoś takiego nie widziałeś, co, Matthieu?

Mathieu pokręcił przecząco głową, na co Sauveur parsknął śmiechem.

– Virgil jest w tym dobry. Wie, jak zabrać się do rzeczy. Robi to bez zarzutu.

Mathieu nie zamierzał nic nikomu zarzucać, szczególnie że w zagrodzie działo się akurat coś interesującego. Virgil, siedząc okrakiem na świniaku, któremu właśnie otworzył mosznę, zaklął i zaskoczony odwrócił się w stronę Sauveura. Ten zapytał, co się stało.

– Ma tylko jedno jajo! Jedno jedyne! To drugie nie weszło!

Sauveur wzruszył obojętnie ramionami.

– Zdarza się!

Ale Virgil nie dał za wygraną, odciął jedno jądro i na nowo wszczął badanie pustej moszny. W pewnej chwili wrzasnął:

– Jest! Jest! Czuję je!

Nie przestawał kląć, gdyż świniak, który bardzo drogo płacił za swoje opóźnione dojrzewanie seksualne, rozpaczliwie starał się umknąć oprawcy, wyginając się na wszystkie strony. Wokół unosiły się tumany kurzu, a kwik zwierzęcia przypominał człowieczy krzyk. Virgil zrezygnował. Wieprz, z nieprzyjazną miną i na drżących nogach, podniósł się i uciekł w kąt zagrody. Jego długie, pokryte czarnymi łatami uszy opadały mu na oczy.

– Umrze? – zapytał Matthieu.

Virgil podszedł do nich z miską pod ramieniem, otarł sobie pot z czoła i powiedział ze śmiechem:

– Ależ skąd, nie umrze. Tapnęło nim trochę, ale świniaki to odporne bestie, nie umierają ot tak.

I ciągle się śmiejąc, zapytał:

– No to co, chłopaki? Zjemy coś?

Matthieu zrozumiał, że posiłek znajduje się w misce, a ponieważ ten świat stał się już jego światem, starał się ukryć, jak bardzo jest zaskoczony. Wprawdzie nie poznał jeszcze wszystkich tajemnic swego prawdziwego świata, ale zrozumiał, że każda nowość, nawet ta najbardziej odpychająca, powinna stać się dla niego czymś oczywistym i zwykłym. Przyzwyczajenie na ogół pociąga za sobą monotonię, ale tym razem Matthieu, delektując się pieczonymi przy ognisku świńskimi jajami, odczuwał rozkosz. Nad mężczyznami i nad bielutką kapliczką Świętej Dziewicy, jedynej towarzyszką samotnych pasterzy, chmury pędziły w stronę gór. U stóp kaplicy Sauveur i Virgil zapalali czasami w hołdzie Maryi szkarłatne świece. Już dawno temu wiatr rozwiął prochy po dłoniach, które wzniosły tę świątynkę, ale ślady ich istnienia pozostały. Trochę wyżej, wzdłuż stromej skarpy, znajdowały się zniszczone czerwone mury. Trudno było je dostrzec na tle granitowej skały w tym samym kolorze, z której się wyłoniły. Góry zniszczyły i pochłonęły je powoli, pokrywając osuwającymi się kamieniami i ostami, jakby chciały okazać im swoją czułość, a nie potęgę. Przy ognisku Sauveur podgrzewał w rondelku ohydną kawę. Matthieu, popijając gorącą lurę, przysłuchiwał się, jak gawędzi z Virgilem i z bratem w języku, którego on nie rozumiał. Wiedział, że rozmawiają w ojczystej mowie. Wyobrażał sobie, że wszystko rozumie, a przecież ich słowa miały dla niego taki sam sens jak huk niewidocznych odmętów rzeki, płynącej na dnie przepaści i rozdzierającej skalne wzgórze niczym głęboka rana, niczym bruzda nakreślona przez palec Boży u zarania dziejów. Po posiłku poszli za Virgilem do szopy, gdzie suszyły się sery, a on otworzył tam stary, olbrzymi kufer, wypełniony nieprawdopodobną zbieraniną staroci: sfatygowanych, zardzewiałych wędzideł i strzemion, wojskowych skórzanych butów w najróżniejszych rozmiarach, tak zeszywniałych ze starości, że wyglądały jak odlane w brązie. Virgil pokazał im zawinięty w szmaty wojenny karabin i różne kawałki złomu. Matthieu ze zdumieniem dowiedział się, że to pistolety maszynowe Sten. W czasie wojny zrzucono ich tyle, że do dzisiaj znajdowano podobne w korsykańskiej makii. Od sześćdziesięciu lat czekały w zaroślach, by ktoś je znalazł. Virgil ze śmiechem opowiadał o swoim ojcu działającym w ruchu oporu. Ojciec stał się postrachem Włochów w czasach, kiedy Ribeddu² i jego ludzie przemykali się tędy w nocnej ciszy, nasłuchując odgłosu silników samolotowych. Zaszuchany Matthieu marzył, by stać się takim samym bohaterem. Virgil stuknął go w ramię.

– No to chodźcie, postrzelamy sobie.

Sprawdził broń, wziął naboje. Wszyscy usiedli na skale nad przepaścią, strzelając kolejno w stronę góry po drugiej stronie. Echo strzałów oddalało się i ginęło w lesie Vaddi Mali. Znad morza, od strony doliny, wznosiła się mgła. Matthieu trząśł się z zimna. Kolba strzelby posiniaczyła mu ramię. Czuł się absolutnie szczęśliwy.

² Pseudonim Dominique'a Lucchiniego, komunisty, szefa partyzantów działających w górach Alta Rocca.

Odejście Hayet, wbrew wszelkim oczekiwaniom, zapoczątkowało całą serię nieszczęść, które spadały na miasteczkowy bar niczym boskie plagi na Egipt. Początkowo wszystko zapowiadało się świetnie: zaledwie Marie-Angèle Susini ogłosiła publicznie chęć oddania baru w dzierżawę, natychmiast pojawił się kandydat. Był nim trzydziestoletni mężczyzna, pochodzący z małego nadbrzeżnego miasta. Pracował tam długo jako kelner i barman w lokalach, które bez wahania określał jako renomowane. Entuzjazm wręcz go rozsadzał. Jego zdaniem bar Marie-Angèle krył w sobie niezwykle potencjał komercyjny, który wkrótce się zrealizuje. Oczywiście o ile sprytny menadżer będzie umiał go wykorzystać. Mówiąc to, nie chciał w żaden sposób urazić Marie-Angèle, ale dotychczas tak się nie stało. Nie każdy musi być ambitny, ale jeśli o niego chodzi, ambicji mu nie brakuje, a nawet ma jej bardzo dużo i nie zamierza poprzestać tylko na tym, co tu zastał. Nie wystarczy mu miejscowa klientela. Przecież nie można robić biznesu w całym tego słowa znaczeniu tylko i wyłącznie w środowisku graczy w belotkę i miejscowych pijaczków. Należy przyciągnąć młodzież i turystów. No i wpuścić tu trochę świeżego powietrza, zakupić system nagłośnieniowy, zaproponować proste dania.

Zamierzał zresztą przystosować ku temu kuchnię. I sprowadzić didżejów z kontynentu. On wie, co to znaczy nocne życie, zna to środowisko jak własną kieszeń. Spacerował w tę i z powrotem po barze, wskazując palcem, co jego zdaniem bezapelacyjnie należałoby zmienić, począwszy od mebli w oplakany stan. Kiedy Marie-Angèle oznajmiła, że zważywszy na wysokość przewidywanych obrotów, życzyłaby sobie dwanaście tysięcy euro rocznie tytułem dzierżawy i komornego, wznosił ramiona do nieba, wykrzykując, że to prawie darmo. I że Marie-Angèle wpadnie w osłupienie, kiedy ujrzy metamorfozę tego miejsca, którą on sam spowoduje i której osobiście dopilnuje. Dwanaście tysięcy euro to błahostka. Krępuje go wręcz przyjęcie takiego prezentu, ma wrażenie, że ją okrada. Wyjaśnił przy tym, że zamierza zainwestować cały swój kapitał w niecierpiące zwłoki prace. Pierwszą połowę czynszu zapłaci za sześć miesięcy, a po roku nie tylko ureguluje resztę, ale również następny rok z góry. Marie-Angèle uznała propozycję za uczciwą i nawet nie chciała słuchać starającego się przemówić jej do rozsądku Vincenta Leandriego, który dowiedział się gdzieś, że facet jest znanym obibokiem, a jego doświadczenie zawodowe ogranicza się do roboty sezonowej w plażowych budkach z frytkami. Początkowo wydawało się, że Vincent niepotrzebnie był aż tak nieufny. Zapowiedziane prace doszły do skutku. Zaplecze zostało przebudowane na kuchnię, meble wymienione, dostarczono sprzęt hi-fi, kolumny, odtwarzacze, wspinały stół do bilardu francuskiego, a w przeddzień otwarcia nad wejściem zawieszono szyld świetlny. Widniała na nim migocząca twarz Che Guevary, a w komiksowym dymku wychodzącym z ust wodza ukazywał się neonowy niebieski napis:

El Commandante Bar, Sound, food, lounge.

W czasie wieczornej inauguracji miejscowi bywalcy zostali przywitani agresywną muzyką techno. Nie słyszeli nawet własnych wrzasków w czasie partyjki belotki. Ze zdziwieniem stwierdzili, że ze względu na standard lokalu nie podawano już tu pastisu. Zamiast niego szef proponował niezwykle drogie koktajle. Konsumowali je, wykrzywiając się z niesmakiem. Zamówienie następnej kolejki okazało się niemożliwe, szef zabawił się bowiem z bandą przyjaciół, którzy wyżłopali kilka litrów wódki, a potem, porozbierani do połowy, zaczęli tańczyć na kontuarze baru. Nie minęło wiele czasu, a przyjaciele zarządcy stali się jedynymi

stałymi klientami knajpy, której godziny otwarcia ograniczyły się do ścisłego minimum. Cały dzień było zamknięte. Koło osiemnastej dręczący rytm techno zapowiadał początek aperitif. Obce samochody parkowały byle jak, aż do jedenastej w nocy rozlegały się krzyki i śmiechy, a potem cała banda, łącznie z zarządcą, jechała do pobliskiego miasta. Muzyka rozbrzmiewała na nowo koło czwartej nad ranem, kiedy wracali z dyskoteki. Skazani na bezsenność okoliczni mieszkańcy często widywali zza rolet zarządcę, wkraczającego do baru w towarzystwie panienek o przerażającym wyglądem i zamykającego drzwi na klucz. Po miasteczku rozeszła się plotka, że francuski bilard został zakupiony jedynie po to, by na jego gładkiej powierzchni nowy zarządca mógł zaspokoić swoją zwierzęcą chęć. Upłynęły trzy miesiące. Marie-Angèle złożyła najemcy wizytę, by zapytać go, w jaki sposób zamierza zapłacić pierwszą ratę. Oświadczył, że nie ma powodu do niepokoju. Mimo to postanowiła odwiedzić go powtórnie, tym razem w towarzystwie Vincenta Leandriego, który zażądał wglądu do księgi rozchodów i przychodów i uprzedził, że jeśli jego ciekawość nie zostanie natychmiast zaspokojona, będzie zmuszony użyć ekstremalnych środków. Menadżer próbował lawirować, ale w końcu przyznał się, że nie posiada żadnych ksiąg, że co wieczór wybiera z kasy wszystko, co zarobił, i wydaje całą sumę w mieście. Ale na pewno odkuje się wiosną, kiedy zaczną przyjeżdżać pierwsi turyści. Vincent westchnął.

– Jeśli w przyszłym tygodniu nie zapłacisz wszystkiego, co jesteś winien, wybije ci wszystkie zęby.

Reakcja menadżera była niepozbawiona godności.

– Nie mam złamanego grosza. Zero. Myślę, że będziesz zmuszony pozbawić mnie uzębienia.

Marie-Angèle powstrzymała Vincenta. Starła się znaleźć satysfakcjonujące wszystkich rozwiązanie, co okazało się niemożliwe, jako że nowemu zarządcy brakowało pieniędzy nie tylko na dzierżawę, ale również na opłacenie zaopatrzeniowców, a wszelkie prace zostały wykonane na kredyt. Vincent zaciskał pięści, a Marie-Angèle ciągnęła go za sobą na zewnątrz, powtarzając, że nie warto. Może i nie było warto, ale Vincent odwrócił się, chwycił karafkę i rozbił ją na głowie menadżera, który osunął się z jękiem na posadzkę. Vincent dyszał ze złości.

– To dla zasady, do jasnej cholery, dla zasady!

Marie-Angèle zmuszona więc była zrezygnować z dochodu i spłacić nieswoje długi. Postanowiła na przyszłość ostrożniej dokonywać wyborów. Ale piekło wybrukowane jest takimi właśnie postanowieniami. Bar został oddany w dzierżawę uroczej młodej parze, której małżeńskie awantury zamieniły to miejsce w *no man's land*. Dniem i nocą unosił się stąd brzęk roztrzaskanego o podłogę szkła, krzyki i niezwykle ordynarne wyzwiska, po których następowały namiętne, równie bogate w decybele przeprosiny. Wniosek nasuwał się sam. Para, tak w furii, jak i w ekstazie, dysponowała niespożyтыми zasobami wulgarności, tak że zgorzone matki musiały zabronić swemu niewinnemu potomstwu zbliżać się do tego miejsca rozpusty. Młode małżeństwo zostało więc zastąpione przez damę o szacownym wieku i wyglądzie, która spędzała całe dni na ruganiu klienteli i na ustalaniu fantazyjnych, zmieniających się zgodnie z jej kaprysami barowych cen. Najwyraźniej chciała pogrzebać ten interes, co udało jej się w rekordowym tempie. Zrozpaczona Marie-Angèle ze strachem czekała na lato, obawiając się, że sytuacja zmusi ją, by przejąć sprawy w swoje ręce i uniknąć tym samym niepowetowanych strat. Ale w czerwcu, kiedy zrezygnowana już chciała zabrać się do pracy, złożono jej propozycję, która ją szalenie uradowała. Przybyli z kontynentu. Przez piętnaście lat prowadzili rodzinny bar w okolicach Strasburga, a teraz pragnęli osiedlić się w łagodniejszym klimacie. Bernard Gratas i jego małżonka mieli trójkę brzydkich, lecz dobrze wychowanych dzieci w wieku od dwunastu do osiemnastu lat. Towarzyszyła im obłożnie chora, zramolała babcia, której niedołężność budziła w Marie-Angèle zaufanie. Potrzebowała stabilności, a państwo Gratas zdawali się jej uosobieniem. Kiedy wyjaśniła im,

że wskutek nieprzyjemnych doświadczeń, na temat których wolała się nie rozwodzić, pragnie, aby zapłacili jej z góry, Bernard Gratas natychmiast wypisał czek, i bank w cudowny sposób go nie odrzucił. Marie-Angèle powierzyła im więc klucze do baru i do mieszkania, a nawet z trudem powstrzymała się, by ich nie uściskać. Babcię zainstalowano przy kominku. Gratasowie stosownie przechrzcili bar na Myśliwski. Nazwa ta wprawdzie nie grzeszyła oryginalnością, ale świadczyła o chęci zachowania tradycji. Z czasem zniechęceni ostatnio dawni bywalcy powrócili do swoich dawnych przyzwyczajzeń, porannej kawy, partyjki kart podczas aperitif i długich dyskusji w czasie pogodnych letnich nocy. Jedyne, co zachwycona Marie-Angèle miała sobie za złe, to że za późno zrozumiała swój błąd. Nigdy i za żadną cenę nie powinna była powierzać baru ziomkom. Gdyby wcześniej choć przez chwilę się zastanowiła, od razu by szukała dzierżawców wśród kandydatów przybyłych z kontynentu. Sukces małżonków Gratas wyraźnie to potwierdził. Byli ludźmi prostymi i pracowitymi, twardo stąpającymi po ziemi, co z nawiązką kompensowało ich brak fantazji. Ale tego właśnie od początku było jej potrzeba. Ani przez chwilę nie wątpiła, że w końcu ludzie przyzwyczajają się do Gratasów, mimo że na razie mieszkańcy miasteczka, o specyficznym poczuciu gościnności, nie nazywali ich inaczej niż „Galowie” i odzywali się do nich jedynie po to, by złożyć zamówienie. Wkrótce wszystko się ułoży. Poza tym im bardziej rozkwitało lato, atmosfera w barze stawała się może jeszcze nie przyjacielska, ale na pewno coraz bardziej luźna. Zaczęto zapraszać Bernarda Gratas do belotki, a któregoś dnia Vincent Leandri zdecydował się nawet uścisnąć mu dłoń. Pozostali klienci wkrótce poszli w jego ślady i w barze szybko zapanowała harmonia, o jakiej Marie-Angèle zawsze marzyła. Z tego też powodu nie zwróciła uwagi na sygnały, które powinny były ją zaniepokoić. Gratas nie ograniczał się do serwowania kolejek, sam coraz rzadziej je omijał i popijał z innymi. Nie chciał odmawiać. Zaczął nie zapinać dwóch, a potem trzech guzików u wciętych w pasie koszuli. Wokół jego przegubu niespodziewanie pojawiła się złota bransoletka, a ukoronowaniem wszystkiego okazał się zakup skórzanej marynarki i elektrycznej maszynki do golenia. Dla znajdujących się na rzeczy nie mogło to wróżyć nic dobrego.

Kiedy na początku lipca Matthieu i Libero, z dyplomami w kieszeniach, przybyli do miasteczka, w Bernardzie Gratasie nie dokonała się jeszcze zewnętrzna metamorfoza, będąca objawem nieodwracalnego przewrotu wewnętrznego. Stał ze ścierką w ręku za barem obok czuwającej nad kasą żony. Sztywny i poważny, zdawał się całkowicie uodporniony na jakąkolwiek formę zmiany, co Libero podsumował jednym treściwym zdaniem:

– Wygląda na prawdziwego palanta.

Ale ani on, ani Matthieu nie zamierzali nawiązywać przyjacielskich stosunków z Gratasami. Byli zwyczajnie szczęśliwi, że są na wakacjach. Nie mieli ochoty nad niczym się zastanawiać. Zaczęli hulać. Co wieczór poznawali nowe dziewczyny. Proponowali im kąpiele w świetle księżyca, a czasami przywozili je potem do miasteczka. Odwozili je nad ranem i przy okazji zatrzymywali się na kawę w porcie. Z promów wysypywał się na nabrzeże ogromny ładunek żywego towaru. Pełno ludzi, szortów, japonek. Rozlegały się zachwyczone okrzyki, padały głupawe uwagi. Wszędzie kipiało życie. Przypatrywali się temu kłębowisku z niewypowiedzianym uczuciem wyższości i ulgi, bo oni byli tu u siebie. Zapomnieli, że tak jak wszyscy, we wrześniu będą musieli stąd wyjechać. Matthieu przyzwyczył się już do podróży w tę i z powrotem, ale Libero po raz pierwszy opuścił wyspę na tak długo. Jego rodzice, podobnie jak wielu ich rodaków, wyemigrowali z Barbagii w latach sześćdziesiątych. On sam nigdy nie był na Sardynii, znał ją tylko z opowiadań matki. Uboga ziemia. Stare kobiety w chustkach starannie zawiązanych pod brodą, mężczyźni w skórzanych getrach. Przez kilka generacji włoscy kryminalodzy mierzyli i starannie notowali rozmiary ich kończyn, klatki piersiowej i czaszki, wady układu kostnego, by odszyfrować w ten sposób tajemnicę naturalnej skłonności Sardyńczyków do zbrodni i okrucieństwa. Ziemia zaginiona. Ziemia, z którą Libero nie miał już nic wspólnego. Był najmłodszym z jedenaściorga rodzeństwa. Najstarszy brat, Sauveur, miał prawie dwadzieścia pięć lat więcej niż on. Libero nie doświadczył wyzwisk i nienawiści, z jaką powitano tu sardyńskich imigrantów. Ani niższej płacy, ani pogardy, ani kopniaków, które pijany kierowca szkolnego autobusu rozdawał przechodzącym obok niego dzieciom, wykrzykując:

– W tym kraju są tylko Arabowie i Sardyńczycy!

A potem spoglądał na nich wrogo w lusterku. Wszystko przemija. Sterroryzowane dzieciaki, które z głową schowaną w ramionach zaszywały się gdzieś na końcu autobusu, wyrosły na ludzi, a kierowca umarł i nikt nawet nie splunie na jego grób. Libero czuł się tu u siebie. Nie tylko skończył szkołę, ale okazał się szczególnie zdolnym uczniem. Po maturze dostał się do wszystkich wyższych uczelni, do których złożył papiery. Słyszając to, matka prawie rozplakała się z radości, mimo że nawet nie miała pojęcia, jakie studia wybrał. I chciała go udusić, przyciskając do obfitej, nabrzmiałej wzniesieniem i dumą piersi. Libero wybrał studia w Bastii. Przez dwa lata w każdy poniedziałek któreś z rodzeństwa wstawało w środku nocy, by odwieźć go na autobus do Porto Vecchio. Matthieu w Paryżu nękał rodziców, by zgodzili się na jego studia również w Bastii. Skłonni byli to zaakceptować, ale na przeszkodzie stanęły mierne rezultaty Matthieu w nauce. Zapisał się więc w Paryżu na fakultet filozofii, jedynej dziedziny, w jakiej odnosił sukcesy. Zrezygnowany jeździł każdego ranka metrem aż do Porte de Clignancourt, do ohydnych kompleksów budynków, w których mieściła się uczelnia. Przekonany, że chwilowo znalazł się w obcym świecie, który stanowi w jego życiu tylko nawias, nie zaprzyjaźnił się tam z nikim. Wydawało mu się, że obraca się wśród zjaw, z którymi nic go nie łączy. Ponadto wszyscy byli nieznośnie aroganccy, jakby fakt, że przyszło im studiować filozofię, dawał im przywilej rozumienia istoty świata, w

którym zwykli śmiertelnicy po prostu próbowali żyć. Udało mu się zbliżyć do jednej z koleżanek, Judith Haller. Przygotowywali się razem do egzaminów, a czasami szli do kina lub napić się czegoś wieczorem. Judith była nadzwyczaj inteligentna i wesoła. Jej bardzo przeciętna uroda nie odstraszała Matthieu, ale okazał się niezdolny do nawiązania jakiegokolwiek związku uczuciowego. A już na pewno nie tu, w Paryżu. Wiedział, że kiedyś stąd wyjedzie, i nie chciał nikogo oszukiwać. Tak więc, w imię niepewnej i mglistej przyszłości, pozbawił się terażniejszości, co w sumie często w życiu się zdarza. Któregoś wieczoru zasiedzieli się w barze na placu Bastylli i Matthieu przegapił ostatnie metro. Judith zaproponowała, by został u niej na noc, co zrobił, wysławszy uprzednio esemesa do matki. Judith mieszkała w XII dzielnicy, w obdrapanej słuźbówce na szóstym piętrze pięknej kamienicy. Zgasiła światło, włączyła cichą muzykę i położyła się na łóżku, nie zdejmując majtek ani T-shirta. Odwróciła twarz w stronę okna. Kiedy ubrany Matthieu położył się obok niej, przekreśliła głowę w jego stronę. W ciemności widział jej błyszczące oczy. Wydawało mu się, że cała drży i że się do niego uśmiecha. Słyszał jej ciężki i głęboki oddech. Wzruszyło go to. Wiedział, że jeśli wyciągnie dłoń, by tylko delikatnie jej dotknąć, coś się wydarzy. Ale nie zrobił tego. Myślał, że już teraz ją opuszcza i zdradza, paraliżowało go poczucie winy. Leżał nieruchomo, patrząc w oczy Judith, do chwili, kiedy jej uśmiech zniknął, bo oboje zasnęli. Myślał o niej jak o jednej z bardzo odległych perspektyw. Czasami, kiedy szli razem na kawę, wyobrażał sobie, że głaszcze ją po policzku. Widział swoją unoszącą się powoli w przezroczystym powietrzu dłoń dotykającą kosmyka jej włosów, a potem gładzącą Judith po twarzy. Czuł jej ciepło, czuł, jak przytula się do jego ręki i opiera się na niej w milczeniu, czuł gorący, pełen miłości ciężar. Ale w głębi serca – tego, które pozostawało w realnym świecie, choć biło jak oszalałe – wiedział, że nigdy nie przeskoczy przepaści dzielącej go od świata, który tylko mógłby być. Gdyby to zrobił, zniszczyłby ten potencjalny świat, który trwał tylko właśnie w ten sposób, na skraju istnienia i nicości. Schwycił go więc w skomplikowaną sieć niespełnionych czynów, pragnień i nienamacalnej cielesności i nie wypuszczał z niej. Wtedy jeszcze nie wiedział, że świat, do którego dąży i który wkrótce sam stworzy i wybierze, legnie w gruzach, a wtedy on powróci do Judith jak do utraconego domu i z żalem stwierdzi, że się okrutnie pomylił w wyborze swego przeznaczenia. Ale na razie to nie Judith była jego przeznaczeniem. Nie chciał, żeby nim się stała. Była doskonałym pretekstem do marzeń, niegroźnym i dobrotliwym. Dzięki niej powolny rytm wpływającego niespostrzeżenie czasu, który tłamsił go i ciągnął krok po kroku za sobą, stawał się szybszy i lżejszy. Matthieu myślał o Judith z wdzięcznością, wydawało mu się, że tylko jej obecność pozwala mu uniknąć czyhającego nań zewsząd lepkiego uścisku wieczności. Minęły dwa lata i pojawiło się pytanie, gdzie Libero zapisze się na licencjat. Matthieu spodziewał się, że przyjedzie kontynuować studia w Paryżu. Wierzył w to tak bardzo, że nawet przez chwilę nie przypuszczał, że może stać się inaczej. Przecież nadzieja nadaje formę rzeczywistości. Przynajmniej od czasu do czasu. Wieść o tym, że Libero postanowił przygotować swój licencjat z literatury w Corte, bardzo go dotknęła. Nie była to jednak decyzja z wyboru. Pintusów nie stać było na wysłanie chłopaka na kontynent. Matthieu nie miał już teraz najmniejszej wątpliwości co do tego, że losami świata kieruje jakieś cyniczne i perwersyjne bóstwo, które zamieniło jego życie w niezasłużone pasmo nieszczęść i goryczy. Pewnie długo jeszcze by tak myślał, gdyby inicjatywa matki nie skłoniła go do zrewidowania tej niebezpiecznej hipotezy. Kiedy z zasępionym czołem, z głową pełną czarnych myśli rozsiadł się pośrodku salonu, by każdy członek rodziny mógł zauważyć, jak bardzo jest nieszczęśliwy, Claudie usiadła obok niego z wyrazem kpiącego współczucia, które już zaczynało go ranić. Ale rana nie zdążyła się pogłębić, bo matka uśmiechnęła się do niego.

– Zaproponujemy Libero, żeby zamieszkał u nas. W pokoju Aurelie. Co o tym myślisz?

Tego lata, zupełnie jak wtedy, gdy miał osiem lat, poszedł z nią do Pintusów. Gavina Pintus siedziała, również jak wtedy, na rozkładanym krzeselku wśród nowego stosu gratów.

Zaprosiła ich do domu na kawę. Usiedli przy olbrzymim, dobrze mu znanym stole. Dołączył do nich Libero. Claudie zaczęła rozmowę. Matthieu słuchał matki mówiącej językiem, którego nie rozumiał, ale o którym wiedział, że jest jego ojczystą mową. Matka wzięła Gavinę Pintus za rękę, a stara Sardynka uparcie kręciła przecząco głową. Claudie pochyliła się ku niej i nadal przekonywała, a Matthieu mógł sobie tylko wyobrazić, co mówiła:

– Przyjęliście naszego syna jak własnego. Teraz na nas pora. Nikt nie robi wam łaski, taka jest kolej rzeczy.

Nie dawała za wygraną, siła perswazji w jej głosie nie słabła, aż wreszcie twarz Libero rozjaśniła się w uśmiechu i Matthieu zrozumiał, że matka uzyskała to, po co tu przyszła.

Droga krzyżowa Bernarda Gratasa przypominała początkowo zabawę. W czasie gdy Matthieu i Libero przygotowywali się do obrony dyplomów w Paryżu, on zaczął organizować na zapleczu baru cotygodniowe partyjki pokera. Niewątpliwie nie wpadł na ten pomysł sam. Pomógł mu w tym pewnie ktoś, kogo nazwisko należy przemilczeć, a kto zrozumiał, że trafił na jelenia, którego największym marzeniem jest dać się jak najszybciej oskubać. Gra w pokera cieszyła się dużym powodzeniem, szczególnie kiedy po okolicy rozeszła się wieść, że Gratas jest graczem godnym pożałowania i nieopatrznym, a w dodatku przeświadczonym, że w pokerze najważniejsze jest szczęście. I że fortuna kołem się toczy. Zaczął palić cygara, co i tak na nic się zdało, podobnie jak ciemne okulary, które nosił teraz dniem i nocą. Tracił pieniądze z fasonem, a na zakończenie elegancko fundował swoim oprawcom kolejkę. Któregoś ranka bez najmniejszego uprzedniego znaku ostrzegawczego zniknęły jego żona, dzieci i teściowa. Marie-Angèle, dowiedziawszy się o tym, poszła go pocieszyć. Znalazła Gratasa w barze, w stanie niezwykłego podniecenia. Potwierdził, że żona odeszła, zabierając ze sobą wszystkie meble. Zostawiła mu tylko, i to z wielkim żalem, materac do spania. Marie-Angèle zamierzała właśnie wypowiedzieć kilka odpowiednich w takiej sytuacji słów, kiedy oznajmił, że nic lepszego nie mogło go spotkać. Pozbył się wreszcie tej megieri, a wraz z nią trzech równie głupawych co niewdzięcznych gówniarzy. Nie mówiąc już o starej, która zanim całkowicie pogrążyła się w demencji, przechodziła samą siebie w znajdowaniu sposobów na uprzykrzenie mu życia. Jej złośliwość nie miała granic. Gratas podejrzewał nawet, że w duchu cieszyła się ze swojej niedołęźności, bo pozwalala jej ona wszystkim bezkarnie zatruwać życie. A że stare mięso jest twarde, na pewno będzie żyła sto lat. Od lat marzył, że może zdarzy się jakiś domowy wypadek albo starą uda się humanitarnie uśmiercić, ale nic nie mówił, ze stoickim spokojem znosił życie, którego nie życzyłby najgorszemu wrogowi. A teraz nadszedł czas, by wreszcie to nadrobić. Gratas z niczego nie zamierza zrezygnować. Wreszcie będzie żył w zgodzie ze swoją prawdziwą osobowością, którą do tej pory, z powodu zmęczenia, odrazy lub tchórzostwa, głęboko ukrywał. Koniec z uległością, nareszcie odetchnie i pożyje. Dzięki Marie-Angèle czuje się wreszcie u siebie, otoczony prawdziwymi przyjaciółmi. Żona może zdechnąć, już go to nie obchodzi, ciężko wypracował sobie prawo bycia egoistą. Nigdy w życiu nie czuł się tak szczęśliwy, nareszcie szczęśliwy, powtarzał z żenującą, ekshibicjonistyczną szczerością, spoglądając na Marie-Angèle wzrokiem pełnym wdzięczności. Z przestraczem pomyślała, że zaraz rzuci jej się w ramiona, bo najwyraźniej taki właśnie miał zamiar, ale w końcu poprzestał na słowie „dziękuję”. Nie zdobył się, by wyznać, że jest jej wdzięczny przede wszystkim za to, że wydała na świat Virginie, z którą od kilku tygodni utrzymywał stosunki, choć to właśnie one uczyniły go wreszcie szczęśliwym mężczyzną. Rzadko kiedy szczęście daje o sobie znać w tak ostentacyjny sposób. Bernard Gratas śmiał się bez przerwy, głośno i z byle czego, rozpierała go energia, biegał między kontuarem a salą bez najmniejszej oznaki zmęczenia. Nie widać było po nim również, że nadużywa alkoholu, mimo że zaczął pić jak szewc. Zanudzał klientów niestosownymi oznakami czułości i przegrywał pieniądze z widoczną przyjemnością. Widok jego euforii miał w sobie coś krępującego, działał na innych niczym symptomem ponizającej i zaraźliwej choroby duszy. Im bardziej Bernard Gratas stawał się uprzejmy i przyjacielski, tym bardziej odsuwano się od niego z niesmakiem. On zaś nawet nie zdawał sobie z tego sprawy, całkowicie zdecydowany na życie w świecie, nad którym jedyną władzę sprawowała iluzja. Ale królestwu złudzeń daleko do ideału. Dzieje się tak z pewnością tylko i wyłącznie dla naszego nieszczęścia. Nawet ktoś taki jak Bernard Gratas przeczuwał, że wszystko to jest nierealne,

mimo że afiszował się ze swym nowym szczęściem z groteskowym i rozpaczliwym uporem. Nocą zaś budził się z sercem bijącym jak oszalałe z trwogi. Aż wreszcie pewnego czerwcowego dnia wszystko zrozumiał. Kilkakrotnie już namawiał Virginie, by z nim zamieszkała. W końcu z pełnym pogardy wzruszeniem ramion powiedziała mu, że postradał zmysły i że ona nie chce już go widzieć. Po czym usiadła przy stoliku na skąpanym w słońcu tarasie i zamówiła zimny napój. Przyniósł go bez słowa. To, przed czym zapamiętałe uciekał, dopadło go i powaliło. Virginie rzuciła mu gniewne spojrzenie i rzekła:

– Nie rób takiej miny. Jesteś śmieszny.

Przez kilka kolejnych dni wykonywał swoje obowiązki całkiem normalnie, zupełnie jakby kierowała nim absurdalna siła bezwładności. Aż do pamiętnego wieczoru, kiedy to w pełnym gości barze wybuchnął płaczem. Tak jak przedtem obnosił się ze swym szczęściem, teraz z bezwstydną prostodusznością publicznie wyjawiał ogrom swego nieszczęścia. Między dwoma szlochami opowiadał głośno o perfekcyjnie pięknym nagim ciele Virginie, o głębi jej nieruchomego spojrzenia obrażonej królowej, kiedy on z zapalem w nią wchodził i powoli wychodził. Nigdy nie udało mu się sprowokować u niej nawet westchnienia, jakby była tylko świadkiem i z największą uwagą przyglądała się scenie, która nie do końca jej dotyczyła. Przypomniawszy sobie ze łzami, że im żarliwiej ją kochał, tym bardziej jej wzrok nieruchomiał i tym bardziej nieubłaganie spoglądała na niego spod długich rzęs, które nawet nie zdrząły z rozkoszy. A on był jednocześnie upokorzony i zafascynowany jej spojrzeniem. Czuł się jak laboratoryjne zwierzę, co nie umniejszało jego podniecenia, wręcz przeciwnie, ogarniała go wtedy iście zwierzęca chuć. Przyznał się do tego między dwoma głośnymi pociągnięciami nosem, a w barze zaczęły rozlegać się pełne dezaprobaty szepty. W końcu ktoś krzyknął, że Gratas powinien wziąć się w garść i zamknąć gębę. Nie mógł zamilknąć, zupełnie pozbył się wstydu, twarz błyszczała mu od łez i smarków, a on informował wszystkich obecnych o precyzyjnych i obleśnych szczegółach. Opowiadał, jak Virginie, nie spuszczać z niego wzroku, kładła dłoń na jego plecach i powoli wiodła palcem wskazującym wzdłuż kręgosłupa. Patrzyła na niego z czymś w rodzaju bolesnej pogardy, a on drżał z trwogi, bo wiedział, że nie opanuje wytrysku. Goście z przerażeniem śledzili wędrówkę nieprzyzwoitego palca wskazującego, odgadując bez trudu jego nieuchronny cel, i zrezygnowani czekali na szczegółowy opis orgazmu Bernarda Gratas. Vincent Leandri podszedł do niego, wymierzył mu dwa siarczyste policzki i pociągnął za ramię do wyjścia. Na asfalcie przed barem Bernard Gratas upadł na kolana. Już nie płakał. Patrzył na Vincenta.

– Wszystko spieprzyłem. Spieprzyłem sobie życie.

Vincent nic nie odpowiedział. Starał się wydobyć z siebie wszelkie zasoby współczucia, do jakiego był zdolny, ale nadal miał ochotę przyłożyć Gratasowi jeszcze raz w gębę. Podał mu chusteczkę.

– Ty też z nią sypiałeś. Wiem o tym. Jak ona mogła mi coś takiego zrobić?

Vincent przykucnął obok niego.

– Jeśli wydawało ci się, że ty i Virginie stanowicie parę, to jesteś ostatnim kretynem. Przestań zwracać ludziom dupę twoimi problemami. Trochę godności.

Bernard Gratas pokiwał głową.

– Spieprzyłem sobie życie.

Libero sam znalazł wystarczająco dużo powodów, by znienawidzić Paryż, Matthieu nawet nie musiał mu w tym pomagać. Każdego wieczoru i każdego ranka zasiadali obok siebie niepokieszeni w przepelnionym wagonie metra linii numer 4. Na ich gorczy nie było lekarstwa, choć u każdego z nich brała się z czego innego. Przyjeżdżając do Paryża, Libero myślał, że należy do nielicznej rzeszy wybranych i że zwyciężywszy w niedostępnych dla zwykłych śmiertelników potyczkach, wkroczy do samego serca wiedzy. Za każdym razem, kiedy siedł głównym hallem Sorbony, odczuwał onieśmienie i dumę, jakby wkraczał do świątyni bogów. Wiedział, że wraz z nim wstępują tu jego matka analfabeta, uprawiający rolę i hodujący owce bracia, zacofani pogańscy przodkowie z Barbaggii, którzy widząc go tutaj, pewnie podskakiwali w grobach z radości. Wierzył w nieśmiertelność rzeczy wiecznych, w ich niepodważalną szlachetność, wypisaną na wysokim frontonie nieskazitelnego nieba. I przestał wierzyć. Profesorem etyki był młody absolwent Ecole Normale³, niezwykle gadatliwy i sympatyczny, który z błyskotliwą, przyprawiającą o mdłości beztruską analizował teksty mistrzów.

Zanudzał przy tym studentów refleksjami o czyhającym na nich absolutnym złe, których nie powstydziliby się pewnie nawet wiejski proboszcz. Popierał wprawdzie swe wywody licznymi przykładami i cytatami, ale nie zdołało to wypełnić ich pustki konceptualnej i zamaskować trywialności. Całe to nieprzyzwoite moralizatorstwo było na wyłącznych usługach jego cynicznej ambicji, a uniwersytet najwyraźniej stał się nieznaczącym, aczkolwiek niezbędnym etapem na drodze ku uświęceniu w programach telewizyjnych, do którego uparcie zdążał. W telewizji wolno mu będzie wreszcie publicznie zmieszać z błotem, przy udziale podobnych mu osobistości, całą filozofię. Zebranemu areopagowi będą towarzyszyć wzruszone spojrzenia zachwyconych i niedouczonego dziennikarzy, dziennikarstwo i handel zastępują bowiem ludziom myślenie. Libero w końcu to zrozumiał. I poczuł się jak człowiek, który po latach niesłychanych wyrzeczeń dorobił się olbrzymiego majątku w walucie, która przestała być w obiegu. Pozostali profesorowie z zimną rzetelnością spełniali swoje nauczycielskie zadanie, ich zachowanie w niczym nie przypominało postawy absolwenta Ecole Normale, za co Libero bardzo ich szanował. Ogromnym podziwem darzył również doktoranta, który w każdy czwartek od osiemnastej do dwudziestej, ubrany w beżowe sztruksowe spodnie i butelkowo zieloną marynarkę ze złotymi guzikami, przypominającą odzież z zasobów Stasi, co świadczyło o jego absolutnej obojętności dla dóbr materialnych, niestrudzenie tłumaczył i komentował księgę Gamma *Metafizyki*. Jego audytorium stanowiła garstka pracowitych i zafascynowanych studentów hellenistyki. Ale atmosfera pobożności panująca w zakurzonej sali C, którą im przydzielono, nie zdołała ukryć ich całkowitego zagubienia. Byli przegrani, nieprzystosowani i wkrótce mieli stać się niezrozumiani. Ocaleli z niewiarygodnej apokalipsy, która zdziesiątkowała szeregi im podobnych i zburzyła świątynie uwielbianych przez nich bogów królujących dotychczas nad światem. Libero kochał swych towarzyszy niedoli. Byli zacnymi ludźmi. Ich wspólna klęska była powodem do chwały. Pragnął żyć wśród nich życiem nie na czasie i nie zważając na nic, całkowicie poświęcić się kultowi sprofanowanych relikwii. Libero nadal wierzył, że jego chwała zapisana jest gdzieś wysoko na niebieskim, nieskazitelnym firmamencie, o którego istnieniu być może nikt nie wie, ale to nie miało znaczenia. Kwestie moralne i polityczne coraz bardziej zarażone zgorzelą, nie zasługiwały na uwagę. Lepiej już schronić się wśród

³ Francuska, prestiżowa uczelnia, jedna z Grandes Ecoles.

pozornie jałowych pustyń metafizyki, w towarzystwie autorów, których imię – co do tego nie było najmniejszej wątpliwości – nigdy nie zostanie splamione dziennikarskim zainteresowaniem. Postanowił napisać pracę magisterską z Augustyna. Matthieu, którego niezawodna przyjaźń często przybierała formę służalczej aprobaty, wybrał Leibniza i bez przekonania pogrążył się w pogmatwanym labiryncie preuporządkowania, gdzie w cieniu niewiarygodnej piramidy hierarchii monad, ustanowionej przez Boga w jednym z możliwych, w nieskończoność powielanych światów, jego dłoń spoczęła wreszcie na twarzy Judith. Libero zaczął analizować cztery kazania o upadku Rzymu z przeświadczeniem, że wstępuje do ruchu oporu. Przeczytał *Państwo Boże*. W miarę jak dni stawały się krótsze, jego nadzieje roztopiały się w ciężko opadającym na mokre chodniki miasta deszczu, który sprawiał, że świat stawał się smutny i brudny. Niebo zsyłało jedynie burzę lub pluchę, a uczestnicy ruchu oporu, z nim samym na czele, przeszli do obozu zwycięzców, zostali więc znienawidzeni. Nie byli wprawdzie łajdakami, lecz błaznami i nieudacznikami. Nauczono ich pisać równie błyskotliwe co bezużyteczne rozprawki i komentarze. Świat potrzebował może jeszcze Augustynów i Leibnizów, ale nic sobie nie robił z ich nędznych egzegetów. Libero patrzył więc z pogardą na siebie i na swych profesorów, widział w nich jedynie niewiele znaczących skrybów i ignorantów. Kolegów i koleżanki, w tym Judith, oceniał równie surowo. Robił wymówki Matthieu, że zadaje się z osobą co najwyżej głupią lub nudną. Gwałtowne napady jego wzgardy nie oszczędzały nikogo, nawet samego Augustyna, którego wręcz nie znosił, od kiedy przekonał siebie, że wreszcie dobrze zrozumiał całą filozofię biskupa z Hippony. Widział w nim teraz nieoświeconego barbarzyńcę, cieszącego się z upadku Imperium, z radością witającego nadejście świata miernoty i triumfujących niewolników, do których przecież sam należał. Jego kazania przepełniała zdaniem Libero mściwa, perwersyjna radość. Stary świat bogów i poetów ginął na oczach filozofa, zalewany plagą chrześcijaństwa niesionego przez odrażającą chmurę ascetów i męczenników, a Augustyn, skrzętnie ukrywając własne zadowolenie, słowami pełnymi hipokryzji, jak każdy kapłan, prawił o mądrości i miłosierdziu. Libero obronił pracę magisterską, ale moralnie wycieńczony nie chciał kontynuować studiów. Dowiedział się, że Bernard Gratas w widowiskowy sposób zakończył proces przeobrażania się w kloszarda, i zrozumiał, że nadarza im się wyjątkowa okazja. W rozmowie z Matthieu stwierdził, że powinni koniecznie przejąć zarządzanie barem. Matthieu podszedł do tego jak najbardziej entuzjastycznie. Kiedy na początku lata przybyli do miasteczka, Bernard Gratas właśnie powiadomił Marie-Angèle, że w związku ze znacznymi i całkowicie niezaskuszonymi stratami w pokerze nie będzie mógł zapłacić za czynsz dzierżawy. Nie pomogły nawet wymierzone mu przez Vincenta Leandriego kolejne razy. Marie-Angèle przyjęła wiadomość ze stoickim spokojem. Straciła już jakąkolwiek nadzieję na poprawę sytuacji. Zastanawiała się, czy zamiast zająć się barem, nie pozwolić Gratasowi popracować do września. Dzięki temu oddałby jej przynajmniej część długu. I właśnie wtedy przybyli Libero i Matthieu i zaproponowali swoje usługi. Bez wahania przyznała, że na pewno poradzą sobie nie gorzej niż poprzednicy. Ale skąd wezmą pieniądze? Miała do nich zaufanie, znała ich przecież od dziecka i wiedziała, że nie zamierzają jej oszukać, ale ona też musi coś jeść i żąda, aby uiszczono pierwszą ratę z góry. Libero dzięki pomocy braci i sióstr zdołał zgromadzić dwa tysiące euro. Pewnego lipcowego wieczoru Matthieu też zdradził swoje plany przy rodzinnym stole. Claudie i Jacques odłożyli sztucce. Dziadek nadal powoli, łyżka po łyżce jadł zupę.

– Wyobrażasz sobie, że damy ci pieniądze, abyś mógł przerwać studia i zostać właścicielem knajpy? Naprawdę tak myślisz?

Starł się wyłożyć swoją rację, używając argumentów, które wydawały mu się niepodważalne, ale matka przerwała mu brutalnie.

– Przestań.

Zbladła ze złości.

– Natychmiast wstań od stołu. Nie chcę cię widzieć.

Poczuł się upokorzony, ale bez słowa usłuchał. Zadzwoił do siostry, by błagać ją o wsparcie, ale nawet nie zdołał jej czegokolwiek wyjaśnić. Aurelie wybuchła śmiechem.

– To przecież idiotyzm! Myślałeś, że mama będzie skakać z radości?

Matthieu starał się bronić swojego postanowienia, ale nie chciała go słuchać.

– Kiedy wreszcie dorośniesz? Zaczyna mnie to męczyć.

Poszedł do Libero, by oznajmić mu złą wiadomość, i upili się obaj na smutno. A kiedy następnego dnia koło południa obudził się z bólem głowy, będącym w równej mierze skutkiem rozpaczycy co kaca, obok niego siedział na łóżku dziadek. Matthieu uniósł się z trudem. Marcel przyglądał mu się z wyjątkową dobrotliwością.

– Tak więc chcesz tu zamieszkać i stanąć za barem, mój chłopcze?

Matthieu skinął niepewnie głową.

– Posłuchaj, co zamierzam zrobić. Opłacę dzierżawę za ten rok. Za przyszły również. Ale potem nie dostaniesz nic, nawet złamanego grosza. W ciągu dwóch lat będziesz miał wystarczająco dużo czasu, by pokazać, do czego jesteś zdolny.

Matthieu rzucił mu się na szyję. W następnym tygodniu nadeszła apokalipsa. Claudie zrobiła Marcelowi okropną scenę. Oskarżyła go o złą wolę i celowe działanie na szkodę wnuka, bez najmniejszej okoliczności łagodzącej. Postanowił pomóc Matthieu tylko dlatego, że go nienawidzi i pragnie zniszczyć mu życie. Chce udowodnić, że się co do niego nie pomylił. A ten idiota nic nie rozumie, z entuzjazmem i zachwytem rzuca się w przepaść. Marcel na darmo przekonywał ją o swoich dobrych chęciach. Obrzucała go obelgami i wrzeszczała, że tak czy inaczej zapłaci za tę nikczemność. Jak furia, bez zapowiedzi wpadła do Marie-Angèle. Zrobiła skandal, pytając, czy deprawuje cudze dzieci z zemsty za to, że sama wydała na świat kurwę. Ale na nic się to nie zdało. Claudie w końcu się uspokoiła, a w połowie lipca Matthieu i Libero wzięli w posiadanie bar, zatrudniając wspaniałomyślnie Gratasę do zmywania garów. Libero stanął za kontuarem. Podziwiał kolorowy szereg butelek, zlewy, kasę i poczuł się wreszcie na swoim miejscu. Miał w ręku pewną walutę. Wszyscy mieli do niej zaufanie i rozumieli, jak funkcjonuje. To właśnie stanowiło jej wartość i żadna inna drogocenna chimera, ani na ziemi, ani w niebie, nie mogła się z nią zmierzyć. Libero nie miał już ochoty czemukolwiek się opierać. Matthieu zaś realizował swoje marzenia z niepamiętnych czasów i z dziką radością niszczył i wydał na pastwę ognia całą swoją przeszłość, usuwając szybko esemesy ze słowami otuchy i żalu za wspomnieniami, które uparcie przesyłała mu Judith. Bądź szczęśliwy. Kiedy się zobaczymy? Pamiętaj o mnie. Pamiętał, bo nie mógł już jej usunąć ze swych rojeń. Libero natomiast dawno już przestał marzyć. Zgadzał się z własną przegraną, przyzwalał na nią. Tak jak z bólem, całkowicie i z rozpaczą zgadzał się na głupotę świata.

**„Spójrz w siebie, zanim nadejdzie nieunikniona
pożoga”**

Górskie szczyty zasłaniały horyzont. Nieruchomą masą stanęły przed Marcelem i jego niestrudzonymi marzeniami. Ze szkolnego podwórka podstawówki w Sartene widać było jedynie zagłębiający się w łąd jezior zatoki. Morze przypominało w tym miejscu wielkie, spokojne i nijakie jezioro. Ale Marcel nie musiał go widzieć, żeby marzyć. Jego marzenia nie żywiły się ani kontemplacją, ani metaforą, lecz walką. Nieustającą walką z inercją i nudą podobnych do siebie rzeczy. Pod pozornym zróżnicowaniem formy wszystko było zbudowane z tej samej, ciężkiej, lepkiej i plastycznej masy. Nawet mętne wody rzek, których pluskające fale pozostawiały na wszystkich opustoszałych brzegach ten sam obrzydliwy zapach mokradeł. Marcel zawsze i wszędzie walczył z własnym bezwładem i nie pozwalał, by bagno powoli go pochłonęło. Przyzwyczyił się do nieustannego boju z rozszalałymi, złymi mocami własnego ciała. Walczył z demonem, który przygwałdził go do łóżka, z pleśniawką w ustach, ze smakiem kwasów trawiennych i żółci na języku, z bólem, który niczym świder wiercił mu dziurę w płucach i brzuchu, z rozpaczą z powodu wiecznego leżenia w wilgotnym od potu i krwi barłogu, ze szlochaniem nad straconym z powodu choroby czasem, ze zmęczonym wzrokiem matki, ze zrezygnowanym milczeniem ojca. I zawsze czekał na powrót do sił, na chwilę, kiedy wraz z nimi odzyska prawo do obecności na szkolnym podwórku, gdzie barykada gór zasłaniała horyzont. Był pierwszym i jedynym z rodzeństwa, który kontynuował naukę powyżej małej matury. Zawsze wiedział, że ani zło drażące jego ciało, ani inercja świata nie przeszkodzą mu w kontynuowaniu nauki w Ecole Normale, a nawet jeszcze wyżej. Nie chciał być nauczycielem, by uczyć bezużytecznych rzeczy biedne i brudne dzieci i widzieć w ich zalęknionych spojrzeniach swój własny strach z dzieciństwa. Nie zamierzał opuszczać miasteczka tylko po to, by zaszyć się w innej, rozpaczliwie podobnej osadzie, przyklejonej jak wrzód do wyspy, na której nigdy nic się nie zmieni. Bo nic nigdzie i nigdy się nie zmienia. Jean-Baptiste przysyłał pieniądze z Indochin. Kupił rodzicom nowy dom, wystarczająco duży, by wszyscy członkowie rodziny mogli spędzać w nim razem każde lato, nie tłocząc się przy tym jak bydło w oborze. Marcel dostał swój pokój, ale na ustach ojca nadal widniały plamy spalonego naskórka, a czoło matki przecinała głęboka, długa bruzda żałoby. Nie wyglądali ani starzej, ani młodziej niż przed piętnastoma laty, kiedy przeżyli koniec świata. Spoglądając na siebie w lustro, Marcel zawsze miał wrażenie, że taki się właśnie urodził, chudy i słabowity, i że dzieciństwo naznaczyło go okrutnym piętnem, którego nigdy się nie pozbędzie. Jedynie Jean-Baptiste zmieniał się na zdjęciach, które im przysyłał, żył bowiem w świecie, gdzie upływający czas pozostawiał po sobie widoczne ślady. Na fotografiach przybierał na wadze, potem nagle chudł, jakby jego ciało dawało świadectwo anarchii i potęgi życia, które w nim tkwiło. Pozował wyprostowany na baczność, stojąc w równiutkim szeregu mundurów i koni. Albo w połowie rozneglizowany, w przesuniętym na tył głowy kepi, wśród nieznanymi, egzotycznymi roślinami, w towarzystwie innych żołnierzy i odzianych w jedwab kobiet. Jego twarz była zniekształcona nagromadzoną tkanką tłuszczową i pyszałkowatością, a czasem wykrzywiona zmęczeniem, rozpustą lub gorączką. Ale zawsze błąkał się w niej ten sam szyderczy wyraz samozadowolenia. Jean-Baptiste wyglądał na alfonsa i Marcel już go nie podziwiał, zazdrościł mu tylko, że afiszuje się z dobrodziejstwami losu, na które nie zasłużył. Nie mógł znieść tego, co obserwował w zachowaniu brata. Jego wyraźnego upodobania do dziwek. Imponującego wyglądu, niezależnie od tego czy chudł, czy przybierał na wadze. Bezcelności i szczodrości. Przecież nie zaoszczędził całej tej forszy z żołnierskiego żołdu starszego sierżanta, lecz zarobił ją na przemyśle, handlu opium lub żywym towarem. Kiedy Jean-Baptiste powrócił do miasteczka

na ślub Jeanne-Marie, miał taką samą sylwetkę jak w dniu, kiedy wyjechał. Młodzieńczy uśmiech nadal rozświetlał twarz mężczyzny, jakim stał się z dala od domu, w dalekich, niewyobrażalnych krajach, gdzie przezroczyście grzywy fal błyszczą w słońcu jak diamenty. Przyjechał z żoną i z dziećmi, rękawy jego bluzy i kepi zdobiła złota kotwica armii kolonialnej, ale trujący wpływ rodzinnej ziemi szybko przypomniał, że nie ma od niej ucieczki. Był znowu niezdarnym wieśniakiem bez wykształcenia, tyle że los popchnął go w stronę świata, na który nie zasłużył. Ani skrzynki szampana, które zamówił na wesele młodszej siostry, ani opowieści o absurdalnym pomysle otwarcia hotelu w Sajgonie, kiedy będzie już na wojskowej emeryturze, nic nie zmieniły. Wszyscy tutaj byli nikczemnymi wieśniakami. Pochodzili ze świata, który dawno temu przestał istnieć, ale przyczepił im się do butów jak błoto, jak rozmokła i lepka glina, z której wszyscy oni są ulepiani i którą poniosą za sobą wszędzie, do Marsylii i do Sajgonu. Marcel zrozumiał wtedy, że tylko on jeden zdoła stąd naprawdę uciec. Czerstwe, pokryte stwardniałym lukrem pączki i ciepły szampan pozostawiały w ustach mdły smak popiołu, wszyscy pocili się w upalnym słońcu. Ale Jeanne-Marie promieniała nieśmiałą radością, a białe koronki i satynowy welon podkreślający owal jej twarzy dodawały jej powabu dziewicy z antycznej Judei. Tańczyła uczepiona ze wszystkich sił ramion męża, a on uśmiechał się z powagą, jakby wiedział, że nie przeżyje tej nowej wojny, która już na nich czyhała. Za barykadą gór, z drugiej strony morza, zawrzał świat. Po raz kolejny daleko stąd i bez nich toczyła się walka o życie i przyszłość. I jak zwykle odgłosy tamtego świata zginęły w głębinach i nie dotarły do wyspy. Marcel nie wziął poważnie odległego i niewyraźnego echa. Wzruszył lekceważąco ramionami, kiedy na boisku szkolnym jego przyjaciel Sebastien Colonna opowiadał mu z zachwytem o Maurrasie⁴, nastających nowych czasach i odrodzeniu ojczyzny, której ruinę spowodowali Żydzi i bolszewicy, na co Marcel zauważył: Co ty opowiadasz? Przecież nigdy w życiu nie widziałeś ani bolszewika, ani Żyda! Odsunął się ze wzgardą od rozentuzjzmowanego mętnymi, nierealnymi abstrakcjami kolegi, nie wierzył w nie. Jego serce rwało się do konkretnego i cudownego zamiaru wstąpienia do wojska. Spodziewał się, że wyższe wykształcenie pozwoli mu od razu uzyskać stopień oficera, i wyobrażał sobie złotą otoczkę galonów. W czasie wesela Jean-Baptiste, z pączkiem w ustach, zsalutował mu z komiczną powagą, a potem śmiejąc się, potargał bratu włosy, jakby miał do czynienia z dziesięcioletnim smarkaczem. Marcel nie posiadał się z radości, której nie stłamsiło nawet wypowiedzenie wojny. Jeanne-Marie sprowadziła się do rodzinnego domu, gdzie zamieszkała z żoną i dziećmi Jean-Baptiste'a. Czekały na listy z linii Maginota, a potem czytały o frustracjach, nudzie i zwycięstwach. Młody małżonek Jeanne-Marie pisał, że tęskni, że noce są coraz zimniejsze i że często myśli o dotyku jej ciepłego ciała. Pragnął, by Niemcy zaatakowali jak najszybciej, bo wtedy szybko ich zwyciężą, a on wróci do domu. I już nigdy nie opuści swojej żony. Przysięga, że kiedy wszystko to stanie się chwalebny i odległym wspomnieniem, nigdy już jej nie opuści. Upływał czas, a on nadal pisał do niej to, czego nigdy nie odważyłby się powiedzieć Jeanne-Marie, nawet szeptem. Opowiadał o jej brzuchu unoszącym się, gdy go pieścił, o udach i białych piersiach, za które mógłby umrzeć. I o rychłym zwycięstwie, jakby świetność kobiecego ciała na zawsze łączyła się z chwałą ojczyzny, której bronił. Z każdym listem stawał się coraz bardziej egzaltowany, precyzyjny i wojowniczy, a Jeanne-Marie upajała się każdym słowem i prosiła Boga o szybki powrót męża. Nawet przez chwilę nie pomyślała, że jej modły nie zostaną wysłuchane. W marcu 1940, zapewniwszy uprzednio lekarza wojskowego, że nigdy nie miał najmniejszego problemu zdrowotnego, Marcel opuścił siostrę, miasteczko i rodziców, by przyłączyć się do grona młokosów marzących o stopniu oficerskim w pułku artylerii w Draguignan. Po drugiej stronie morza demon wrzodu żołądka uspokoił się i przestał go dręczyć. Po raz pierwszy w życiu Marcel cieszył się energią i

⁴ Charles Marie Maurras (1868-1952), francuski myśliciel polityczny i filozof, nacjonalista, jeden z przywódców skrajnie prawicowej Action Française.

zdrowiem, których nawet u siebie nie podejrzewał. Jak na dobrego ucznia przystało, zamknął uszy na wszystko inne. Nie słyszał hałasu czołgów, upadających drzew w Ardenach, krzyków uciekinierów, płaczu upokorzonych. Wiatr kłęski wymiół wszelkie marzenia o zwycięstwie, a on pozostał głuchy na głos Philippa Petaina mówiącego o honorze i zawieszeniu broni. Kiedy do miasteczka dotarł pierwszy list Jean-Baptiste'a ze stalagu, a zaraz po nim telegram, informujący Jeanne-Marie, że w wieku dwudziestu pięciu lat została wdową, Marcel usłyszał wreszcie, ale w to nie uwierzył, jak szef oddziału oświadcza swoim ludziom, że nigdy nie będą oficerami. Pojadą do młodzieżowych obozów pracy, gdzie będą śpiewać patriotyczne pieśni na chwałę Marszałka. W piekącym bólu rozrywającym mu wówczas żołądek i płuca, padł na kolana i w obecności szefa i kolegów zwymiotował krwią na zakurzone podwórko. Po wyjściu ze szpitala został zwolniony z obowiązkowej służby wojskowej. Udał się do Marsylii i zamieszkał u jednej ze swych starszych sióstr. Całe dni spędzał w łóżku, kołyszany goryczą i mdłościami. Chwycił się rozpaczliwie tego olbrzymiego, plugawego miasta, jakby tylko ono mogło przynieść mu zbawienie. Przekonany, że los tylko tutaj spłaci to, co mu się należy, nie chciał wracać do miasteczka. Z dnia na dzień odkładał wyjazd, bał się czekającego tam na niego nieodwracalnego uścisku trwogi i żałoby. Bał się, że jeśli tylko postawi stopę na rodzinnej ziemi, wszelkie rachunki, kłątwy, straty i rekompensaty zostaną wymazane, a życie już nic nie będzie mu winne. W oczekiwaniu, że coś się wydarzy, przemierzał ulice miasta, którego ogrom i brud go przerażały. Z niepokojem spoglądał w stronę portu, ze wszystkich sił opierając się podstępny umizgom tęsknoty. Zatykał sobie uszy w obawie, że usłyszy dochodzące z drugiego brzegu czułe, kochane głosy, zachęcające go do powrotu w otchłań, z której się wywodził. Sebastien Colonna też przyjechał do Marsylii. Każdego dnia dziesiątki ziomeków przybywało tu w poszukiwaniu pracy. Dzięki poparciu wujka Sebastiena Marcelowi udało się znaleźć pracę w banku Société Generale. Ale mijały tygodnie, a życie nadal pozostawało wobec niego dłużne. Czyżby los tak właśnie spłacał długi? Czy pociechą za to, że nie został oficerem, miały być księgi handlowe, wśród których umierał z nudów? Jedyną odskocznią były dla niego niekończące się wywody Sebastiena na temat rewolucji narodowej i mądrości Bożej, dzięki której ludzie mogą wyciągnąć zbawcze i wzniosłe nauki z najgorszej katastrofy. Sebastien chwalił poświęcenie i wstrzemięźliwość, których potrzebowała Francja, by oczyścić się z toczącej ją gangreny. Czy to właśnie jest sprawiedliwość? Los nadal go prześladował, aż wreszcie rzucił go w ramiona dziwki, którą on sam opłacił, by zaspokoić pragnienie wiedzy i znaleźć pociechę. Miała czarne, współczujące, błyszczące dobrotliwym blaskiem oczy. Blask zgasł, kiedy znalazła się z nim sam na sam. Żadne światło nie zapaliło się w jej spojrzeniu, kiedy patrzyła na niego myjącego się w brudnoszarym, popękany bidecie. Przyglądała mu się bezlitośnie, a on trząsał się ze wstydu, przeczuwając gorycz tego, czego właśnie miał się nauczyć, i nie spodziewając się już pocieszenia. Poszedł za nią do cuchnącego stęchlizną łóżka, gdzie do końca musiał znieść afront jej absolutnej obojętności. Czuł ciepło rozchodzące się w miejscu, gdzie dotykały się ich brzuchy. Miał wrażenie, że łączą się one z sobą niczym kloaki płazów. Przyciskała do niego wilgotne piersi, jej nogi dotykały jego nóg, a w mózgu Marcela ukazywały się nieznośne obrazy. Był w nich bestią, wielkim, żarłocznym i trzęsącym się ptakiem, zagłębiającym dziób aż po szyję w lędźwiach padliny. A ona rzeczywiście zachowywała obsceniczną bierność zdechłego ciała i nie odrywała martwego wzroku od sufitu. W miejscach, w których ich ciała się dotykały, w każdym najmniejszym punkcie wymieniali się potem, limfą, płynami ustrojowymi. Nawet nie znał imienia tej kobiety, już nigdy jej nie spotka, a w wyniku ohydnej metamorfozy jego ciało na zawsze zachowa w sobie ślad jej ciała. Nagle wstał, ubrał się i wyszedł. Dysząc, wybiegł na ulicę. We własnych żyłach czuł obcą krew. Z czoła spływał mu pot, którego zapachu nie rozpoznawał. Spluwał na ziemię, bo jego własna ślina miała inny smak. Przez kilka kolejnych tygodni z niepokojem obserwował swoje ciało, każdą krostkę, każde zaczerwienienie. Był przekonany, że padnie ofiarą egzemy, grzybicy, syfilisu lub rzeżączki i że niezależnie od

nazwy czyhającej na niego choroby stanie się ona tylko powierzchownym wyrazem zła, które go draży i które tylko w ten sposób może zmanifestować swoją niezaprzeczalną obecność. Co tydzień nagabywał lekarzy, aż wreszcie armia niemiecka zajęła wolną strefę i zmusiła go, by przestał myśleć tylko o sobie. Zdruzgotany Sebastien Colonna oburzał się na brak konsekwencji aliantów i podstępność Hitlera, który nie dotrzymywał słowa. Jego dotychczasowe nadzieje pokładane w ojcowskim autorytecie Marszałka zaczęły się chwiać. Obawiał się, że zostanie zesłany na roboty do jakiejś niemieckiej fabryki, i przekonywał Marcela: Musimy stąd wyjechać, i to jak najszybciej. Okręty nie miały pozwolenia na opuszczenie portu. Sebastien dowiedział się od wuja, że za kilka dni z Tulonu wyruszy parowiec do Bastii. Wsiedli z Marcelem do autobusu. W oddali ujrzeli słupy czarnego dymu unoszące się nad powierzchnią morza. Z zatopionej flotyli francuskiej na redzie pozostał tylko ogromny stos żelastwa i stali. Niemieckie myśliwce pikowały ze świstem w kierunku nielicznych manewrujących między minami i metalowymi sieciami statków, które usiłowały wydostać się na pełne morze. Sebastien zaczął płakać. Szybko zrozumiał, że jego sytuacja osobista jest równie opłakana co honor marynarki wojennej, i wyjaśnił Marcelowi, że jedynie przedostanie się na włoską stronę da im jakąś szansę powrotu do domu. Marcel stwierdził, że nie ma już pieniędzy na dalszą podróż, i wróci do Marsylii, do siostry. Sebastien nie zgodził się, nie ma mowy, on ma pieniądze i nie zostawi przyjaciela w biedzie. Marcel zrozumiał, jak wielką tajemnicą jest przyjaźń. Udało im się dotrzeć do Nicei, a tydzień później byli w rodzinnym miasteczku. W domu panowała żałoba, unosząca się w powietrzu niczym gęsta mgła. Wszystko było pokryte ciężkim welonem śmiertelnej ciszy. Marcel budził się gwałtownie, z żalem wspominając bomby świszczące nad redą w Tulonie. Wstawał często, by się napić. Któregoś dnia stanął w kuchni oko w oko z nieruchomym, zapatrzonym w ciemność ojcem. Tato, co tata tu robi? – zapytał. W odpowiedzi otrzymał tylko odsyłające go ku wieczności ciszy kiwnięcie głową. Popatrzył na ojca z trwogą. Koszula z szorstkiej wełny, powieki z wypalonymi rzęsami, pobielające usta. Mimo ogarniającej go paniki nie odwrócił wzroku, wziął się w garść, przeszedł obok ojca, chwycił dzbanek z wodą, napił się i wrócił do pokoju, przyrzekając sobie w duchu, że już nigdy więcej nie wstanie nocą, nawet gdyby umierał z pragnienia. Wiedział, że znowu zastanie ojca stojącego nieruchomo w tym samym miejscu, ponad czasem i światem, skamieniałego w bolesnej niemocy, z której nawet śmierć go nie wyzwoli. Marcel zapragnął zrzucić otaczający go balast ciszy, wsłuchał się w świszczący wokół niego wiatr rewolty i czekał, aż jego krwawy podmuch powyrywa okna i drzwi domu i pozwoli wreszcie świeżemu powietrzu wtargnąć do środka. Sebastien Colonna opowiadał mu o zrzutach spadochronowych, zamachach, o tym jak w Alta Rocca dwaj kuzyni Andreani zmasakrowali jakiegoś Włocha, a potem uciekli i schronili się w makii. Sebastien potępiał te absurdalne kryminalne gesty, nie zdając sobie sprawy, że Marcel nie podziela jego oburzenia i że w marzeniach chwytą za broń, by samemu stanąć do walki z najeźdźcą. W połowie lutego ktoś zaczął atakować samotnych włoskich żołnierzy i z nieubłaganą regularnością raz w tygodniu ich zabijał. Na górskich drogach w promieniu kilku kilometrów wokół miasteczka znajdowano potem leżące w błocie, obok przewróconego motoru, zakrwawione trupy ze śladami śrutu i poderżniętymi gardłami. Zarzynano ich jak świnie, niektórych rozbierano, a wszystkim w okrutny sposób zdzierano buty. Nikt nigdy potem nie odnalazł tych butów i ten niewinny szczegół napawał mieszkańców miasteczka szacunkiem i zgrozą. Zabójca najwyraźniej oddawał się makabrycznemu rytuałowi, którego nikt nie rozumiał. Mówiło się, że to nie dzieło maquis⁵, tylko jakiegoś tajemniczego partyzanta, Anioła niezawodnej, bezlitosnej i samotnej Śmierci. W miasteczku, poza Sebastienem Colonną, który wahał się między pogardą dla narodu włoskiego a bałwochwalczym uwielbieniem dla Mussoliniego i wrodzonym, szczerym szacunkiem dla władzy, wszyscy

⁵ Maquis - członkowie francuskiego ruchu oporu w czasie II wojny światowej.

młodzi chcieli wstąpić do partyzantki, by siać zgrozę i bić się o sprawiedliwość. Bezczynność stała się dla nich nie do zniesienia. Gromadzili się, by rozmawiać o tym, co mogą wspólnie zdziałać. Zamierzali zlikwidować wszystkich zdrajców i kolaborantów. Ktoś wspomniał imię Sebastiena. Marcel stanął w jego obronie, mówiąc, że przecież nigdy nie zrobił nikomu nic złego. Udało im się w końcu zorganizować nocne spotkanie w górach z grupą partyzantów. Wyruszyli z miasteczka o pierwszej nad ranem. Maszerowali ramię w ramię, wśród nocnego chłodu, niesieni entuzjazmem wojowniczej młodości. Kiedy przechodzili obok szkoły, kilkadziesiąt metrów wyżej usłyszeli odgłos zbliżającego się oddziału wojskowego. W popłochu zbiegli w stronę miasteczka, wrócili do domów, skąd z bijącym sercem obserwowali z ukrycia przechodzący włoski patrol, którego miarowy krok w nocnej ciszy zmroził im przed chwilą krew w żyłach. Powalił ich własny wstyd. Unikali się nawzajem, by nie stanąć twarzą w twarz z własną hańbą. Wiosną tajemniczy zabójca zaprzestał działania i nikt nie wiedział, czy zginął i czy, w oczekiwaniu na apokalipsę, poszedł do nieba. Zagadka rozwiązała się w czasie wrześniowego zamieszania⁶, które w przypadku Marcela polegało na kilku spacerach w tę i z powrotem po uliczkach miasta, z bezużyteczną strzelbą w dłoniach. Ange-Marie Ordioni schodził właśnie z owczarni mieszczącej się nad lasem Vaddi Mali, gdzie wraz z żoną wiódł dzikie życie myśliwego z epoki neolitu. Miał na sobie wojskowe włoskie buty i marynarkę od munduru, z której oderwał galony i odznaki. W samym środku zimy jego jedyna para butów rozleciała się, nie nadawały się już do naprawy, a na nowe nie miał pieniędzy. Uznał za całkiem naturalne zaopatrzyć się u okupanta, ale trwało dość długo, zanim znalazł odpowiedni dla siebie rozmiar, bo mimo postury jaskiniowca stopy miał śmiesznie małe. Jakiś aparatczyk z Frontu Narodowego wykrzykiwał, że Ange-Marie jest niczego nieświadomym idiotą, i chciał go natychmiast rozstrzelać, ale on popatrzył na gościa zimno i kazał mu się zamknąć. W górach dobre buty są niezbędne. Francuskie siły wkroczyły do miasteczka, arabska piechota śmiała się, piła i śpiewała po arabsku na ulicach. Marcel ze zgrozą patrzył na ich ogolone czaszki z warkoczykiem opadającym na kark i saraceńskie, zakrzywione noże, a Sebastien mówił: Popatrz tylko na naszych oswoobodzicieli, sami Maurowie i Murzyni. Zawsze tak jest, barbarzyńcy ofiarują swoje usługi Cesarstwu, by tym łatwiej popchnąć je do zguby i zniszczyć. Nic po nas nie zostanie. Kilka tygodni później wymiotowali obok siebie na Liberty Ship, na którego pokładzie płynęli wśród burz do Algieru. Gęste jak błoto bryzgi fal obmywały ich z rzygowin i przenikały zimnem aż do szpiku kości. W Maison-Carrée siedzący za małym biurkiem podoficer, z nosem zagłęzionym w księżde, nonszalanckim tonem oznajmił im, jakie dostali przydziały. Nic nie wskazywało na to, że to właśnie tu, za tym nijakim biurkiem, decydowało się, kto jest ułaskawiony, a kto skazany na śmierć. To było święte miejsce na rozstaju dróg, gdzie owce były oddzielane od baranów. Jedni na lewo, drudzy na prawo. Nikt ich nie zapytał, czy wolą śmierć na polu chwały, czy nic nieznaczące życie. W chwili, kiedy Sebastien Colonna dowiedział się, że został przydzielony do pułku piechoty, wkroczył na ścieżkę nieuchronnego losu, która doprowadziła go aż do Monte Cassino, gdzie czekały na niego kule pistoletu maszynowego. Wsiadając do pociągu do Tunisu, Marcel odruchowo chwycił go w ramiona, nie wiedząc, czy jeszcze kiedyś go zobaczy, czy też ujrzy nazwisko przyjaciela wygrawerowane złotymi literami przez nieznane mu dłonie na pomniku nieznanego żołnierza. Marmur jest trwalszy od ciała. W Tunisie dowiedział się, że wysyłają go do Casablanki, gdzie wraz z całą baterią miał zostać przyuczony do obsługi amerykańskiego systemu obrony przeciwlotniczej. Przestał wtedy wierzyć w logikę wojskowych transportów. Pociąg ruszył powoli wzdłuż morskiego brzegu i pojechał na zachód w długą, trzytygodniową drogę. Marcel wraz z towarzyszami leżał w wagonie towarowym na słomie i drzemał. Od czasu do czasu wyrывała go z letargu gra w karty lub przesuwające się smutno za oknami łąki i ciche miasta. Żadne z

⁶ Od 9 września do 5 października 1943 r. na Korsyce trwały walki żołnierzy włoskich i francuskich oraz partyzantów z Niemcami, zakończone wyzwoleniem wyspy.

nich nie było takie jak w marzeniach. Morze ocierało się o pozbawione blasku brzegi, które w niczym nie przypominały tych z cudownych opowieści w książkach od historii i nie zachowały nawet najmniejszego śladu po kulcie boga Baala ani po afrykańskich legionach Scypiona, ani po numidyjskiej kawalerii osaczającej Cyrte, by w imieniu Masynissy odebrać skradzione pocałunki Sofonisby. Mury obróciły się w pył i nicość, a wraz z nimi okupujący je żołnierze. Marmur niszczyło równie łatwo jak ciało. Po katedrze w Bonē⁷, gdzie Augustyn wygłosił swoje ostatnie kazanie i wydał ostatnie tchnienie, przygłuszone wrzaskami Wandalów, pozostało tylko puste pole, pokryte chwiejącymi się na wietrze pożółkłymi trawami. Marcel zaczął przyzwyczajać się do Casablanki. Postanowił nie gnuśnieć, lecz zostać wzorowym żołnierzem, ale Amerykanie nadal nie przysyłali obiecanych części do broni przeciwlotniczej. Oczekiwanie stało się do tego stopnia nieznośne, że o mało co po raz wtóry nie wylądował w burdelu. Nie mógł uwierzyć, że w decydującej o przyszłości świata chwili ponownie skazano go na nudę. Nawet bezkres Atlantyku nie stanowił dla niego wystarczającego pocieszenia. Po miesiącu dowiedział się, że poszukują oficerów do wojskowej intendencji, więc zgłosił się na ochotnika. Los nie zaspokoił jego pragnienia walki, może pozwoli mu przynajmniej zostać oficerem. Zawsze o tym marzył, więc wreszcie poczuł się szczęśliwy. Trwało to do chwili, kiedy dowódca wezwał go, by w brutalnych słowach zarzucić mu nikczemność. Pułkownik pieniał się i walił pięścią w stół. Jesteście zwykłym gnojkiem, Antonetti, gnojkiem i tchórzem. Przerażony Marcel jękał się bezsensownie, ależ panie pułkowniku, panie pułkowniku. Oficer intendencji? Intendencji? Pułkownik powtarzał to słowo, jakby chodziło o jakąś niewiarygodną obrzydliwość, którą nie chciał sobie zbrukać ust. Boicie się stanąć do boju, prawda? Wolicie się gdzieś ukryć i liczyć kartofle i onuce? Gnojek! Zastrany gnojek! Marcel przysięgał, że jego życiowym celem jest walka, ale zawsze marzył, by zostać oficerem, więc kiedy tylko nadarzyła się okazja, po prostu nie chciał jej stracić. Nie uspokoiło to pułkownika. Jeśli chcieliście być oficerem, trzeba było z tym przyjść do mnie. I zostać oficerem artylerii, drogi panie! Oficerem godnym szacunku! Wcieliłbym was do plutonu, ale intendencja? Żaden z moich ludzi nie skończy w intendencji, słyszycie? Żaden! A teraz spieprzajcie mi z oczu, zanim was wsadzę do aresztu! Marcel wyszedł pospiesznie. Paliło go w żołądku. Wszelkie jego nadzieje znowu rozwiały się bezlitośnie i jedyne, co mu pozostało, to bezskutecznie czekać na części do dział przeciwlotniczych. W końcu zrobiono z niego sekretarza porucznika intendencji wojskowej i nikt, łącznie z pułkownikiem, nie widział w tym nic skandalicznego. Pod koniec czterdziestego czwartego wrócił za porucznikiem do Francji, gdzie zbliżyli się na kilkaset kilometrów do północnej, linii frontu. Marcel czuwał nad spisem poborowym i przygotowywał lurowatą kawę. Nigdy nie usłyszał huku broni. Jeden jedyny raz, niedaleko Colmar, zabłąkany artyleryjski pocisk spadł kilkaset metrów od gazika, który prowadził. Uniósł się kurz, nad głową przeleciały kamienie. Marcel zatrzymał wóz. Popatrzył wokoło na zburzone miasto, którego żaden pocisk nie mógł już bardziej zniszczyć. Przez kilka minut przyjemnie brzęczało mu w uszach od huku. Odwrócił się w stronę porucznika i zapytał, czy wszystko w porządku. S trzepał dłonią pył z rękawa, marszcząc przy tym brwi. Był to jedyny raz, kiedy poczuł zapach prochu, jedyny fakt, który pozwolił mu się łudzić, że wojna nie do końca o nim zapomniana. A kiedy nastał jej koniec, wrócił do miasteczka, do swoich. Ojciec przycisnął do piersi swoich dwóch synów, jego i Jean-Baptiste'a, odsunął ich od siebie i na nowo przygarnął, jakby nie mógł uwierzyć, że żadnego z nich nie stracił. Jean-Baptiste wyglądał jak pączek w maśle. Ostatnie trzy lata wojny spędził w Bawarii, w farmie należącej do czterech siostr. Kiedy o nich opowiadał, puszczał porozumiewawczo oko, upewniwszy się uprzednio, że żona na niego nie patrzy. Ciągnął brata na ubocze, by wtajemniczyć go w nieprzyzwoite wspominki. Marcel niechętnie tego słuchał. Miał wtedy dwadzieścia sześć lat.

⁷ Tak w czasie kolonizacji francuskiej nazywała się starożytna Hippona.

Dawno minęły czasy, kiedy z podwórka szkoły w Sartene spoglądał na góry. Teraz spoglądał na swoje dłonie i wydawało mu się, że za chwilę się rozsypią niczym piasek. Jeanne-Marie pojechała po Jean-Baptiste'a do Paryża i tam w kawiarni Lutetia poznała wracającego z deportacji dużo od siebie młodszego byłego partyzanta. Oznajmiła, że zamierza go poślubić. Smutek wyjąłowił ją nieodwracalnie i dobrze o tym wiedziała, ale starała się ze wszystkich sił uwierzyć w przyszłość. Marcel miał jej za złe, że wkłada tyle niepotrzebnego i złudnego wysiłku, by wydawało się, że jeszcze cieszy się życiem. Cierpiał, widząc, że siostra gra komedię zapomnienia. Nie chciał udawać, że cieszy się wraz z nią, więc milczał uparcie i pogardliwie, podczas gdy ona przygotowywała małżeńską wyprawę. W kościele, idąc w stronę ołtarza, przy którym czekał na nią André Degorce, młodzieńczy i szczupły w mundurze akademii wojskowej Saint-Cyr⁸, zatrzymała się na chwilę, spojrzała na Marcela i uśmiechnęła się do niego uśmiechem z dzieciństwa, któremu nie potrafił się oprzeć. Zrozumiał, że Jeanne-Marie nie odgrywa żadnej komedii, nie poniza się ani do udawania, ani do rezygnacji, gdyż na zawsze chronią ją przed tym niezgłębione zasoby miłości, do jakiej jest zdolna. Tego jasnego poranka Marcel zawstydził się własnego cynizmu i podejrzliwości. Zawstydził się swego gnuśnego, ponurego serca. A wobec André zawstydził się, że żaden z niego żołnierz, pożałował swojego nikczemnego szczęścia, z którego nawet nie potrafił się cieszyć. Popatrzył na André z pełnym zazdrości szacunkiem. Wstyd mu było za zacofaną mieścinę, krępowali go wszyscy goście, rodzina Colonna w żałobie, Susini, którzy pozwolili swojej niedorozwiniętej córce, w ciąży z którymś tam bękartem, przyjść na ślub. Zawstydził się za Ange-Marie Ordioniego, purpurowego z dumy, przyciskającego do pokrytej medalami piersi potężnego chłopaczka, którego jego żona właśnie powiła w brudzie ich owczarni. Zawstydził się za własnych rodziców, za rozbuchaną i obleśną żywiolowość Jean-Baptiste'a i za siebie samego, za to, że ma w piersi gnuśne i mroczne serce. Popatrzył na tańczącą w ramionach André siostrę. Na biegające między rozchybotanymi stołami dzieci. Ange-Marie Ordioni dał synkowi do ssania palec umoczony w kieliszku z różowym winem. Marcel słuchał rozlegającego się wokół śmiechu, fałszywych nut akordeonu i donośnego głosu Jean-Baptiste'a. Usiadł na słońcu obok matki, która wzięła go za rękę i pokiwała smutno głową. Ona jedna zdawała się nie cieszyć z tego, że na nowo budziło się tu życie. Bo jakże może się budzić, jeśli jeszcze się nie zaczęło?

⁸ Jedną z najbardziej prestiżowych francuskich uczelni wojskowych, którą ukończyli m.in. Philippe Pétain i Charles de Gaulle, założoną przez Napoleona w Fontainebleau. Przez większość istnienia jej siedzibą było Saint-Cyr, obecnie jest nią Guer.

Człowiek niszczy wszystko, co stworzy”

W sierpniu, tuż przed wyjazdem do Algierii, Aurelie przyjechała do miasteczka na dwutygodniowy odpoczynek w towarzystwie mężczyzny, który wtedy jeszcze dzielił z nią los, i z osłupieniem odkryła, że bar jej brata stał się źródłem nowego, burzliwego i chaotycznego życia. Klientela była zróżnicowana i wesoła. Stanowili ją dawni stali bywalcy, okoliczna młodzież oraz turyści różnych narodowości, wszyscy razem zjednoczeni w niewiarygodnym stowarzyszeniu wyznawców zabawy i alkoholu, w którego kręgu nie dochodziło do jakichkolwiek waśni. Można by pomyśleć, że sam Bóg wybrał to miejsce, by na ziemskim padole stworzyć eksperymentalne królestwo miłości bliźniego. Nawet mieszkańcy miasteczka, zazwyczaj chętnie skarżący się na najmniejsze niedogodności, poczawszy od tej wynikającej z samego istnienia pozostałych ludzi, ze zdziwieniem uśmiechali się błogim uśmiechem szczęściarzy. Bernard Gratas, który z twarzą wyszedł z piekła, również zdawał się natchniony przenikającym wszystko Duchem. Uzyskał błyskawiczny awans, który pozwolił mu wydostać się z czeluści zmywaka i garów i zająć się przygotowaniem kanapek. Wywiązywał się ze swych nowych obowiązków z zadziwiająco szybkością i z uśmiechem na ustach. Cztery kelnerki z tacami przemieszczały się wdzięcznie po sali i tarasie. Najstarsza z nich siedziała na wysokim taborecie za kontuarem i pilnowała kasy. Młody chłopak z gitarą śpiewał korsykańskie, angielskie, francuskie i włoskie piosenki, a kiedy atakował jakieś szlagiery, wszyscy klienci z zapałem klaskali w dłonie. Matthieu i Libero skoncentrowali się głównie na pogłębianiu relacji międzyludzkich i przysiadali się do stolików, by zapytać gości o samopoczucie, napełnić kieliszki lub pogłaskać po główce jakiegoś dzieciaka, zafundowawszy mu uprzednio loda. Byli panami idealnego, błogosławionego, mlekiem i miodem płynącego świata. Nawet Claudie musiała dać za wygraną i powtarzała, wzdychając:

– Może rzeczywiście do tego właśnie jest stworzony.

Przyglądała się promieniejącemu radością synowi, przechadzającemu się od stolika do stolika, i dodawała:

– Przecież najważniejsze, żeby był szczęśliwy.

Aurelie nie chciała robić matce przykrości, wyznając jej, że Matthieu doprowadzał ją do rozpacz. W jego domniemanym szczęściu widziała tylko wyraz triumfu rozkapryszonego dziecka, gówniarza, który płaczem i krzykiem wymógł upragnioną zabawkę. Patrzyła teraz, jak się nią bawi i obnosi się z radością przed życzliwymi mu ludźmi. Istniały podstawy do obaw, że rozpacz, którą odczuwała na ten widok, okaże się głęboka i długotrwała. Nie wynikała bowiem z cierpienia po zawiedzionej miłości ani z jakiegokolwiek złości. Była raczej preludium do definitywnej formy obojętności. Chłopiec, którego tak bardzo kochała i tak często pocieszała, zamienił się powoli w istotę bez polotu i zainteresowań. Żył w ograniczonym świecie własnych zachcianek. Aurelie domyślała się, że kiedy oszacuje prawdziwą wartość brata, stanie się on dla niej obcy. Przyjechała, by pożegnać się z bliskimi, szczególnie z dziadkiem, i nacieszyć się ich obecnością. A teraz każdego wieczoru po kolacji zmuszona była asystować przy odgrywanym przez Matthieu numerze, gdyż dzień prawie zawsze kończył się obowiązkowym rodzinnym wyjściem do baru, by się tam czegoś napić. Matthieu przysiadł się do ich stolika, opowiadał o tym, jak ma zamiar zabawiać gości zimą, o kombinacjach w celu zaopatrzenia baru w wędlinę, o mieszkaniu kelnerki. Mężczyzna, który dzielił jeszcze wtedy życie z Aurelie, uważał to wszystko za pasjonujące, zadawał trafne pytania, wyrażał swoje zdanie, zupełnie jakby za wszelką cenę chciał zdobyć sympatię jej brata. Chyba że był po prostu zwykłym głupkiem, który cieszył się, że spotkał drugiego

głupka i może podzielić się z nim własną głupotą. Aurelie coraz poważniej zaczęła się nad tym zastanawiać. Ale natychmiast wypominała sobie okrucieństwo, łatwość, z jaką miłość zamieniała się u niej w pogardę, i zasmuciło ją, że ma niedobre serce. Przecież nie miała nic przeciwko właścicielom baru, kanapkom i kelnerkom. Ale nienawidziła komedii i udawania. Matthieu robił wrażenie kogoś, kto za wszelką cenę chce się wyrzec własnej przeszłości. Mówił ze sztucznym akcentem, ośmieszając się przy tym, bo tracił akcent, zanim dokończył zdanie. Czerwienił się potem i powracał do swojej groteskowej wymyślonej tożsamości, z której wykluczył myśl i refleksję. Uznał je pewnie za niebezpieczne. Libero, którego Aurelie zawsze uważała za inteligentnego i subtelnego chłopca, najwyraźniej zdecydował się pójść tą samą drogą. Powiedziała mu, że spędzi najbliższy rok między uniwersytetem w Algierze a Annabą, gdzie wraz z ekipą francuskich i algierskich archeologów będzie pracować przy wykopaliskach starożytnej Hippony, ale zadowolił się jedynie odpowiedzią w formie niewyraźnego mruknięcia. Jakby święty Augustyn, którego dziełom poświęcił rok swego życia, nie zasługiwał nawet na sekundę uwagi. Aurelie zrezygnowała więc z rozmowy na interesujące ją tematy, a kiedy osiągnęła granicę tego, co mogła wytrzymać, jeśli chodzi o śpiewy, śmiechy i idiotyzmy, wstawała od stołu i pytała dziadka:

– Nie chciałbyś się przejść?

I na wypadek, gdyby komukolwiek przyszło do głowy się do nich przyłączyć, dodawała:

– Tylko ty i ja?

Maszerowali obok siebie drogą, w stronę gór, za ich plecami pozostawał hałas zabawy i migające światła. Marcel trzymał wnuczkę pod rękę. Siadali na ławce przy fontannie, pod baldachimem sierpniowego nieba usianego gwiazdami. Z niecierpliwością czekała, kiedy wreszcie zacznie nową pracę. Po raz pierwszy w życiu zaproponowano jej uczestnictwo w międzynarodowym projekcie. Rodzice niepokoiли się o jej bezpieczeństwo. Mężczyzna, który dzielił jeszcze jej życie, martwił się o trwałość ich związku. Matthieu niczym się nie martwił. Dziadek widział w niej wróżkę, zdolną ożywić pogrążone w otchłani kurzu i zapomnienia światy, które przeminęły. Ona również, kiedy pełna entuzjazmu zaczynała studia, tak siebie widziała w marzeniach. Z czasem jednak nauczyła się pokory. Spoważniała, zrozumiała, że każde życie, aby trwać, potrzebuje spojrzenia ludzkich oczu. Pragnęła być jednym z tych spojrzeń, które nie pozwalają życiu zgasnąć. Jej złe, wiarołomne serce szeptało jednak czasami, że to niemożliwe, że przedmioty z wykopalisk pozostaną martwe, nie tchnie w nie żadnego życia, wręcz przeciwnie, śmierć zawładnie powoli jej własnym życiem. Przytulała się wtedy mocno do dziadka. Kiedy nadeszła chwila wyjazdu, uścisnęła go z całych sił. Potem ucałowała wszystkich bliskich, starając się sprawiedliwie obdzielić ich swoją serdecznością. Matthieu zapytał:

– Udało nam się, prawda?

Czekał na jej aprobatę z dziecięcą niecierpliwością. Nie mogła odpowiedzieć mu inaczej niż:

– Tak. I to całkiem nieźle. Bardzo się cieszę.

I jeszcze raz go pocałowała. Wyjechała do Paryża z mężczyzną, z którym jeszcze coś dzieliła. Kilka dni później odprowadził ją na lotnisko, gdzie po upojnej, intensywnej pożegnalnej miłosnej nocy Aurelie pozwalała jeszcze się całować, oddając mu pocałunki najlepiej, jak umiała. Samolot Air France był prawie pusty. Starła się czytać, ale nic z tego nie wyszło. Spać też nie mogła. Niebo było pogodne. Kiedy samolot przelatywał nad Balearami, przykleiła twarz do okienka, wypatrując na gładkiej tafli morza afrykańskiego brzegu. W Algierze uzbrojeni w strzelby żołnierze służby bezpieczeństwa narodowego oczekiwali na samolot już na płycie lotniska. Starając się na nich nie patrzeć, zeszła ze schodków i wsiadła do skrzypiącego autobusu, który dowiózł ją do terminala. Przy okienkach kontroli paszportowej panował rozgardiasz nie do opisanego. Trzy lub cztery samoloty wylądowały o tej samej godzinie, między innymi spóźniony dziewięć godzin 747 z

Montrealu. Policjanci uważnie oglądali każdy paszport, pogrążali się w długiej i melancholijnej kontemplacji wizy, by w końcu nonszalanckim gestem przystawić otwierający wrota kraju stempel. Kiedy po godzinie dotarła do taśmy wydającej bagaże, ujrzała wszystkie walizki rozrzucone wprost na pokrytej petami podłodze. Przestraszyła się, że nie odnajdzie swojej. Musiała jeszcze raz pokazać przypieczętowany paszport, uśmiechnąć się do kamiennych twarzy celników i udać się w kierunku elektronicznego przejścia kontrolnego. W hallu przylotów zgromadzony za barierkami tłum obserwował wyjście. Aurelie nigdy nie czuła się tak samotna i zagubiona, serce drżało jej z trwogi. Miała ochotę zawrócić, kiedy ujrzała czyjąś dłoń, wymachującą kartką papieru, na której drukowanymi literami ktoś napisał jej nazwisko. Poczowała ulgę i z trudem powstrzymała się od płaczu.

Libero nie chciał popełniać tych samych błędów co jego poprzednicy. Zdawał sobie sprawę, że zarówno on, jak i Matthieu nie mieli pojęcia o prowadzeniu baru. Nie wątpił jednak, że znajomość terenu i odrobina rozsądku pomogą im uniknąć porażki. Roztaczał przed przyjacielem wizję świetlanej przyszłości, a Matthieu wsłuchiwał się w to, co mówił, jak w słowa proroka. Zrewidują ambicje, ale z nich nie zrezygnują. Nie ma mowy o całodiennej restauracji, to katorżnicza robota i studnia bez dna. Muszą jednak zaproponować klientom jakieś dania, szczególnie latem. Coś prostego. Wędliny, sery, może jakieś sałatki, oczywiście wszystko najwyższej jakości. Libero twierdził, że klienci są gotowi zapłacić za jakość. Ale ponieważ żyjemy w czasach masowej turystyki, należy również wziąć pod uwagę kohorty splukanych podróżników. Wykluczone więc, by ograniczyli się wyłącznie do luksusowych produktów. Nie mogą się wahać przed upłynianiem taniego gówna. Libero miał pomysł, jak podejść do tego trudnego problemu. Jego brat Sauveur i Virgil Ordioni będą zaopatrywać ich w doskonałą, suszoną trzy lata szynkę. I w wyjątkowe sery. Tak wyjątkowe, że ktokolwiek ich spróbuje, natychmiast ze łzami wdzięczności sięgnie po portfel. Co do reszty, nawet nie warto zwracać sobie głowy świństwami wystawionymi na sprzedaż w gablotach supermarketów jako produkty regionalne, opakowane w udające naturalne i ręcznie robione siateczki, udekorowane głową Maura. Przywieziono je prosto z fabryki, gdzie uprzednio spryskano sprayem o zapachu mączki kasztanowej. Lepiej już pójść na całość i bez skrupułów, za to tanio, podawać chińskie wieprze przerobione w słowackich wędzarniach. Ale nie można brać ludzi za idiotów, należy ich uprzedzić i tak nimi pokierować, aby sami zrozumieli różnicę w cenie i nie mieli wrażeń, że się ich naciąga. Syf jest prawie za darmo, ale za jakość trzeba bulić. W tej kwestii uczciwość jest niezbędna. Nie tylko dlatego, że jest sama w sobie cenioną wartością, ale też dlatego, że posłuży im jako wazelina. Przygotują tace z produktami do degustacji, aby klienci sami mogli się przekonać. Proszę najpierw spróbować, zamówi pan potem. Ależ bardzo proszę, niech się pan nie krępuje i spróbuje jeszcze raz, dla pewności. Taka uczciwość zawsze im się opłaci, bo niezależnie od wyboru klienta ich marża i tak pozostanie ta sama. Będą zdzierać z tych wszystkich idiotów, biednych i bogatych, bez względu na wiek i pochodzenie, ale zdzierać uczciwie, a nawet z troską o dobre samopoczucie klienta. Właściciel knajpy powinien dbać o klientelę, a nie tylko pilnować kasy, jak to robił ten matoł Gratas. Powinien być usłużny, uprzejmy, zawsze do dyspozycji. Tak więc kluczowym problemem stały się kelnerki. Vincent Leandri zaprowadził ich któregoś wieczoru do jednego ze swych przyjaciół, który w swoim czasie zarządzał kilkoma knajpami na kontynencie, a obecnie prowadzi! szykowny i dyskretny nocny bar nad morzem. Matthieu i Libero dość szybko zorientowali się, że przyjacielowi Vincenta bez problemu można by wytoczyć proces o stręczycielstwo. Niemniej jednak przyjął ich z otwartymi ramionami i szczerze podjął szampanem.

– Potrzebny jest wam ktoś zaufany. I znający się na rzeczy.

Zadzwoił gdzieś i po chwili oznajmił, że Annie, doświadczona kelnerka, która już kiedyś dla niego pracowała, byłaby zainteresowana. Pojawiła się kwadrans później, oświadczyła, że zarówno Matthieu, jak i Libero są uroczy, wypila pół litra szampana i zapewniła ich, że z przyjemnością im pomoże. Usiądzie za kasą i zajmie się zaopatrzeniem. Potrzebna im będzie jeszcze jedna kelnerka na salę. Przyjaciel Vincenta pokręcił głową.

– Jedna nie wystarczy. Raczej trzy lub cztery.

Libero zauważył, że bar nie jest duży i nie potrzeba im aż tyle personelu, poza tym nie mają dużo pieniędzy. Ale przyjaciel Vincenta przekonywał:

– Latem, jeśli jesteście sprytni, będziecie mieli dużo gości. Aby knajpa mogła być otwarta cały dzień i wieczorem, personel powinien się zmieniać. Przecież jedna kelnerka nie może pracować osiemnaście godzin, prawda? A jeśli myślicie, że będzie to was za drogo kosztowało, to przed południem sami musicie obsługiwać gości. Wieczorem konieczne są dziewczyny. Dwaj faceci to nie jest dobre dla interesu. Wiem, że pedałów dziś nie brakuje, ale przecież nie chcecie założyć klubu gejowskiego?

Zaśmiał się głośno i rubasznie. Libero chciał powiedzieć, że nie zamierza otwierać klubu gejowskiego, ale kurewskiego baru też nie, obawiał się jednak, że go obrazi.

– Rozumiesz, o co chodzi?

Libero przytaknął.

– A przede wszystkim nie należy pieprzyć się z kelnerkami, zrozumiano? Ludzie nie będą przychodzić wydawać u was pieniądze i przyglądać się waszym umizgom do kelnerek. Z klientkami możecie się pieprzyć, z kelnerkami nie.

Annie całkowicie się z nim zgadzała. W życiu można sobie na wiele pozwolić, ale kiedy prowadzi się knajpę, nigdy przenigdy nie należy pieprzyć się z kelnerkami. Matthieu i Libero zapewnili, że równie dziwaczny i niestosowny pomysł nawet nie przyszedł im do głowy.

Nazajutrz ze zdziwieniem odkryli, że Annie miała zaskakujący zwyczaj, który z pewnością pozostał jej z poprzedniej pracy, ale też nie wpływał ujemnie na wykonywanie nowych obowiązków. Każdy przedstawiciel płci męskiej, który pojawiał się w barze, witany był przez nią ledwie zauważalnym, lecz skutecznym muśnięciem rozporoka. Żaden nie umknął jej dotykowi. Zbliżała się do przybysza z szerokim uśmiechem, całowała go głośno z dubeltówki i jednocześnie lewą dłonią, jakby nigdy nic, macała mu między nogami. Pierwszym, którego w ten sposób powitała, był nadchodzący właśnie ze stosem wędlin w ramionach Virgil Ordioni. Spurpurowiał, zaśmiał się krótko i stanął jak wryty, nie wiedząc, co robić. Matthieu i Libero zamierzali poprosić Annie, by postarała się trochę dyskretniej okazywać swoją sympatię, ale nikt się nie skarżył, wręcz przeciwnie. W ciągu dnia miejscowi mężczyźni wpadali kilkakrotnie do baru, nawet w godzinach, kiedy zazwyczaj było pusto. Myśliwi skracali polowanie, a Virgil przyjął za sprawę honoru, by codziennie zejść z gór i wpaść chociażby na kawę. Mathieu i Libero zachowali więc milczenie i błogosławili w duchu zapobiegliwą Annie, która mądrze i bez najmniejszego trudu zgłębiła prostotę męskiej duszy. Co wieczór po zamknięciu lokalu wizytowali okoliczne kampingi i plaże w poszukiwaniu studentek, które brak pieniędzy skazywał na monotonną przyjemność morskich kąpeli i które chętnie podjęłyby się jakiegokolwiek sezonowej pracy. Kandydatek nie brakowało. Nie skończył się jeszcze lipiec, a oni mieli już cztery kelnerki. Zatrudnili również Pierre-Emmanuela Colonnę, który właśnie zdał maturę i spędzał wakacyjny czas, zabawiając rodzinę brzdąkaniem na gitarze. Znalazł w ten sposób bez wątpienia przychylną, lecz nieliczną publiczność, toteż bez żalu przeszedł na zawodowstwo jako piosenkarz w barze. Nie tylko odniósł ogromny sukces wśród gości – których wymagania estetyczne były co prawda na tyle łatwe do zaspokojenia, że nawet serenady, które wył pijany jak bela Virgil Ordioni, spotykały się z entuzjastycznym przyjęciem – ale ponadto Annie wylewnie podziękowała mu za pierwszy wieczorny występ. Po zamknięciu baru pocałowała chłopaka w usta i popychając go w stronę stołu bilardowego, spontanicznie wymacała w spodniach jego fujarę, po czym zaofiarowała mu lubieżną noc, o jakiej nawet nie marzył w swoich najśmielszych, sprośnych marzeniach nastolatka. Następnego dnia rano obudziła go pocałunkami i komplementami i zaserwowała mu do łóżka, w którym odbywały się nocne hulanki, obfite, własnoręcznie przygotowane śniadanie. A potem patrzyła na pochłaniającego je kochanka z błyszczącymi jak nieskazitelne perły łzami i iście macierzyńskim wzruszeniem w oczach. Monotonne i spokojne dotychczas życie Pierre-Emmanuela Colonnny zawirowało strumieniem rozkoszy. Wypłacając mu honorarium, Libero powtarzał ze śmiechem:

– Za takie wakacje to ty powinienes mi płacić.

W ramach podziękowania i pożegnania na zakończenie sezonu wszyscy, to znaczy Libero, Matthieu, Annie, pozostałe kelnerki, Pierre-Emmanuel, a nawet Gratas poszli na kolację do wykwintnej restauracji. Potem pili i bawili się w nocnym klubie. Dziewczyny, poza Annie, miały wyjechać w następnym tygodniu do Mulhouse, Saint-Etienne, Saragossy. Libero zaproponował im, by zostały. Nie miał pewności, czy uda mu się zagwarantować im pracę przez całą zimę, ale letni sezon okazał się na tyle lukratywny, że wraz z Matthieu mógł sobie pozwolić na ryzyko. Nie przyznał się, że jego szczodra propozycja wynikała przede wszystkim z przyziemnej handlowej analizy: liczył na atrakcję, jaką stanowiła obecność czterech młodych, niezamężnych kobiet w przytłoczonej zimowym chłodem i zięjącej seksualną nędzą okolicy. Dzięki nim bar będzie pełen. Nawet zimą. Żadna nie odmówiła. Wszystkie cztery studiowały na kierunkach, które przestały im się podobać i po których i tak nie znalazłyby pracy. Przestały cokolwiek planować, mieszkały w smutnych miastach, których brzydota napawała je smutkiem i gdzie nikt tak naprawdę na nie nie czekał. Wiedziały, że wkrótce brzydota zagości na stałe w ich duszach i zawładnie nimi do końca, a nawet czekały na to zobojeństwa. Libero i Matthieu popchnęła w ich stronę niewinność zrezygnowanych dusz i magnetyzm wrażliwości dziewczyn. Agnes siedziała na plaży, z dala od tańczących i od barowego kontuaru, i paliła skręcane przez siebie papierosy. Rym i Sarah wybrały się razem na wybory miss kempingu i zamówiły na spółkę jeden napój gazowany. Izaskun dostała kosza od swego chłopaka. Przyjechała do niego na wakacje, a on zostawił ją na łodzi. Ledwo mówiła po francusku, więc z plecakiem na ramieniu czekała w plugawej dyskotekce do poranku. A teraz wcale jej nie przeszkadzało, że dzieli mieszkanie nad barem z innymi dziewczynami, nie wadziły jej ani ciasnota, ani rozłożone na podłodze materace. Wszystkie zgodnie stwierdziły, że spędziły w miasteczku najszcześniejsze tygodnie w życiu, w dodatku zawiązała się między nimi więź, której na razie nie chciały zrywać. Tego wieczoru w czasie kolacji nawet Matthieu wyczuł, jak silnie są ze sobą związane. Po raz pierwszy od dłuższego czasu pomyślał o Leibnizu. Ucieszyła go myśl, że znalazł się u siebie, w najlepszym z możliwych światów. Zapragnął pochylić głowę przed dobrocią Boga, Pana światów, który w swojej nieskończonej mądrości znajduje miejsce dla każdego stworzenia. Ale to nie Bóg, lecz demiurg w osobach Matthieu i Libero stworzył ten świat. Demiurg nie jest Bogiem Stworzycielem. Demiurg nawet nie wie, że kiedy kamień za kamieniem buduje swój świat, jest on i zawsze będzie jedynie dziełem człowieczym. A kiedy dzieło umyka i przerasta twórcę, to albo twórca musi je zniszczyć, albo ono zniszczy twórcę.

Matthieu cieszył się na myśl, że po raz pierwszy będzie mógł obserwować w miasteczku powolne zbliżanie się zimy, a nie jak zwykle odkryje ją brutalnie po wyjściu z samolotu. Ale tu zima nigdy nie nadchodzi powoli. Spada na świat nagle. Słońce długo przygrzewa ze zmiennego letniego nieba, a potem okiennice domów zamykają się raptownie jedne po drugich i nie spotyka się już nikogo na uliczkach. Przez dwa, trzy dni o zmroku wieje znad morza ciepły wiatr, a potem zapada mgła i robi się przejmująco zimno. Nocą szron błyszczący na szosie, jakby wysypano na nią klejnoty. Tego roku po raz pierwszy zima nie przypominała śmierci. Turyści wyjechali, ale bar nie opustoszał. Ludzie z okolicy przyjeżdżali specjalnie na apéritif. W każdy piątek Pierre-Emmanuel Colonna po tygodniu spędzonym na uniwerku dawał wieczorne koncerty, więc wszyscy chcieli posłuchać jego piosenek, przyglądając się siedzącym przy kominku dziewczynom. Gratas pilnował grilla z mięsem, a Matthieu nie miał nic innego do roboty jak rozkoszować się własnym szczęściem, popijając palący mu gardło alkohol. Od czasu do czasu sypiał z Virginie Sisini. To zawsze ona decydowała kiedy. Nigdy nic nie mówiła. Po prostu przychodziła do baru i siadała przy odosobnionym stoliku, gdzie spędzała cały wieczór na stawianiu pasjansów. Przed zamknięciem, kiedy Annie liczyła kasę, wpatrywała się w Matthieu natarczywie i bez słowa, a potem szła za nim do domu. Dyskretnie, robiąc jak najmniej hałasu, by nie obudzić dziadka, wprowadzał ją do swojego pokoju. Nigdy jej nie odmawiał, mimo że przespać się z Virginie nie było łatwo. Należało znieść jej milczenie, nieruchomość jej przenikliwego wzroku, bezsensowność sytuacji i niczym niemotywowane poczucie własnego poniżenia. Wolał jednak to niż samotne powroty do domu. Zaczął bać się tego miejsca, które wraz z odejściem lata straciło ciepło domowego ogniska. Portrety pradziadków, w których dotychczas widział dobrotliwych i opiekuńczych bożków czuwających nad jego młodością, przybrały groźny wygląd, a czasami wydawało mu się wręcz, że na ścianach zamiast obrazów wiszą trupy, które tylko chłód domostwa chroni przed rozkładem. Nocą słyszał jakieś dźwięki, trzeszczenie, przewlekłe i smutne niczym westchnienia. Miał nadzieję, że mu się wydaje, ale to dziadek hałasował, przechadzając się w ciemności z pokoju do pokoju i potykając się o meble. Matthieu zatykał sobie uszy i chował głowę pod poduszkę. Czasami wstawał, ale wtedy było jeszcze gorzej. Zapalał światło i znajdował dziadka w salonie, z czołem opartym o zimną szybę, trzymającego w dłoni fotografię, na którą nawet nie patrzył. Albo w kuchni, z oczami szeroko otwartymi na coś niewidzialnego, co go przyciągało jak magnes i przerażało. Matthieu pytał wtedy:

– Dziadku, nie chcesz się położyć?

Nigdy mu nie odpowiadał, nadal patrzył przed siebie. Garbił kruche ramiona pod ciężarem tysiącletniej starości i z drżącą brodą rzucał się w objęcia przerażającej wizji, która zazdrośnie broniła do niego dostępu.

Matthieu wracał do łóżka, ale nie mógł zasnąć. Czasami miał zamiar wsiąść do samochodu. Ale gdzie tu jechać o czwartej nad ranem, w samym środku zimy? Nie pozostawało mu nic innego, jak czekać, aż światło porannej zorzy przeniknie przez okiennice, by rozwiać zły czar. Dom znowu stawał się przyjazny i bliski. Matthieu zapadał w sen. Wieczorem opóźniał, jak mógł, powrót do domu albo starał się przynajmniej wrócić wystarczająco pijany, by zasnąć bez problemu. Któregoś razu odważył się zapytać dziewczyn:

– Czy mogę dziś u was spać? Znajdziecie dla mnie miejsce?

I dorzucił głupawo:

– Nie lubię spać sam.

Dziewczyny wybuchły śmiechem, nawet Izaskun, która zrobiła już ogromne postępy we francuskim i doskonale rozumiała, kiedy ktoś opowiadał głupstwa. Kpiły z niego, twierdząc, że znalazł naprawdę oryginalny, a przy tym wzruszający i wiarygodny sposób na podryw. Matthieu zaśmiał się i zaprzeczył, a one wykrzyknęły:

– Oczywiście! Oczywiście, że możesz! Zrobimy ci miejsce.

Poszedł za nimi do mieszkania nad barem. Pod ścianami były ustawione torby i stosy starannie ułożonej bielizny. Wokół unosił się zapach kadzidła. Annie miała swój pokój, Rym i Sarah spały w drugim. Matthieu położył się w salonie, na materacu ukrytym za japońskim parawanem, gdzie spały razem Agnes i Izaskun. Przytuliły się do niego z obu stron, nadal pokpiwając sobie po przyjacielsku. Izaskun wyszeptała coś po hiszpańsku. Pocałował kolejno każdą z nich w czoło i zasnęli jak brat z siostrami. Tutaj nad jego snem nie wisała żadna groźba, żaden cień zrodzony z chorobliwej wyobraźni. Kiedy obudził się rano, jego głowa spoczywała na piersiach Izaskun, a prawa dłoń na udzie Agnès. Wypił kawę i wrócił do siebie, by wziąć prysznic. Od tamtej pory nigdy już nie spał w domu. Nazajutrz położył się do łóżka z Rym i Sarą. Wszystkie kolejne noce spędzał na materacu w salonie albo na łóżku w pokoju. Spał głębokim, niewinnym snem, zupełnie jakby w pościeli leżał miecz cnoty, oddzielający go od ciepłych dziewczęcych ciał i niepozwalający na sprzeniewierzenie się ideałowi czystości. W każdy weekend przybywał Pierre-Emmanuel Colonna, by uprawiać z Annie szatańską miłość. Zakłócało to panującą zazwyczaj w mieszkaniu niebiańską harmonię. Kochankowie mieli niespożyte siły. Strasznie hałasowali. Pierre-Emmanuel wydawał z siebie ośle ryki, wybuchając od czasu do czasu niezrozumiałym śmiechem. Annie darła się wniebogłosy i stawała się niezwykle gadatliwa, opowiadając głośno, na jakie igraszki ma ochotę, co kiedyś jej zrobiono, co pragnie, by jej zrobić, co kochanek robi jej w tej właśnie chwili i jaką sprawia jej to rozkosz – tak że dziewczyny i Matthieu mieli wrażenie, że uczestniczą w transmisji radiowej jakiegoś świńskiego i niekończącego się meczu, komentowanego przez rozhisteryzowanego dziennikarza. Matthieu nie mógł spać. Rym drwiła:

– Ten facet jest niemożliwy. Słowo daję, powinniśmy mierzyć mu czas.

Pierre-Emmanuel rzeczywiście zaczął zachowywać się z arogancją wycyzkowca. Bezceremonialnie obmacywał tyłek Armie, kiedy tylko znalazła się w zasięgu jego ręki, na co plebs patrzył z bezradną adoracją. Z pobłażliwym wyrazem twarzy klepał po plecach Virgila Ordioniego i puszczał do niego oko. Bawił się z nim jak ze smarkaczem, któremu rzuca się okruchy marzeń i który musi się nimi zadowolić, bo nigdy nie dostanie nic więcej. Virgil śmiał się i nerwowo przełykał ślinę. Dziewczyny i Matthieu, kiedy za ścianą trwał spektakl, klaskali w dłonie i krzyczeli wiwat, na co Pierre-Emmanuel, spocony i wściekły, wychodził na chwilę z pokoju i obrzucał ich morderczym spojrzeniem, które kwitowali szalonym, niepohamowanym śmiechem. Kiedy zmęczona spółkująca para pozwalała wreszcie zapanować nocnej ciszy, oni też zasypiali, a nad czystością ich snu czuwało nagie ostrze niewidzialnego miecza. Pewnego wieczoru miecz zniknął. Matthieu leżał na boku, patrząc na Izaskun, która znowu wyszeptała coś po hiszpańsku. Usłyszał jej ciężki oddech, czarne oczy z błyskiem uśmiechu przypomniały mu Judith Haller. Tym razem żył w świecie, który sam wybrał. Zaczął budować go kamień po kamieniu. Nie miał najmniejszego poczucia winy. Powoli zbliżył dłoń do twarzy Izaskun i dotknął jej policzka, a ona pocałowała go w nadgarstek, potem w usta, przycisnęła do niego swój brzuch i nogą objęła jego nogi, zachęcając go w ten sposób, by się przybliżył. Całowała go namiętnie, ze wszystkich sił. Matthieu zachwycony pięknem oszalał z wdzięczności. Czuł, że zalewa go przezroczysta wodna otchłań, niczym święta chrzcielna woda – wiecznie i nieskończenie czysta. Kiedy już było po wszystkim, Matthieu opadł na plecy i otworzył oczy. Izaskun przytuliła się do niego, a on ujrzał opartą na łokciu Agnes, która im się przyglądała. Odwrócił się w jej stronę i uśmiechnął się, ona zaś pochyliła się i pocałowała go, koniuszkiem języka zlizując odrobinę

śliny z kącików jego ust, a potem opuszkami palców lekko dotknęła jego powiek, jakby chciała zamknąć oczy umarłemu. Muśnięcie to uśpiło go niczym pieszczota.

– Zostawiam ci bar na głowie, Annie. Policzyłaś kasę?

Annie podała mu dzienny utarg, a Matthieu schował go do małej, żelaznej skrzyneczki. Otworzył szufladę, wyjął z niej olbrzymi pistolet i wsunął go za pasek tak doskonale wyuczonym gestem, że zdawał się naturalny.

– No to idziemy.

Aurelie popatrzyła na niego z osłupieniem.

– Chodzisz z bronią? Zupełnie ci odbiło? Co z tobą? Masz problem z męskością? Przecież się ośmieszasz. Przynajmniej zdajesz sobie z tego sprawę?

Matthieu nie czuł się śmieszny, wręcz przeciwnie, ale ograniczył się do kilku słów wyjaśnienia. To przecież oczywiste, siostra musi przyznać mu rację. Bar cieszył się ogromnym powodzeniem, przybywała do niego klientela ze wszystkich okolicznych osad w promieniu trzydziestu, czterdziestu kilometrów. To wręcz nie do wiary. Libero wpadł na genialny pomysł, zatrzymali dziewczyny poza sezonem, bo to one przyciągały tu tyle ludzi. Nikt nie jest na tyle szalony, by walczyć z pluchą i gołoledzią tylko dlatego, że ma ochotę napić się czegoś w miasteczku podobnym do wielu innych, w barze, gdzie pastis ma dokładnie taki sam smak jak gdzie indziej. To przecież oczywiste.

Vincent Leandri twierdzi, że każdy intratny interes przyciąga bandytów, szczególnie w dzisiejszych czasach. Owszem, złodzieje zdarzali się zawsze. Ale nie każdy złodziej był od razu bandytą. W dzisiejszych czasach złodziejowi nie wystarczy, że weźmie forszę. Wszędzie szerzy się bandytyzm. Niektórzy są tak bezczelni, że mogą przesiedzieć z tobą cały wieczór, śmiać się, pić, ucałować się z tobą na pożegnanie, a dziesięć minut później wracają w kominiarce, przystawiają ci spluwę pod nos i zabierają całą kasę, a potem idą spać snem sprawiedliwych. Może nawet wracają nazajutrz na apéritif, jakby nigdy nic, chociaż dzień wcześniej wybili ci zęby kolbą i nawet dziewczynie dali w mordę. Tak sobie, od niechcenia. Vincent nie mówił o ryzyku, lecz o rzeczy nieuniknionej. Wcześniej czy później tak bez wątpienia by się stało, bo tak jest zapisane. Poradził im, by jak najszybciej kupili spluwę. I tak właśnie zrobili. Aurelie uniosła oczy ku niebu.

– Tak więc, jeśli dobrze zrozumiałam, teraz grozi wam nie tylko napad. Ktoś może was zabić albo to wy kogoś zabijecie. Doprawdy błyskotliwy pomysł. Brawo! Przypominam ci, że Vincent Leandri to notoryczny pijak!

Ona nic nie rozumie. Matthieu nie miał najmniejszego zamiaru kogokolwiek zabijać. Libero też nie. Trzeba na to spojrzeć jako na środek perswazji. Jemu samemu trudno było początkowo zrozumieć tę subtelną logikę. Kiedy po raz pierwszy przewoził utarg, wrócił o siódmej wieczorem, z pistoletem wsuniętym za pasek od spodni. W barze było tłoczno. Wszedł za kontuar, schylił się dyskretnie, by niezauważenie włożyć broń do szuflady. Ze względu na gości kłębiących się przy bufecie i kaliber spluwę nie było to wcale łatwe. Libero obserwował go wtedy przez chwilę i zapytał:

– Czy mogę wiedzieć, co ty wyczyniasz?

Matthieu odpowiedział mu szeptem:

– No jak to, kładę broń na swoje miejsce.

Libero zaczął się śmiać. Przyłączył się do niego Vincent Leandri. Mieli rację, bo przecież nie ma sensu mieć spluwę, o której istnieniu nikt nie ma pojęcia. Zasada jest taka, żeby wszyscy o niej wiedzieli. Tylko w ten sposób te pieprzone bandziory rozumieją, że lepiej napadać na innych, którzy nie mają spluwę. Teraz więc Matthieu każdego wieczoru ostentacyjnie wyjmował pistolet zza paska i kładł go na chwilę w widocznym miejscu na

kontuarze. Potem wkładał go spokojnie do szuflady i wyjmował tuż przed zamknięciem. Na tym polegała perswazja. Bandytci to, dajmy na to, Kubańczycy, a on i Libero to rodzina Kennedych. Metoda już niejedną raz zdała egzamin, ale Aurelie nadal wzdychała i pewnie wzdychałaby jeszcze bardziej, gdyby Matthieu przyznał jej się, że tak czy inaczej postanowił zabić jak psa pierwszego bandytę, który wyciągnie rękę po zawartość jego kasy.

– Do domu też pójdziesz ze spluwą?

Matthieu wzruszył ramionami.

– Oczywiście, że nie. Zaniesiemy ją do Libero.

Nie miał najmniejszej ochoty na rodzinną kolację. Do tej pory rodzice nigdy nie przyjeżdżali tu na Boże Narodzenie. Zdarzyło się to po raz pierwszy. W dodatku nalegań, by Aurelie zrobiła podobnie. Mężczyzna, który coraz rzadziej dzielił jej życie, z trudem to zaakceptował. Od ostatnich wakacji spędził z nią tylko kilka dni w październiku. Zamiast wrócić do Francji, wolała zaakceptować propozycję algierskich kolegów z pracy i pojechać z nimi na wykopaliska Dżemila i Tipasa. Twierdziła, że nie chce im robić afrontu. Uważała, by nie urazić zaledwie poznanych ludzi, a on, który od lat dzielił z nią wszystko, musiał zadowolić się okruciami czasu, które łaskawie była skłonna mu podarować. W dodatku robiła to niedbale i lekceważąco. A teraz beztrąsko odjęła kilka dni z ich wspólnego życia, by spędzić je w miasteczku, z rodziną. Nawet mu nie zaproponowała, by jej towarzyszył, jakby było oczywiste, że jest kimś obcym. Tego wieczoru przy stole nawet o nim nie pomyślała. Wspominała niezwykle bogate znaleziska w miejscu, które do tej pory było pomijane. Trofea wojenne, broje z brązu, głowy Gorgon pozostałe po marmurowych fontannach, kolumny bazylik. Opowiadała o uprzejmości swoich algierskich kolegów i koleżanek, starała się nie zniekształcić ich imion: Meziane Karadja, Lydia Dahmani, Souad Bouziane, Masynissa Guermat, opisywała ich oddanie, talent i pasję, z jaką ze stosu milczących kamieni potrafili wskrzesić miasto i w oczach dzieciarni z okolicznych szkół pobudzić je do życia. W wyobraźni dzieci pożółkła trawa zamieniała się w mozaikowe podłogi, stary numidyjski król klusował na swoim melancholijnym rumaku, rozmyślając o utraconych na zawsze pocałunkach Sofonisby, a setki lat później, u kresu długiej pogańskiej nocy, zmartwychwstali wierni tłoczyli się przy balustradzie oddzielającej prezbiterium od świetlistej nawy, w której rozbrzmiewał głos kochającego ich biskupa:

– Bracia, wy, których umiłowalem, posłuchajcie.

Matthieu nie usłyszał żadnego głosu, spojrzał na zegarek i pomyślał o pełnych życia ramionach Izaskun i o Agnes. Z nikim nie chciał się tym dzielić. Na stole pojawił się deser, a on oznajmił, że jest już najedzony i że sobie pójdzie. Ale ojciec go zatrzymał:

– Proszę cię, zostań jeszcze chwilę, to nie potrwa długo.

Więc Matthieu usiadł z powrotem przy stole, wypił kawę, pomógł zebrać naczynia, a kiedy dziadek i matka poszli się położyć, też wstał, ale ojciec powtórzył:

– Nie, poczekaj, proszę, muszę z wami porozmawiać, z tobą i z twoją siostrą.

Ojciec zaczął mówić spokojnie i z powagą, ale nie patrzył im w oczy. Od jakiegoś czasu był bardzo zmęczony, porobił badania i okazało się, że jest chory, dość poważnie chory. Matthieu doskonale rozumiał jego słowa, ale nie docierało do niego, dlaczego Aurelie zmieniała się na twarzy w miarę, jak ojciec wtajemniczał ich w szczegóły leczenia, któremu się podda i które z pewnością okaże się skuteczne. Metoda jest wypróbowana, wręcz banalna. Aurelie uparcie powtarzała, ukrywając twarz w dłoniach:

– Tato, o Boże, tato.

Przecież to niemożliwe, żeby ojciec był aż tak chory. W dodatku sam jest dobrej myśli. Matthieu wstał i zaserwował sobie whisky. Bezskutecznie starał się skoncentrować na słowach ojca, ale nic nie słyszał, bo dłonie Izaskun zatykały mu uszy, i nic nie widział, bo Agnès dotykała jego powiek, by zamknąć mu je jak umarłemu. Bardzo się starał, ale nie mógł ani zrozumieć, ani dostrzec tego, co czuje Jacques Antonetti, wyjaśniający własnym

dzieciom, że wkrótce umrze, bo jego przemowa nie należała do najlepszego ze światów, świata triumfów i beztroski. Brzmiała nieprawdopodobnie, przypominała jakiś nieprzyjemny dla ucha, oddalony rumor, niczym niespokojny huk prądów podziemnej rzeki, uwięzionej tak głęboko w skalnych czeluściach, że nie stanowiła zagrożenia dla doskonałego świata, w którym znajdował się bar. Zbliżał się Nowy Rok, Matthieu miał przyjaciela, który był dla niego jak brat, i siostry, których kazirodcze pocałunki roztaczały słodki zapach odkupienia. Miał przed sobą wieczność spokoju i piękna, których nic nie mogło zakłócić, więc kiedy wzruszony Jacques przytulił go do siebie i pocałował, mówiąc: Nic się nie martw, wszystko będzie dobrze, odpowiedział mu szczerze, że się nie martwi, bo wie, że wszystko się ułoży. Ojciec kiwnął głową, dumny z syna, który z niezwykłą delikatnością oszczędził mu bolesnej ceremonii swego smutku. Pocałował Aurelie i poszedł spać. Matthieu pozostał pośrodku salonu, lekko zaniepokojony czymś nieokreślonym. Sięgnął po kolejną whisky. Obok niego Aurelie powstrzymywała się od płaczu. Nagle uświadomił sobie, że teraz nie może wyjść. Odstawił kieliszek. Aurelie podniosła ku niemu oczy.

- Czy ty sobie zdajesz sprawę?
- Z czego?
- Tato może umrzeć.
- Nie, ja zrozumiałem zupełnie co innego, nie to.

Wrócił do baru koło północy. Dwaj faceci z Sartene rozpijali przy barze butelkę wódki. Z trudem trzymali się na nogach, co nie przeszkadzało im zalecać się do Annie, która wyzywała ich od świń. Od czasu do czasu wyrażała swoją dezaprobatę lekkim szturchnięciem w jaja, za co dostawała kolosalny napiwek. Inkasowała go, mizdrząc się do nich. Gratas zamiatał w drugim końcu. Virginie Susini stawiała pasjansa. Matthieu usiadł naprzeciwko niej. Nie przerwała ani na chwilę i nawet nie zaszczyciła go spojrzeniem. Wprawdzie chwilę wcześniej Matthieu nie zamierzał nikomu się zwierzać, ale skoro już tu była... Najprawdopodobniej nawet nie usłyszy jego wynurzeń, więc cokolwiek by jej powiedział, na pewno nigdy nie będzie tego żałował. Pochylił się ku niej i rzekł niespodziewanie:

- Wygląda na to, że mój ojciec umrze.

Virginie pokiwała głową i przykryła treflowego króla damą karo, a potem wyszeptała:

- Doskonale wiem, czym jest śmierć. Urodziłam się wdową.

Matthieu wykonał zniecierpliwiony gest. Szaleńcy zawsze go męczyli. Zaprzagnął wrócić do Izaskun. Popatrzył na Virginie z wyższością.

- Mam nadzieję, że nie na mnie czekasz?

Virginie wyciągnęła kolejną kartę z talii.

- Nie, nie na ciebie. To na niego czekam, ale on jeszcze o tym nie wie.

Wskazała palcem na Bernarda Gratasa, który skamieniał ze szczotką w rękę.

W drodze powrotnej też wypatrywała przez okienko Balearów, których widok niósł z sobą obietnicę szybkiego pocieszenia, jakim zwykle jest powrót do domu. Kiedy ujrzała szarą linię afrykańskich brzegów, serce zabiło jej mocniej. Ucieszyła się, że wkrótce poczuje ciepło ziemi rodzinnej, mimo że przyszła na świat gdzie indziej. To we Francji czuła się teraz jak na wygnaniu. Może przyczynił się do tego fakt, że na co dzień nie oddychała już tym samym powietrzem co jej rodacy. Pewnie dlatego ich codzienne troski stały się dla niej niezrozumiałe, a ich rozmowy puste. Otaczała ją tajemnicza niewidzialna otoczka, z której nie potrafiła i nie chciała wyjść. Nawet najbardziej banalna wymiana zdań wymagała od niej wysiłku, do którego nie mogła się zmusić. Nieustannie prosiła rozmówców o powtórzenie tego, co powiedzieli. Albo po prostu nie odpowiadała i z rezygnacją zamykała się w milczeniu. Mężczyzna, który wkrótce miał przestać dzielić jej życie, czuł się tym nieustannie dotknięty. Robił jej wymówki, przed którymi nawet się nie broniła. Zrezygnowała z walki z oziębłością, nonszalancją i niesprawiedliwością, które zawładnęły jej złym sercem. Dopiero lądując na lotnisku w Algierze, na nowo stawała się lepsza. Jej dobroć rozkwitała na uniwersytecie, a jeszcze bardziej w Annabie. Z radością zносиła niekończące się kolejki przy okienkach kontroli paszportowej, uliczne korki, wysypiska śmieci pod gołym niebem, regularne odcinanie wody i sprawdzanie tożsamości na rogatkach miejskich. Ze wzruszeniem powitała stalinowską brzydotę hotelu Narodowego, gdzie wzdłuż pustego korytarza, w sfatygowanych pokojach zakwaterowano całą ekipę archeologów. Na nic się nie skarżyła, zgadzała się na wszystko. Zrozumiała, że każdy świat jest jak człowiek, stanowi całość, z której nie można czerpać wedle swego widzimisie. Trzeba tę całość odrzucić lub zaakceptować, zebrać liście i owoce, słomę i zboże, podłość i światłość. W futerale z kurzu i brudu spoczywa jasne niebo zatoki i klejnoty niespożytej szczodrości, w której blasku nikną i kurz, i brud. Z tego wszystkiego wyłaniała się bazylika Augustyna. Co dwa tygodnie Aurelie wracała do Paryża, by spędzić weekend z ojcem. Powiedziała kolegom z pracy, że jest chory, a oni otoczyli ją serdeczną troską. Ofiarowywali jej kilogramy ciasteczek dla taty i modlitwy za jego wyzdrowienie. Masynissa Guermat nalegał, by odprowadzić ją na lotnisko, i czekał na nią, kiedy wracała. Był początek kwietnia. Siedziała z matką przy szpitalnym łóżku, w którym ojciec wracał do siebie po zabiegach. Ogolił sobie głowę, żeby nie widzieć, jak wypadają mu włosy. Poprosił o szklankę wody, a kiedy chciał unieść ją do ust, przewrócił oczami i zemdłał. Claudie podbiegła do niego, krzycząc:

– Jacques!

Zdawało się, że wraca do siebie. Patrzył na żonę i córkę, mówiąc coś bez składu, chwycił Aurelie za przegub i przyciągnął ją do siebie. Miał oczy konającego zwierzęcia, wypełnione ciemnością i strachem, próbował coś powiedzieć, włożył w to całą swoją energię, ale nie zdołał. Wydobył z siebie tylko chaos sylab, słowa wyrwane ze zdań, które pozostały uwięzione w jego chorym ciele. Opadł na poduszkę, nadal ściskając przegub Aurelie. Nadszedł lekarz i dwie pielęgniarki. Poprosili, by żona i córka opuściły pokój. Czekwały więc w korytarzu, aż pojawił się lekarz i wyjaśnił im, że chory cierpi na niewydolność nerek i uremię. Zapytały, co teraz będzie, a on powiedział, że nie wie, że pozostaje czekać. Kiedy lekarz odszedł, Claudie zamknęła oczy.

– Myślę, że powinnaś zadzwonić do brata. Ja nie mogę.

Aurelie wyszła, a kiedy Matthieu podniósł słuchawkę, usłyszała śmiechy i muzykę. Na początku zdawał się zupełnie nie rozumieć, co do niego mówi. Przecież leczenie odbywało się

bezproblemowo, nie było powodów do niepokoju, matka zapewniała go o tym za każdym razem, kiedy rozmawiali przez telefon. Zamknęła oczy.

– Matthieu, posłuchaj. On się zmienił nie do poznania. Nie jest już sobą. Czy rozumiesz, co chcę ci powiedzieć?

Milczał, a ona słyszała muzykę, głosy, które go wołały, śmiech. W końcu wyszeptał:

– Spakuję się i przyjadę.

Następnego dnia, wbrew wszelkim obawom, Jacques Antonetti poczuł się lepiej. Nie pamiętał tego, co się wydarzyło. Nawet starał się żartować. Przepraszał Aurelie i Claudie, że napędził im stracha. Lekarz uważał, że należy zostawić go w szpitalu, by w każdej chwili móc szybko zadziałać. Jeśli Claudie sobie życzy, przygotowują dla niej w pokoju męża rozkładane łóżko. Ucieszyła się. Aurelie zadzwoniła do Matthieu, który odetchnął z ulgą i wręcz zarzucił jej, że celowo przedstawiła mu sytuację w zbyt czarnych barwach, lekarze doskonale nad wszystkim panują. Nawet nie chciało jej się odpowiadać.

– Więc kiedy przyjeżdżasz?

Matthieu zauważył, że sprawa przestała być pilna i że obecnie jest bardzo zapracowany w związku z przygotowaniem do nowego sezonu. Poza tym jeśli teraz przyjedzie, może niepotrzebnie zaniepokoić ojca, który zacznie sobie wyobrażać, że to wizyta pożegnalna, a przecież jego stan ducha jest teraz bardzo ważny. Aurelie nie potrafiła dłużej nad sobą panować. Powiedziała mu, że jest najzwyklejszym podłym, egoistycznym gnojkiem, w dodatku zaślepionym, bo myśli, że jego egoizm będzie mu kiedyś odpuszczony. Ale nikt nigdy mu tego nie wybaczy. A już na pewno nie ona. Tylko matka nadal widzi w nim niewinnego cherubinka, którego za wszelką cenę powinno się chronić przed bolesną konfrontacją z okrucieństwem życia. Jakby to on był najbardziej pokrzywdzony, jakby wrażliwość i delikatność zwalniały go ze spełnienia podstawowych i świętych obowiązków. Mój Boże, tylko on jest wrażliwy? Nawet nie wspomni o miłości i miłosierdziu, bo Matthieu nie potrafi zrozumieć tych słów, ale czy chociaż wie, jakie spoczywają na nim obowiązki? Jeśli uparcie będzie przed nimi uciekał, na zawsze pozostanie nic niewartym gnojkiem, w jakiego w zastraszająco szybkim tempie i z godnym podziwu talentem się przeistoczył. Co do tego nie ma wątpliwości. Ale wkrótce będzie za późno i nikt mu wtedy nie pomoże, nikt mu nie pozwoli na jęki i ucieczkę w komfort nieukojonego żalu. Już ona o to zadba. Chyba że stał się tak wyrodny, że nawet nie będzie czegokolwiek żałował. Ale jeśli pozostała w nim chociaż krztyna z brata, którego kochała, musi przestać widzieć tylko czubek własnego nosa, a przede wszystkim otworzyć oczy. I przestać udawać, że nie wie, nie widzi, zasłaniać się czyimiś uczuciami. Ona tego nie zniesie. W życiu zdarzają się straszne rzeczy, ale należy stawić im czoło. Wszyscy tak robią. W konfrontacji z przeciwnościami stają się ludźmi, nabierają godności. Musi zrozumieć, że to niemożliwe, absolutnie i pod żadnym pozorem nie do przyjęcia, by pozwolił ojcu umrzeć, nie dając mu przedtem jałmużny jednej jedynej wizyty. Nawet jeśli to będzie o wiele mniej przyjemne niż jego codzienne życie zasranego krety, hulanki, dupy i plugawa głupota, w której tarza się niczym Świnia w gnoju. Kiedy już to zrozumie, ma bezzwłocznie wsiąść w samolot. Tak bardzo bała się, że po tym, co jej odpowie, będzie musiała wykreślić go ze swego życia i straci go na zawsze, że jak idiotka, jak niepoprawna idiotka, wołała nie czekać na jego odpowiedź i odłożyła słuchawkę. Wróciła do Claudie. Nadal trzęsła się ze złości.

– Rozmawiałam właśnie przez telefon z twoim synem. Chyba lepiej by było.

Claudie patrzyła na nią kompletnie zagubiona i bezbronna. Aurelie pogratulowała sobie, że nie dokończyła zdania, do którego wypowiedzenia popychało ją złe serce. Przestała z nim walczyć, kiedy znalazła się sama z mężczyzną, który jeszcze dzielił z nią życie. Tej ostatniej nocy skryła się za szklaną, niewidzialną ścianą i odmówiła dzielenia z nim swego ciała, złości i żalu. W Annabie Masynissa Guermat zapytał ją, jak minęła podróż i czy ojciec czuje się lepiej. Odpowiedziała, że wszystko w porządku, ale jadąc przez olbrzymią i cichą pustynię do

hotelu Narodowego, skapitulowała przed zalewającą ją falą smutku. Pokręciła głową. Nie, nic nie jest w porządku. Myślała, że to już koniec, że ojciec kona na jej oczach. Nie mógł mówić, ze wszystkich sił chwycił ją za rękę, jakby szukając ostatniej deski ratunku przed mułem, który zaczął już wypełniać mu usta, dusił go i pochłaniał. Ale ona nic nie mogła zrobić. Każdy umiera samotnie. Umiera się w głębokiej, bezkresnej samotności. Chciała przed nią uciec. Jedyne, czego pragnęła, to żeby ojciec puścił jej nadgarstek i pozwolił jej uciec. Żeby nie musiała stawiać czoła samotności, której żywi nie potrafią zrozumieć. Przez długą chwilę nie czuła ani współczucia, ani bólu, tylko paniczny strach, którego wspomnienie teraz ją przerażało. Masynissa powiedziała:

– Nie mogę cię tak zostawić.

Zaschło jej w gardle. Odwróciła się ku niemu, nagle drżąca i żywa, rzekła władcym tonem, nie spuszczać oczu:

– Więc nie zostawiaj mnie. Zostań ze mną.

I bez zastanowienia rzuciła mu się w ramiona, z ulgą czując, jak Masynissa przygarnia ją w uścisku. Wstał przed świtem, zanim ktokolwiek z ekipy lub z personelu hotelu mógł go zobaczyć wracającego do swego pokoju. Aurelie poczekała na wschód słońca. Wykąpała się. Długo płała w żółtawej wodzie, nie myśląc o niczym, a potem nagle wyszła z wanny i zadzwoniła do mężczyzny, którego miała opuścić. Nie chciał wierzyć, żądał wyjaśnień. Znużona powiedziała, że spotkała kogoś innego. Ta odpowiedź sprowokowała kolejne pytania: gdzie? kto to? od jak dawna? Pytania nie miały sensu, bo tak naprawdę ten ktoś nie miał nic wspólnego z tym, co już od dawna się między nimi psuło, powinien to zrozumieć. Nalegał, więc w końcu rzuciła:

– Wczoraj wieczorem. Zdarzyło się to wczoraj wieczorem.

Nie przestawał, a nawet usłyszała w jego głosie szloch. Dlaczego już teraz mu o tym mówi? Może powinna poczekać? Może to tylko przejściowy romans? Mógłby nigdy się o tym nie dowiedzieć, przecież nie może być jeszcze pewna, a już wszystko popsuta, nic nie da się naprawić. Dlaczego wyznała mu coś, co może nic nie znaczy, dlaczego jest tak okrutna? Aurelie postanowiła powiedzieć mu prawdę.

– Bo chcę. Chcę popsuć wszystko definitywnie i nieodwracalnie.

W Wielki Czwartek na dwie godziny przed świtem poszli z Gaviną Pintus na mszę Wieczery Pańskiej. Całą noc czekali w barze, żeby nie budzić się w samym środku nocy. Umyli zęby nad zlewem, a potem żuli gumę miętową, by ich przesiąknięte alkoholem oddechy nie zakłócały pobożnego nastroju żałobnej nocy. W wielkanocny poniedziałek na tarasie przed knajpą miał się odbyć wielki piknik z muzyką, a następnego dnia postanowili wyjechać. Libero pojedzie z Matthieu do Paryża, żeby przyjaciel nie czuł się sam. Pójdą do szpitala, do ojca, a potem, korzystając z okazji, wyjadą na kilkudniowy urlop do Barcelony. Już zarezerwowali hotel, oczywiście nie zważając na cenę, bo mogli sobie na to pozwolić. Połączą w ten sposób przyjemne z pożytecznym, a Jacques Antonetti nie będzie miał wrażenia, że przyjechali z ostatnią wizytą do umierającego. Tej wielkoczwartkowej nocy starali się iść prosto, podtrzymując pod ramiona Gavinę Pintus. Wilgotny wiatr przenikał ich na wskroś, działanie alkoholu stało się mniej widoczne. Za nimi maszerował Pierre-Emmanuel Colonna wraz z przyjaciółmi z Corte, śpiewającymi w tym samym kościelnym chórze. W poniedziałek mieli zabawiać gości na feacie. Oni też starali się jak najszybciej wytrzeźwieć. Kościół był pełen zaspanych wiernych. Wyłączono światła. Przy ołtarzu zapalono olbrzymie świece. Woń kadzidła przypomniła Matthieu zapach skóry Izaskun. Przeżegnał się, powstrzymując czkawkę, po której został mu kwaśny smak w ustach. Pierre-Emmanuel wraz z przyjaciółmi, z tekstem psalmów w dłoniach, zainstalowali się w absydzie. Chrząpali i szeptali coś sobie do ucha, lekko się przy tym kiwając. Ksiądz obwieścił, że za chwilę ciemności zawładną światem, który potem zostanie zbawiony. Wśród ogrodów oliwnych Getsemani, pograżony we łzach świat przygotowywał się do zadania męki swemu Zbawicielowi. Chórzyści wszczęli pierwszy psalm:

W Salem powstał Jego przybytek, a na Syjonie Jego mieszkanie.

Ich cudownie czyste głosy wypełniły kościół.

Twarz Pierre-Emmanuela wyrażała szczere uduchowanie. Przymknął oczy, by skoncentrować się na śpiewie. Kapłan podszedł do świec i zgasił pierwszą z nich. Rozległy się kołatki i odgłos uderzających o drewniane klęczniki stóp. Świat zaczął pograżać się w czarnych czeluściach końca.

Przełękła się ziemia, zamilkła.

Gavina Pintus uniosła do krzyża oczy przerażonej dziewczynki. W pierwszym rzędzie Virgil Ordioni gniótł w dłoniach czapkę z daszkiem, jakby rzeczywiście się bał, że ziemia zaraz się rozstąpi i pochłonie całe miasteczko. W jego uszach szcęk kołatek zabrzmiał jak huk drżących murów i chwiejących się fundamentów, aż wreszcie kakofonia ucichła i na nowo uniósł się śpiew.

Błogosławione łamane w męce kości.

Kapłan gasił kolejno świece. Wkrótce pozostał tylko jeden chybotliwy płomyk. Gavina Pintus chwyciła za rękę syna, który z trudem pohamował świętokradcze ziewnięcie. Matthieu zastanawiał się, czy rzeczywisty koniec świata okaże się równie nudny. Drżał z zimna i zmęczenia, a niedaleko w łóżku ciało Izaskun niepotrzebnie promieniowało ciepłem. Kapłan po raz ostatni uniósł miedziane gasidło i zapanowała ciemność.

Przyjdzie sędzić sprawiedliwych.

Ksiądz mówił kazanie w ciemnościach. Mówił, że chrześcijanin nie obawia się mroku, wie bowiem, że ciemność nie oznacza zwycięstwa nicości. Kiedy na świecie nastaje ciemność, gaśnie światło człowieka po to, by ukazał się wreszcie nieogarniony blask Bożej chwały. Ciemność służy światłości za kołyskę, tak jak ofiara z Baranka zapowiada zmartwychwstanie Syna w chwale Ojca, Słowa przedwiecznego. Ciemności nie są śmiercią, nie zapowiadają końca, lecz świetlany początek, bo zaprawdę jedno kryje się w drugim. Pod zamkniętymi drzwiami kościoła, nad progiem przeniknął blady promień zorzy. Kapłan pobłogosławił i wypuścił swoją trzódkę. Większość owieczek pospieszyła do baru, by uspokoić nieco serce po wzruszeniach. Libero przygotował kawę, a na ladzie postawił butelkę whisky dla tych, którym naprawdę trudno było się pozbierać po przeżytych emocjach. Pierre-Emmanuel niepokoił się o jakość części artystycznej, ale Libero zapewnił go, że wypadł bardzo dobrze. Chociaż trzeba przyznać, że śpiewy polifoniczne są w zasadzie upierdliwe i w dużej dawce trudne do wytrzymania. Virgil Ordioni, który po uprzednim wypiciu kawy nieśmiało wyciągnął dłoń po butelkę z whisky, nie zgodził się z nim.

– To było przepiękne! Cudowne! Libero się nie zna!

Pierre-Emmanuel poklepał go ze śmiechem po plecach.

– A ty? Ty się znasz?

Ale Virgil się nie obraził. Zastanowił się przez chwilę i odparł:

– Masz rację. Nie bardzo się znam. Ale to było piękne.

Nastąpiła ożywiona dyskusja o polifonii, o muzycznych kompetencjach obecnych, o kołatkach, gromnicach i księżach. Dyskusja była tak pasjonująca, że wkrótce pojawiła się druga butelka whisky. Kiedy Izaskun i Sarah przyszły o zwykłej porze, by otworzyć bar, były zmuszone wyrzucić wszystkich za drzwi, na deszcz. Ale poniedziałkowy ranek okazał się wiosenny i słoneczny. Pierre-Emmanuel i jego koledzy z Corte zainstalowali nagłośnienie w plenerze i stroili instrumenty. Matthieu siedział na słońcu, popijał różowe wino i przyglądał się nakrywającej do stołów Izaskun. Uniósł kieliszek w jej stronę. Odpowiedziała mu lekkim skinieniem dłoni i przesłała całusa. Była jego siostrzyczką, jego czułą, kazirodczą siostrzyczką. Patrzył, jak chłopak z Corte opowiada jej do ucha androny, a ona się z nich zaśmiewa. Nie był zazdrosny, kpił sobie z tego, co ona mogłaby wyprawiać z tym facetem. Nie była jego żoną, była dla niego jak siostra. I wróci do niego, nikt nie może mu jej odebrać. Miał poczucie wyższości, bo osiągnął szczyty, gdzie nikt nigdy i w niczym nie może go dotknąć i znieważać. Dziwiło go poczucie własnego niczym niezakłóconego szczęścia, ale nadal spokojnie popijał wino w przyjemnym wiosennym słońcu. Nazajutrz w towarzystwie Libero wyruszył w podróż. Powierzyli klucze do baru Bernardowi Gratasowi, ucałowali dziewczyny i wyjechali do Ajaccio, machając im na pożegnanie rękami i krzycząc:

– Bądźcie grzeczni! Pilnujcie interesu! Wracamy za tydzień!

W drodze rozmawiali o tym, co będą robić w Barcelonie. Powinni się rozerwać. Potrzebowali tego i zasłużyli sobie na chwilę wytchnienia. Dotarli do Campo dell'Oro z półtoragodzinnym wyprzedzeniem. Poszli do lotniskowego baru i wypili po piwie. Potem po jeszcze jednym. Rozmowa powoli zaczęła się wyczerpywać. Z czasem zamilkli. Pasażerowie lotu do Paryża zostali poproszeni do odprawy, ale do odlotu pozostało im jeszcze pół godziny. Nie było pośpiechu. Zamówili więc po jeszcze jednym piwie. Matthieu obserwował pasy startowe. Zasychało mu w gardle. Nieprzyjemnie burczało mu w brzuchu. Nagle uświadomił sobie, że od blisko dziesięciu miesięcy nie oddalił się od miasteczka dalej niż na piętnaście kilometrów. Ajaccio znajdowało się prawie na drugim końcu świata. Dotychczas nigdy tak długo nie pozostał w tym samym miejscu. Perspektywa lotu do Paryża przeraziła go, nie mówiąc już o Barcelonie, tak dalekiej, że nierealnej, spowitej w mgłę i legendę, niczym ziemską planetę Mars. Matthieu zdawał sobie sprawę z groteskowości swego strachu, ale nie

potrafił z nim walczyć. Spojrzał na Libero, który z zaciśniętymi zębami sączył piwo. Zrozumiał, że łączy ich ta sama trwoga. Nie byli bogami, byli zwykłymi demiurgami, a świat, który stworzyli, zawładnął teraz nimi jak satrapa. Zniecierpliwiony głos z głośnika powiadomił, że pasażerowie Libero Pintus i Matthieu Antonetti są pilnie oczekiwani przy wejściu do samolotu. Zrozumieli, że stworzony przez nich świat nie pozwala im na wyjazd, więc nie ruszyli się z miejsca.

Wezwano ich po raz ostatni do stawienia się na pokład, a oni spokojnie poczekali na start samolotu, w milczeniu wstali, chwycili swoje torby podróżne i powrócili do świata, do którego należeli.

„Gdzie pójdziesz z tego świata?”

Nastał połyskliwy świt. Iskrzące się, ostre światło oślepiło pamięć ludzi, ich najboleśniejże wspomnienia odpłynęły w głąb ciemności, które rozwiewając się, zabrały je za sobą. Na sklepieniu kopuły Saint-Isaac, zawieszony niczym biały gołąb w powietrzu, Chrystus Pantokrator dzierży w swych szczupłych, białych dłoniach głowicę niewybuchu. Należy żyć i szybko zapomnieć. Pozwolić światłu zatuszować ciemne kontury grobów. Wokół klasztoru na Monte Cassino długie frędzle czapeczek Arabów z francuskiej piechoty powyrastały z ziemi niczym egzotyczne rośliny i kołysały się delikatnie wśród podmuchów letniego wiatru. Na plażach Łotwy szare fale Bałtyku wypolerowały pogrzebane w piasku dziecięce kości i zamieniły je w dziwaczne bursztynowe klejnoty. Król długo i bezskutecznie nawoływał zagubioną w lesie Sulamitkę, której włosy już rozsypały się w popiół. Skąpiana w zieleni ziemia nasyciła się strzępami tkanin i ciał. Trupy wypełniły ją po brzegi, a ona na zawsze spoczęła na ich pochylonych barkach. Ale nastał świt i w jego promieniach zapomniane zwłoki zamieniły się w żyzną glebę nowego świata. Marcel przestał wspominać zmarłych, kiedy po długotrwałej, brzemiennej w skutki wojnie świat po raz pierwszy szeroko otworzył przed nim świetlisty szlak ucieczki. Wszyscy żywi przystąpili do podniecającej pracy odbudowy. Marcel był wśród nich, oszołomiony nieskończonością możliwości, oślepiiony światłem, z nadzieją spoglądający w przyszłość, która wreszcie pozwoliła mu zapomnieć o śmierci. Nowy świat rekrutował swych przedstawicieli, wysyłał ich do kolonii, gdzie zachłannie i w chwale zdobywali niezbędny surowiec. Wydobywali z kopalń, dżungli i szczytów wszystko, co mogło zaspokoić żarłoczność nowego świata. Przed wyjazdem do Francuskiej Afryki Zachodniej, skąd kiedyś płynęły rzeki Południa, Marcel zdecydował, że jego nowa pozycja przyszłego urzędnika państwowego wymaga, by znalazł sobie żonę. W miasteczku było kilka panien do wzięcia. Poprosił brata, oczekującego leniwie na pobór do Indochin, by dyskretnie się dowiedział, która z nich byłaby gotowa przyjąć przychylnie ewentualne oświadczenia. Jean-Baptiste już nazajutrz zdał mu sprawozdanie ze spełnionej misji, przyznając się, że nadmiar zapału pogrzebał niestety wszelkie nadzieje na zachowanie dyskrecji. Rozpoczął poszukiwania w barze, wdając się w dyskusję ze starszym bratem jednej z dobrze urodzonych panien. Zapałali do siebie sympatią, upili się, padh sobie w ramiona i pod wpływem nagłego impulsu Jean-Baptiste poprosił go oficjalnie, w imieniu Marcela, o rękę siostry. Sytuacja stała się tym delikatniejsza, że rozentuzjasmowany brat panienki zaciągnął wzruszonego do łez Jean-Baptiste do domu, by wraz z nim obwieścić nowinę rodzicom. Ryzyko urażenia dumy tej dostojnej rodziny przez tłumaczenie nieporozumienia nie wchodziło w grę. Mogli przecież zareagować na podobne upokorzenie gwałtownie. Marcel zmuszony więc był pojąć za żonę kobietę, którą postawił na jego drodze los i nadmierna towarzyskość brata. Żona miała siedemnaście lat. Jej dyskretna uroda cieszyła go aż do chwili, kiedy po wymianie kilku zdań zorientował się, że dziewczyna była wręcz anielsko głupia. Zachwycała się wszystkim i patrzyła na młodego męża wzrokiem pełnym podziwu. Marcel nieustannie oscylował między uczuciem wniebowzięcia i poirytowaniem, szczególnie kiedy statek, który wiózł ich do Afryki, minął skalę Gibraltaru i pruł przez fale Atlantyku. Oparta o burzę, ofiarowała swoją niewinność nieznanym wiatrom. Koniuszką języka chwyciła sól z lodowatych bryzgów. Śmiejąc się i drżąc, chroniła się w jego ramionach, a on sam nie wiedział, czy powinien ją rugać, że wyprawia taki cyrk, czy błogosławić jej dziecinną radość. Wahał się przez chwilę, zażenowany i nieporadny, ale zawsze w końcu przyciskał ją do siebie z całych sił, bez strachu ani niechęci. Miała ciepłe i delikatne ciało anioła tuż przed upadkiem, cudem ocalałe z epoki nieznaną jeszcze

miazmatów grzechu i chorób. W bulajach przesuwają się coraz bardziej dzikie, dalekie wybrzeża, nad brzegami pochylały się powyginane drzewa, przy ujściach przeogromnych rzek szmaragdową wodę oceanu maciły długie arabeski błota, a upał stawał się nie do zniesienia. Marcel spędzał całe dnie w kabinie, w łóżku z żoną. Siadała mu okraciem na twarzy, opierając dłonie o; ścianę, zdyszana i roześmiana pod welonem roztrzepanych włosów. Patrzyła na niego i dotykała go z ciekawością pensjonarki, ze zmarszczonymi w skupieniu brwiami, muskając każdą, najmniejszą część jego ciała, jakby chciała upewnić się, że nie jest duchem i że nie rozwieje się w świetle dnia. Pozwolił, by obnosiła się z własną nagością i bezwstydnie siadała po turecku w drugim końcu łóżka. Czołgał się do niej, by położyć głowę na jej udach i zasnąć. To ona uwolniła go wreszcie od dziwki z Marsylii. Pieszczoty młodej żony wytoczyły z jego żył ostatnią kroplę jadu, który od lat się w nich sączył. Teraz nie bał się niczego. Nie widział już w ludzkich ciałach wypełnionej posoką czary, w głębi której czyhały okrutne i złe demony. Byłby zupełnie szczęśliwy, gdyby za każdym razem, kiedy pojawiał się w towarzystwie żony przy kapitańskim stole, nie obawiał się, że ktoś zada jej niewinne pytanie, na które ona odpowie tak głupio, że wszyscy goście zamilkną. Albo że nic nie odpowie, tylko otworzy ze zdziwieniem buzię i spuści oczy, parszcząc śmiechem. Za każdym razem, kiedy zwracała się do niego w miejscu publicznym, cierpiał katusze. Wstydział się, że rozmawia z nim po korsykańsku, w tym śmiesznym dialekcie, z akcentem, którego on także nie mógł się pozbyć, a jednocześnie cieszył się, że nikt nie zrozumie, co mówi, i niecierpliwie czekał na moment, kiedy zamkną się drzwi kabiny i wszelkie obawy i żale znikną w ich wzajemnej bliskości. Podjął obowiązki urzędnika administracji centralnej dużego afrykańskiego miasta, które bardziej przypominało kupę szop i błota niż miejsce, o którym marzył. Świat nadal – nawet kiedy Marcel prawie osiągnął swe cele – uparcie stawiał przeszkody na jego drodze. Ulice były pełne ostrych zapachów i nawet woń dojrzałych owoców i kwiatów przypominała mu zabójczy, słodkawy odór zgnilizny. W lnianym garniturze kroczył dostojnie wśród zwierząt i ludzi, rozsiewających – w szumie zwiewnych, kolorowych tkanin – woń egzotycznych ciał i nieustannie powstrzymywał się od wymiotów. Bliskość z miejscową ludnością każdego dnia coraz bardziej go brzydziła. Nie przyjechał tu, by przywieźć im cywilizację. Sam znał ją pobieżnie i tylko z tego, co wyczytał w tekstach mistrzów. Przyjechał tu, by uzyskać to, co los był mu winien, i wreszcie zacząć żyć godnym siebie życiem, które do tej pory mu umykało. Tym razem nie pokładał nadziei w Bogu, lecz w pozycji urzędnika państwowego, dostępnej obecnie wszystkim dzieciom Republiki. To ona pozwoli mu wznieść się w hierarchii i wyrwać z nizin, z których nie mógł się wydostać ze względu na urodzenie. Przygotowywał się do egzaminów i jednocześnie stopniowo zacierał stygmaty wstydlivej przeszłości. Pracował nad postawą, sposobem chodzenia, akcentem, a przede wszystkim starał się mówić jasno i wyraźnie, jakby dzieciństwo spędził w którymś z zameczków w Touraine. Przedstawiał się, kładąc akcent na ostatnią sylabę swego nazwiska, starannie wymawiał samogłoski. Zrezygnowany pogodził się ze swoim przedniojęzykowym, dźwięcznym r, bo kiedy starał się wymówić je gardłowo, wydawał z siebie odgłos przypominający pomrukiwanie kota lub rżęzenia konających. Jeanne-Marie pisała, że André Degorce wyjechał wraz ze swym pułkiem wojsk spadochronowych do Indochin, że się o niego boi i że jest szczęśliwa z powodu narodzin córeczki, z detalami opowiadała o tym, jak rodzice się starzeją. Każdy jej list przypominał mu o grzechu pochodzenia, za który nie ma odpuszczenia, mimo że teraz czuł się już zupełnie swobodnie i w biurze, i na bankietach dla attaché. Zazwyczaj chadzał na nie sam w obawie, by czar, jaki uwolnił go od niego samego, nie prysł w obecności żony. Czekala na niego w domu, pod ochroną własnej prostoty, zawsze i niezmiennie wesoła. Niczego nie chciała się nauczyć, uparcie rozmawiała z nim po korsykańsku i pomagała bonie z ludu Malinkę w domowych pracach. Marcel robił jej o to wyrzuty, a ona zamykała mu usta pocałunkami, pieszcząc, rozbierała go stojącego i ciągnęła do łóżka. Opadał na nie z rozpostartymi

ramionami, a ona zaciągała moskitierę. Patrzył na żonę, dmuchał na jej wilgotne piersi, całował jej pachwiny, usta, skrzydełka nosa, powieki, aż któregoś dnia zaskoczył go jej zaokrąglony brzuch. Powiedziała, że trochę przytyła i że sukienki zaczynają być ciasne, pewnie dlatego, że za dużo je. Zapytał, czerwieniąc się, kiedy ostatnio miała miesiączkę. Nie wiedziała, nie zwróciła na to uwagi. Wziął ją w ramiona i uniósł wysoko, a z nią jej anielską głupotę, jej śmiech i echo barbarzyńskiego języka, który odrzucił. Dał się ponieść absurdalnej, zwierzęcej radości, której sam nie rozumiał, która nie wymaga rozumienia, bo wystarcza sama sobie i nikt nie musi nadawać jej sensu. Żona była w szóstym miesiącu ciąży, kiedy Marcel zdał egzamin i dostał awans na administratora okręgu gdzieś na końcu świata, znalezionego nie w piekle, lecz w kolonialnym katastrze. Od tej chwili królował nad olbrzymim obszarem mokradeł zamieszkanym jedynie przez komary, Murzynów, dzikie rośliny i zwierzęta. Nad frontonem jego rezydencji na drzewcu zwisał wyblakły łach francuskiej flagi. Marcel mieszkał z dala od nędznej osady, gdzie nad brzegiem błotnistej rzeki stały ulepione z błota chaty, a dzieci spacerowały z uwiązanyimi na sznurku ślepymi starcami wznoszącymi ku białawemu niebu martwe oczy w tym samym mlecznobiałym kolorze. Sąsiedował z żandarmem, który coraz bardziej ulegał skłonności do picia, lekarzem-alkoholikiem i misjonarzem, który odprawiał mszę po łacinie. Audytorium księdza stanowiły głównie kobiety z nagimi piersiami, a on starał się zafascynować opornych na wiarę historią Boga, który stał się człowiekiem i umarł jak niewolnik, by zbawić cały świat. Marcel usiłował wraz z tymi trzema podtrzymać ogień cywilizacji, byli bowiem tutaj jedynymi jej strażnikami. Kolację podawał im boy w liberii, który ustawiał błyszczące naczynia na nieskazitelnie białym, wyprasowanym obrusie.

Marcel pozwalał żonie, okrągłej i uśmiechniętej, siadać ze wszystkimi do stołu, bo wiedział, że wraz ze swymi osieroconymi towarzyszami bierze udział w farsie, w której konwencje społeczne, gafy i kompromitacja przestały cokolwiek znaczyć. Poza tym nie chciał już, by pozbawiały go one towarzystwa osoby będącej jedynym źródłem jego radości. Bez żony gorycz sukcesu byłaby nie do zniesienia. Tysiąc razy wolałby być dziesiątym lub dwudziątym w hierarchii w Rzymie niż gubernatorem spustoszonego, barbarzyńskiego królestwa na skraju Imperium. Ale nikt nigdy nie zaofiaruje mu podobnego wyboru, gdyż Rzym przestał istnieć, Rzymu już nie było. Ostały się tylko barbarzyńskie królestwa, z których się nie ucieka, a ten, komu udało się uciec przed własną nędzą, przejmuje nikomu niepotrzebną władzę nad jeszcze nędzniejszymi. Tak właśnie uczynił Marcel i robił to z bezlitosną zawziętością ludzi, którzy zaznali biedy, a teraz nie znoszą nawet jej odrażającego widoku i mszczą się na sobie podobnych. Może każdy świat jest tylko zdeformowanym odzwierciedleniem wszystkich innych, zwierciadłem, w którym śmieci zdają się błyszczyć niczym diamenty, a może istnieje tylko jeden, jedyny świat, przed którym nie ma ucieczki, bo wszystkie złudne drogi tu właśnie się łączą, w łożu, w którym młoda żona Marcela kona po wydaniu na świat ich syna, Jacques'a. Najpierw skarżyła się na bóle brzucha, potem chwyciła ją niesłabnąca gorączka. Po kilku dniach bezskutecznego stosowania antybiotyków lekarz postanowił skoncentrować infekcję w jednym punkcie. Uniósł mokre prześcieradło, pochylił się nad młodą, chorą kobietą, podciągnął jej koszulę. Marcel też się pochylił, poczuł ciepły oddech lekarza przesiąknięty zapachem whisky i ujrzał jego drżące dłonie wstrzykujące w udo położnicy olejek terpentynowy.

Przez następnych kilka nocy i dni Marcel obserwował malutki, czerwony punktik na skórze żony, czekając, aż jej naczynia krwionośne oczyszczą się z trucizny, od której umierała. Błagał ją, by się nie poddawała, wierzył, że magia woli wystarczy, by zmusić wycieńczone ciało do walki. Skóra na udzie pozostała jednak biała i gładka, nie pojawił się na niej żaden wrzód. Marcel wiedział, że jego żona umrze, ale ufał, całując ją w rozpalone czoło, że ona tego nie wie i się nie dowie, że anielska głupota będzie ją chronić do końca. Ale pomylił się, bo żadna głupota nie chroni przed rozpaczą. Żona płakała w gorączce, kazała

przynieść sobie dziecko, całowała je i głaskała, chwytala Marcela za szyję, krzycząc, że nie, nie chce ich zostawić, chce jeszcze żyć. Zasnęła na chwilę, budziła się, płacząc, bała się nocy i nic nie mogło jej ukoić. Marcel przytulał ją do siebie z całych sił, ale nie udało mu się wyrwać żony z odmětów nieuchronnie ciągnących ją w ciemność, której tak bardzo się bała. Drgawki i łzy osłabiły ją i w końcu pozwoliła ponieść się prądom, które porzuciły ją, nieruchomą i zimną, w całunie pomiętego prześcieradła. Jej twarz była zniekształcona strachem i przypominała woskową maskę. Marcel nie rozpoznał w niej młodej, śmiejącej się kobiety, której prostotę i bezwstydnosc tak kochał. Przez chwilę wierzył, że jej delikatny, zwiewny oddech, lekki jak dusza, opuścił to skandalicznie sztywne ciało i schronił się w jasnym, pełnym dobroci i pokoju miejscu. Ale wiedział, że tak nie jest. Pozostał tylko trup, którego kształty już zaczynały się zacierać, więc pozwolił swoim łzom popłynąć na tę relikwię. W czasie pogrzebu pomyślał o rodzinie, która jeszcze nic nie wiedziała. Wolałby, żeby to jego matka, przyzwyczajona do wszystkiego, co związane ze śmiercią, stała teraz obok niego zamiast żandarma i lekarza potykających się w tropikalnej plusze, podczas gdy misjonarz znudzonym głosem recytował nad skąpanym w deszczu, świeżo wykopanym grobem psalmy. Kiedy położono płytę, pozostał jeszcze chwilę sam, a potem poszedł do syna, który z zamkniętymi oczami ssał czarną pierś bony Malinkę. Nienawidził tego dziecka, nienawidził tego kraju, to oni wspólnie zabrali mu żonę. Nienawiść ogłuszyła go, nie docierały do niego skargi lekarza na brak antybiotyków. Musiał znaleźć winnych, nic sobie nie robił ze sprawiedliwości ani z logiki. Nagle przestraszył się, że ten przeklęty kraj odbierze mu również dziecko, które znienawidził za to, że się urodziło, ale ponieważ przyszło na świat, zamiast pozostać na zawsze w czeluściach niespełnienia, nie chciał go stracić. Najmniejsza szparka w moskitierze nad kołyską budziła w nim śmiertelny strach, że znajdzie syna zagryzionego przez monstualne owady, od których roi się afrykańska noc. Niejednokrotnie widział mrowie błyszczących oczu, fosforyzujących w głębokich i dusznych ciemnościach, czuł wokół siebie nieforemne kłębawisko potworów, które żądza mogła popchnąć do zatopienia w delikatnym ciele dziecka pełnych jadu żuchw lub do złożenia na nim jaj larw. Marcel intuicyjnie zrozumiał, że nie potrafi ochronić Jacques'a. Napisał długi list do swojej ukochanej siostry. Jeanne-Marie, nie zdołam ochronić go przed tym okrutnym klimatem, gdzie roi się od różnych bestii, nie chcę, żeby umarł jak matka, i nie chcę, żeby dorastał bez niej, pozwól mi znaleźć w tobie matkę, a w twojej małej Claudie siostrę. Zdaję sobie sprawę, o jak wielką rzecz cię proszę, ale do kogóż innego mógłbym się zwrócić, jeśli nie do ciebie, przecież nigdy nikomu nie żałowałaś czułości i uczucia. Kiedy Jeanne-Marie ze wzruszeniem wyraziła zgodę, poczekał na urlop i pojechał do Francji powierzyć jej syna. Wracając samotnie do Afryki, płakał, sam nie wiedział: z poczucia winy czy ze smutku. W głębi duszy odczuwał ogromną ulgę, że zdołał uratować syna, i jednocześnie niepokój, że się go pozbył. Po powrocie do swego czyścica rozpoczął na nowo monotonne objazdy afrykańskiego, ciemnego stepu. Zatrzymywał się w osadach, gdzie witały go ustawione według wzrostu, ogłupiałe dzieci, którym przyznawał przybliżoną datę urodzenia, by uzupełnić dane w spisie ludności. Wymierzał sprawiedliwość zmęczonym gestem upadłego boga, starannie notując szczegóły niedorzecznych konfliktów. Zmuszał się, by wysłuchać do końca strony przedstawiające mu rozpaczliwe skargi w narzeczu peulh, susu, maninka i we wszystkich innych prymitywnych językach nędzy, których dźwięku nie znosił, a potem wydać sprawiedliwy wyrok i wreszcie osiągnąć dobrodziejstwo wymarzonej ciszy. W czasie zbiorów bawełny bezlitośnie walczył z chciwością belgijskich kupców, którzy oszukiwali na wadze, i ze wzgardą odrzucał wszelkie propozycje łapówki. Uczciwość stanowiła jego jedyny szlachecki herb, więc z niezłomną rzetelnością prowadził rejestr podatku pogłównego, a wieczorem, gawędząc z doktorem, żałował, że wrzód żołądka nie pozwala mu pić z nim do upadłego i zapomnieć o grozie nocy. Jeanne-Marie pisała mu, że Jacques rośnie i że o nim myśli. Ona sama, od przegranej pod Eien Bien Phu, nie miała od André Degorce'a żadnej

wiadomości, ale nie traciła nadziei, bo Bóg nie może być na tyle okrutny, by w podobny sposób odebrać jej drugiego męża. Imperium powoli podupadało, Jeanne-Marie pisała, że Viet Minh wypuścił André na wolność. Jestem taka szczęśliwa, Jacques myśli o tobie i przesyła całusy, rośnie jak na drożdżach, André wkrótce wyjedzie do Algierii. Marcel zazdrościł szwagrowi pełnego przygód żyda, które w bolesny sposób kontrastowało z pustką jego własnej egzystencji. Nawet nie widział upadku Imperium, nawet nie słyszał głuchych odgłosów rozsypujących się w gruzy fundamentów, zbyt skoncentrowany na upadku własnego ciała, które Afryka powoli i uparcie zarażała zgnilizną. Patrzył na grób żony, ze złością ścinał obrastające go chwasty i wiedział, że wkrótce pójdzie za nią, bo demon wrzodu żołądka, wypasiony na zawilgłym upale, zadawał mu niewyobrażalne tortury, jakby jego diaboliczna intuicja pozwoliła mu wyczuć, że na zewnątrz, w wilgoci zgniętego powietrza, tysiące sprzymierzeńców pomogą mu dokończyć dzieło powolnego wyniszczenia. Marcel czuwał więc nocą, słyszał krzyki zwierzyny, słyszał osuwające się na piasek ciała zabłąkanych, chorych na śpiączkę ludzi. Krokodyle ciągnęły ich potem w stronę wody, słyszał nagłe kłapnięcia szczęk, z których tryskały fontanny błota i krwi. Jego własne ciało słabło, miał wrażenie, że wnętrzności krążą po demonicznej orbicie, której centrum znajdowało się w głębi jego jamy brzusznej, nieruchome jak czarne słońce. Pączki kwiatów otwierały się w jego oskrzelach, korzenie zagłębiały się w ciało żyłami, aż do koniuszków palców u dłoni. W barbarzyńskim królestwie, jakim stało się jego ciało, toczyły się okrutne walki. Rozlegały się dzikie krzyki zwycięzców, zabójcy masakrowali zwyciężonych. Marcel obserwował swoje wymioty, mocz, kał w panicznym strachu, by nie ujrzeć w nich złotych gron larw, pajaków, krabów lub padalców, i czekał na samotną śmierć. Bał się, że zgnilizna zeżre go przed nadejściem ostatniej godziny. Prowadził dziennik choroby, skrupulatnie notując wszelkie symptomy: trudności z oddechem, dziwne zaczerwienienia na łokciu i w pachwinie, rozwolnienia i zaparcia, niepokojące odbarwienie prącia, swędzenia, pragnienie, i myślał o synu, którego nigdy nie zobaczy, o młodej żonie, o jej udach wokół swej twarzy. Zdawało mu się, że ona żyje, i gwałtownie jej zapragnął. Zanotował potem: majaczenie, priapizm, nekrofilia, nostalgia letalna. Po cichutku podszedł do odkurzającej meble w salonie bony Malinkę, zadarł jej sukienkę i wziął ją bez słowa, rozpościerając nad nią ramiona niczym sęp pochylony nad niewzruszonym trupem. Zatrzymał się, kiedy zbliżający się orgazm zawstydził go i pchnął do tyłu w ostatniej chwili przed wytryskiem. Stał oparty o ścianę, w opadniętych do kostek spodniach, z zamkniętymi z przerażenia oczami, z drżącym w ohydnych drgawkach penisem, a bona Malinkę ocierała go delikatnie jak dziecko zamoczoną w letniej wodzie ścierką, którą potem wytarła szarą kałużę nasienia z kafelkowej posadzki. Nadal żył – nękające go siły stanowiły samo życie, a nie śmierć. Życie ograniczone i prymitywne, z którego rodzą się kwiaty, pasożyty i szarańcza. Życie, z którego sączą się organiczne wydzieliny. Nawet myśl ludzka wycieka z mózgu niczym ropa z rany. Nawet dusza to tylko fluidy, którymi rządzą skomplikowane prawa płodnej i bezmyślnej mechaniki, skamieniałe, żółtawe wątrobiane zrosty, różowa galareta skrzepów w tętnicach, pot, wyrzuty sumienia, łzy i smarki. Którejś nocy Marcel usłyszał hałas na tarasie, huk przewracanych krzeseł i rozpaczliwe walenie w drzwi. Otworzył i ujrzał opartego o framugę, drżącego od gorączki doktora, który jęczał: Proszę mi pomóc, nic nie widzę, oslepiłem, proszę mi pomóc, a kiedy obrócił twarz w stronę Marcela, spod jego powiek wytrysnęły robaki i wraz ze łzami spłynęły po policzkach. Marcel położył go do swojego własnego łóżka, na dziesięć dni, bo tyle trwało leczenie loajozy. Wsłuchiwał się w jego jęki, kiedy obolałe, opuchnięte i zdeformowane kończyny ocierały się o pościel, pomagał mu znieść perwersyjne skutki uboczne noteziny, mimo całego obrzydzenia, jakim napawało go to ciało – które zamieszkane przez monstualny nadmiar życia spuchło i pokryło się świadem, ropniakami, guzami, wrzodami spowodowanymi zbutwieniem nitkowców pod skórą – i podpuchnięte, czerwone, ślepe oczy, przypominające oczy płodu. Kiedy doktor wyzdrowiał, Marcel pożegnał go z

ulgą. Kazał bonie Malinkę dezynfekować dom od piwnicy po strych i znowu znalazł się w szpitalnym, aseptycznym otoczeniu, jakiego wymagały jego fobie. Mył ręce w alkoholu, czyścił szczoteczką paznokcie aż do krwi, nadal notował wszelkie objawy, pojawiające się guzki, posocznice, nekrozy, ale jedyną chorobą, na którą naprawdę cierpiał, była przerażająca samotność. Starał się ją wypełnić, wysyłając codziennie list do szwagra w Algierii. Musiał podzielić się z kimś pewnością własnej niechybnej śmierci, zwierzyć się komuś i stworzyć przynajmniej załazek ludzkich relacji, nawet jeśli jedyna osoba, którą wybrał na powiernika i którą darzył fanatycznym podziwem, nigdy mu nie odpowiadała, gdyż ukryty i zamurowany w ciszy ciemnych, algierskich piwnic kapitan André Degorce sam coraz bardziej pograżał się w czeluściach samotności, mając za jedyne towarzystwo własne pokryte krwią ręce. Marcel przyjechał do miasteczka na pogrzeb ojca, a potem matki. Nie płakał za nimi, bo śmierć zawsze była ich powołaniem, poczuł się wręcz szczęśliwy, że wreszcie usłuchali głosu, który tak długo do nich nie docierał. Spotkał się ze starszymi siostrami, których nie poznał, z Jean-Baptiste'em i Jeanne-Marie. Nie ośmielił się przytulić syna, który najwyraźniej nie miał na to ochoty. Zapytał go, jak się miewa, i Jacques powiedział, że dobrze. Dodał, że mieszka od niego daleko, ale że go kocha, na co Jacques znowu przytaknął. Zamilkli aż do wyjazdu Marcela do Afryki, gdzie czekał na niego awans na stanowisko gubernatora okręgu. Zwolnił doktora, misjonarza i żandarma, nieznaczących towarzyszy swych straconych lat, i wyjechał wraz z boną Malinkę, zabierając ze sobą prochy żony, by pogrzebać je po raz drugi w pobliżu swego nowego domu. Sześć miesięcy później Imperium przestało istnieć. Marcel nawet się nie zorientował. Czy właśnie w ten sposób umierają imperia – niezauważalnie i bez najmniejszego szelestu? Nic się nie wydarzyło, Imperium zniknęło, a Marcel, zajmując swoje nowe biuro w paryskim ministerstwie, rozumiał, że podobnie będzie z jego życiem: nic nigdy się w nim nie wydarzy. Wszystkie świetlane drogi pograżyły się w ciemności. Podpułkownik André Degorce, po ostatniej porażce, powrócił szukać odkupienia, którego nigdy nie uzyskał, w ramionach żony. Pole grawitacji upadłego kraju przyciągało wielu, ale powrót miał gorzki smak. Czas stał się lżejszy o utraconą nadzieję i uciekał, niezauważalnie i pusto, w coraz szybszym rytmie pogrzebów, które wzywały Marcela do miasteczka. Jakby grzebanie bliskich stało się jego jedyną trwałą misją. Żona spoczywała teraz na Korsyce, ale zmarła już tak dawno, że zapewne złożył do grobu jedynie kilka suchych gałązek pokrytych gliną. W Paryżu, jedna po drugiej, zgodnie z kolejnością zapisu w księgach stanu cywilnego, zmarły jego starsze siostry. Mdły smak samotności i zimna mżawka zamknęły paszcze krokodylom i przepędziły osłepiająco białe słońce, a wraz z nim owady składające jaja pod przezroczystymi powiekami. Skończyły się epickie zmagania z losem, należało zadowolić się wartymi jedynie pogardy przeciwnościami, jak grypa, reumatyzm, powolne obumieranie, przeciągi w olbrzymim mieszkaniu w VIII dzielnicy, do którego Jacques nie chciał się z nim przeprowadzić, nie wyjaśniając dlaczego. Nie odważył się wyznać, że żywi hańbiące uczucia do tej, którą powinien uważać za siostrę. Jacques miał wtedy piętnaście lat, Claudie siedemnaście. Jeanne-Marie płakała gorzkimi łzami, kiedy opowiadała Marcelowi, jak zastała ich zupełnie nagich obejmujących się w dzieciennym pokoju, wyrzucała sobie naiwność, zaślepienie i winę, bo wiedziała, jak bardzo się kochali, ale uważała ich uczucia za czułe i braterskie. Nigdy nie chcieli się rozstawać, a ona nie widziała w tym nic złego, wręcz przeciwnie, wzruszała się tym jak idiotka i na własnej piersi wychowała dwie lubieżne istoty. To wszystko jej wina, woli nie wiedzieć, kiedy zaczęła się ich rozwiązłość. Nawet się nie zawstydzili własnej niemoralności, Claudie stanęła przed nią wyprostowana, naga i spocona i obrzuciła matkę wyzywającym spojrzeniem. Nic nie pomogły wyrzuty i razy. Jacques został wysłany do katolickiego internatu, a Claudie przestała odzywać się do rodziców, twierdząc, że ich nienawidzi. Czas nie zdołał złagodzić jej kazirodczej determinacji. Jeanne-Marie przechwyciła sekretną i haniebną korespondencję. Claudie niczego im nie Oszczędziła, ani codziennych łez i krzyków, ani histerycznego milczenia. Trwało to latami. Jacques uciekł z

internatu, odwieziono go tam siłą i ukarano – srodze i nieskutecznie. Aż wreszcie emerytowany generał André Degorce zmuszony był po raz kolejny pogodzić się z klęską, wywiesić białą flagę kapitulacji i sprawić, by wszyscy zaakceptowali nieuniknione poníženie, jakim był ten związek. Po kilku latach łakomego i egoistycznego cielesnego rozpasania małżonków pobłogosławiły wreszcie narodziny córki, bo nawet najbardziej samolubna para nie umknie bezlitosnemu cyklowi narodzin i śmierci. Marcel pochylił się nad kołyską Aurelie, potem Matthieu. I nad czeluściami grobów, które zgodnie z mądrą kolejnością zapisów w księgach stanu cywilnego pochłonięły Jean-Baptiste'a i Jeanne-Marie. I nad zbrukanymi krwią, zimnymi dłońmi André Degorce'a, którego serce już dawno przestało bić. Marcel został sam, wybiła godzina emerytury, która potwierdziła to, o czym zawsze wiedział. Nie wydarzyło się nic. Linie ucieczki zatoczyły tajemniczy krąg i zamknęły się, w nieunikniony sposób prowadząc go na powrót do znieawidzonego miasteczka, gdzie spędził dzieciństwo. W walizce, na złożonych wełnianych i lnianych garniturach, leżała stara fotografia z 1918 roku, na której światłoczułe halogenki srebra na zawsze utrwaliły obok matki i rodzeństwa enigmatyczną twarz nieobecności. Czas stał się ciężki i nieruchomy. Nocą Marcel przechadzał się teraz ze swoją starością po pustym domu, od pokoju do pokoju, w poszukiwaniu młodej, roześmianej i głupiutkiej kobiety, z której stratą nigdy się nie pogodził. Znalazł jedynie swego ojca, czekającego na niego w kuchni. Z jego bladych ust nigdy nie wydobył się żaden dźwięk. Patrzył na swego ostatniego syna poprzez spalone rzęsy. Patrzył z wyrzutem. Marcel ugiął się pod ciężarem tych niemych wymówek, bo zrozumiał, że minął się z tyłoma już dziś nieistniejącymi światami i że nikt nie przywróci mu młodości. Wcale tego nie pragnął, bo przecież i tak nic by się nie zmieniło. Pochował swoich, teraz ktoś inny weźmie na siebie tę wyczerpującą misję. Pozostaje tylko czekać, aż jego wiecznie chybotliwe i nie do zdarcia zdrowie wreszcie się podda i – kiedy zgodnie z kolejnością ustanowioną przez wpis do ksiąg stanu cywilnego przyjdzie na niego pora – pozwoli mu wyruszyć w samotną podróż do grobu.

**„Bowiem Bóg stworzył dla ciebie jedynie świat, który
przemija”**

W tym miasteczku zmarli sami idą do grobu, choć niosą ich ręce obcych ludzi. Tak więc Jacques Antonetti sam udał się do swojej mogiły, podczas gdy jego rodzina, stojąc razem przy wyjściu z kościoła w promieniach czerwcowego słońca, przyjmowała kondolencje – z dala od niego, bo ból, obojętność lub współczucie wyrażają życie, którego obraźliwy spektakl powinien być starannie ukryty przed zmarłym. Jacques Antonetti umarł trzy dni wcześniej w paryskim szpitalu. Samolot, który przywiózł go w rodzinne strony, wylądował rano w Ajaccio, dokładnie w chwili, kiedy jego syn Matthieu wyszedł z wyra kelnerek i zszedł do baru, by przygotować sobie kawę. Libero, ubrany w garnitur, stał już za kontuarem i włączył ekspres. Matthieu był wdzięczny, że przyjacielowi chciało się zerwać tak rano, by dotrzymać mu towarzystwa.

– Spaleś tutaj?

Matthieu przytaknął, spuszczać głowę. Wolałby spędzić te dwie ostatnie noce u siebie, przedwczoraj miał taki zamiar, ale dziadek siedział bez słowa i zdawał się nawet nie zauważać jego obecności. Matthieu też usiadł w fotelu, ze wzrokiem utkwionym w spuszczone żaluzje. Kiedy zapadła ciemność, wstał, by zapalić lampę, ale dziadek rzekł:

– Nie.

Bez mchu, nie podnosząc głosu, po prostu rzekł:

– Nie.

A potem dodał:

– Nie taka jest kolej rzeczy.

Zamachał dłonią, co Matthieu zinterpretował jako prośbę, by zostawić go w spokoju. A może było to coś bardziej gwałtownego i definitywnego, nieznoszący sprzeciwu nakaz natychmiastowego odejścia, potrzeba samotności i nocnej ciszy. Matthieu usłuchał, przestał się naprzykrzać dziadkowi, sam również oswoił się z jego obecnością i już nie wrócił do domu. Libero podał mu kawę i usiadł obok przyjaciela, mierząc go wzrokiem od stóp do głów.

– Tak chcesz tam iść? Tak chcesz iść na pogrzeb własnego ojca?

Matthieu miał na sobie czyste dzinsy i czarną, szybko przeprasowaną koszulę. Spojrzał niepewnie na swój ubiór.

– Nie pasuje?

Libero zbliżył się do niego i objął go za szyję.

– Nie, nie pasuje. Nie możesz tak pochować ojca. Śmierdzisz potem. Śmierdzisz perfumami. Po prostu śmierdzisz. Wyglądasz okropnie. Pójdziemy do mojej matki, wykąpiesz się, ogolisz, znajdziemy ci jakiś garnitur, krawat, na pewno coś będzie na ciebie pasowało. Wszystko będzie dobrze, zrobisz to, co do ciebie należy, wszystko będzie dobrze. Pomogę ci. Zobaczysz, wszystko będzie dobrze, obiecuję.

Matthieu poczuł napływające do oczu łzy. Zatrzymały się na skraju powiek, a kiedy zawahały się, czy popłynąć dalej, powstrzymał je. Westchnął głęboko i na chwilę przycisnął twarz do piersi Libero. Dwie godziny później do miasteczka wjechał karawan, a za nim niekończący się sznur samochodów. Dzwoniły dzwony. Matthieu czekał przy wejściu do kościoła w towarzystwie dziadka. Miał na sobie za dużą marynarkę, w której wyglądał jak strach na wróble. Zakazano mu odpinać guziki, by nikt nie zauważył wiszących na nim spodni ani podtrzymującego je nad pępkiem paska. Libero uniósł w jego stronę kciuk na znak, że wszystko jest w porządku. Nagle, w chwili, kiedy wyjmowano trumnę z wozu pogrzebowego, z zaparkowanych wokół samochodów zaczął wylewać się tłum zachłannych

ludzi i rzucił się na Matthieu, by go całować. Nieznajome kobiety przyciskały go do czarnych koronek żałobnych sukni, policzki kleiły mu się od obcych łez, czuł ostry zapach wody kolońskiej, kremów na dzień i tanich perfum. Kątem oka ujrzał inne nieznane mu osoby, przepychające się w stronę Marcela. Jeden z pracowników zakładu pogrzebowego krzyknął:

– Potem! Kondolencje będą potem! Po uroczystości!

Ale nikt go nie słuchał. Tłum przykleił Matthieu do ściany kościoła i obezwładnił go w lepkiem uścisku. Kręciło mu się w głowie. Ujrzał wyciągającą ku niemu ramiona matkę, zawołał ją, ale przechwyciły ją czyjeś bezlitosne, spragnione świeżo owdowiałego, cierpiącego ciała ręce. Aurelie stała obok karawanu i płakała. Ją również porwała ciężka fala łapczywego współczucia, wilgotne usta i złote, połyskujące spod zaślinionych warg zęby zbliżyły się łakomie do jej policzków. Matthieu miał wrażenie, że zaraz rozpuści się w zupie ludzkiego współczucia. Mokra od potu koszula przylepiła mu się do pleców, pasek wbijał się boleśnie w skórę na brzuchu. Nagle wszystko ucichło, tłum rozstał się przed zmarłym, niesionym przez Virgila Ordioniego, Vincenta Leandriego i czterech braci Libero. Matthieu ruszył za nimi, trzymając wreszcie pod rękę odnalezioną matkę, z dziadkiem i Aurelie przy boku. Wkraczając do kościoła, przymknął oczy, bo poczuł na sobie cudowną pieśczętę świeżego powietrza. Przy ołtarzu Pierre-Emmanuel Colonna i jego koledzy z Corte śpiewali Requiem. Podczas całej ceremonii Matthieu bezskutecznie szukał w sobie żalu. Nie znalazł go. Wpatrywał się w wypolerowane drewno trumny, w woskową twarz ojca, słyszał szlochy matki i Aurelie, ale to nic nie pomogło. Zamykał oczy i przywoływał smutne myśli, ale nie zdołał obudzić w sobie rozpacz. Czasami zdawało mu się, że jest tuż tuż, wargi zaczynały mu lekko drżeć i myślał, że zaraz z oczu popłyną łzy. A wtedy wszystkie źródła jego ciała nagle wysychały, stawał się obojętny i suchy, wyprostowany przy ołtarzu niczym martwe drzewo. Kapłan po raz ostatni obszedł trumnę z kadzidłem, w kościele rozlegały się modlitewne śpiewy:

Wybaw mnie, Panie, od śmierci wiecznej.

Trumna chwiejnie skierowała się ku wyjściu. Matthieu wiedział, że jest w niej jego ojciec i że idzie za nim po raz ostatni, ale nie płakał. Ucałował krucyfiks z pobożnością, której wolałyby nie udawać, ale na krzyżu nie znalazł ani Ojca, ani Boga, poczuł tylko na ustach zimny dotyk metalu. Drzwi wozu pogrzebowego zamknęły się. Claudie we łzach szeptała imię męża, które było również imieniem jej brata z dzieciństwa. Jacques Antonetti rozpoczął marsz w stronę grobu. Był sam: zgodnie z panującą w miasteczku tradycją idący obok w rytmie jego milczenia obcy ludzie się nie liczyli. Kondolencje trwały wieczność. Matthieu odpowiadał machinalnie:

– Dziękuję.

Kiedy zbliżały się do niego znajome twarze, próbował się uśmiechać. Virginie Susini wyglądała cudownie i objęła go tak mocno, że wyczuł powolne bicie jej nasyconego śmiercią serca. Kelnerki, siedząc na murku, czekały, aż tłum się przeredzi, a kiedy podeszły, Matthieu z trudem się opanował, by nie pocałować Izaskun w usta. Kiedy wszystko się skończyło, pozostało jeszcze trzydzieści osób, które udały się do Antonettich, gdzie siostry Libero zaserwowały kawę, nalewkę i ciasto. Cichymi głosami podjęto rozmowy, potem mówiono coraz głośniej, czasami rozlegał się krótki śmiech i powróciło życie, wesołe i nieugięte, jak to zwykle bywa, choć zmarli nie muszą o tym wiedzieć. Matthieu z kieliszkiem nalewki wyszedł do ogrodu. Virgil Ordioni sikał na stos drewna za domem. Zawstydzony odwrócił się przez ramię w stronę Matthieu. Miał zaczerwienione oczy.

– Wstydzilem się zapytać, gdzie jest ubicacja. Ze względu na twoją matkę, sam rozumiesz.

Matthieu puścił do niego oko. Obawiał się nieuniknionej chwili, kiedy wszyscy się rozejdą. Bał się stanąć twarzą w twarz z bliskimi, z którymi nie mógł dzielić smutku, bo go nie odnalazł. O zachodzie słońca pójdą na cmentarz, kamienna płyta zostanie zamurowana,

poukładają jak należy wieńce i wiązanki kwiatów. Tylko to udało mu się dostrzec, kwiaty i kamień. I ani śladu po ojcu, którego stracił, nawet najmniejszego śladu jego nieobecności. Może by i płakał, gdyby rozumiał język symboli albo gdyby miał trochę większą wyobraźnię, ale nie rozumiał nic, nie miał żadnej wyobraźni, jego umysł obijał się o konkretną obecność rzeczy, które go otaczały i poza którymi nie było nic. Matthieu spojrzął w stronę morza i zrozumiał, że jego niewrażliwość jest nieodpartym dowodem głupoty, bo niczym zwierzę pławi się w niezmaconym i ograniczonym bydlęcym szczęściu. A wtedy czyjaś dłoń spoczęła na jego ramieniu. Zdawało mu się, że to Izaskun ulitowała się, widząc go samego, i wyszła za nim do ogrodu, bo jej także go brakowało. Odwrócił się i ujrzał Aurelie.

– Jak się czujesz, Matthieu?

Patrzyła na niego bez złości, ale spuścił przed nią oczy.

– Dobrze. Nawet nie jestem smutny.

Zbliżyła się do niego i objęła ramionami.

– Ależ tak, jesteś smutny, jesteś bardzo smutny.

I smutek, którego szukał przez całe popołudnie, pojawił się nagle, ubrany w słowa siostry, i nie potrzebował już wsparcia symboli lub wyobraźni. Matthieu rozplakał się w ramionach Aurelie jak dziecko. Poglaskała go po włosach, pocałowała w czoło i zmusiła, by na nią spojrzął.

– Doskonale wiem, że jesteś smutny, Matthieu. Ale to niczemu nie służy, rozumiesz. Twój smutek nie służy niczemu ani nikomu. Jest już za późno.

Piętnastego lipca otrzymał od Judith Haller list, w którym powiadomiła go, że otrzymała habilitację. Chciała podzielić się z nim radością, nie spodziewała się z jego strony odpowiedzi, miała nadzieję, że jest szczęśliwy – no właśnie, czy jest szczęśliwy? Ale Matthieu nie zadawał sobie tego pytania, czytał list, jakby przysłano go z jakiejś odległej, a jednocześnie dobrze mu znanej galaktyki, której promieniowanie budziło w nim niewyraźne echo innego życia. Schował list do kieszeni i zapomniał o nim, a potem zajął się otwieraniem butelek z szampanem na pożegnanie Sary. Zakochała się w hodowcy koni spod Taravo, który zaproponował jej, by się do niego sprowadziła. Miał jakieś czterdzieści lat i zwracał na siebie uwagę podejrzaną abstynencją i uporem, z jakim przez całą zimę, niezależnie od pogody, przemierzał kilometry dzielące knajpę od jego mieściny na drugim końcu świata. Siadał przy barze, zamawiał wodę sodową i zapadał w tajemniczą medytację. Nie przyglądał się kelnerkom, nigdy nie starał się uszczyplnąć je w tyłek lub z nimi pożartować, a nawet grzecznie odmówił powitalnych pieścizot Annie. Trudno odgadnąć, w jakiej chwili i w jaki sposób rozkwitła jego idylla z Sarą, ale dziewczyna wieszala mu się teraz na szyi i obcałowywała go, zmuszając, by napił się trochę szampana.

Pierre-Emmanuel z komiczną emfazą śpiewał piosenki o miłości, a kiedy odkładał na bok gitarę, wyciągał rękę z kieliszkiem po kolejnego szampana i czochrał rzadkie włosy Virgila Ordioniego, wskazując na szczęśliwą parę:

– Widzisz, Virgil, ty też może kiedyś znajdziesz sobie dupencję!

Virgil czerwienił się, śmiał i mówił:

– Czemu nie! Ja może też kiedyś sobie znajdę?

Pierre-Emmanuel targał go za ucho, pokrzykując:

– Och! Ty świntuchu! Łajdak z ciebie! Lubisz kobitki, co? Niezły z ciebie numerek!

I chwycił za gitarę, by w rytmie jej tremolo opowiedzieć historię dziewczyny tak pięknej, że jej matką chrzestną była z pewnością wróżka. O drugiej nad ranem Sara zebrała manatki, załadowała je do zabłoconej terenówki swojego nowego partnera i ze wszystkimi się pożegnała. Rym uściskała ją z płaczem i wymogła obietnicę regularnego informowania o nowym szczęściu. Sara przyrzekła pisać i też uroniła kilka łez. Ucałowała wszystkich, powiedziała do Matthieu i Libero, że nigdy w życiu nie spotkało jej nic lepszego niż znajomość z nimi i że nigdy ich nie zapomni. I że wszędzie tam, gdzie będzie, mogą się czuć jak u siebie w domu, co hodowca z Taravo potwierdził skinieniem głowy. Matthieu żegnał ją z istic ojcowskim wzruszeniem i nie wątpił, że jego opiekuńczy cień na zawsze będzie towarzyszył Sarze w życiu. Był z siebie bardzo zadowolony, ale dręczyło go, że Libero nie podziela jego pozytywnego nastawienia. Zdenerwowany Libero wychodził i wracał, prowadził na tarasie tajne rozmowy z Vincentem Leandrim, opieprzał dziewczyny, że głupawo szlochają, zamiast szybko posprzątać, wrócić do domu i popłakać w łóżku albo gdzie im się tylko żywnie podoba, byle nie tu. Kiedy dziewczyny poszły, Annie zaproponowała, że zostanie dłużej, na wypadek gdyby zawitali nocni klienci. Libero o mało nie zabił jej wzrokiem.

– Nie! Ty też spadaj. Musisz odpocząć, wyglądasz fatalnie.

Otworzyła usta, ale zrezygnowała i wyszła bez słowa, pozostawiając Libero, Vincenta Leandriego i zupełnie zdeorientowanego Matthieu samych.

– To odejście Sary tak cię denerwuje?

– Nie. To Annie. Jestem pewien, że ta dziwka kradnie.

Od samego początku sezonu Annie zostawała w barze po zamknięciu, którego godzinę prefektura zupełnie niesłusznie narzuciła na trzecią rano. Kiedy Libero i Matthieu szli spać, zabierając ze sobą zawartość kasy i pistolet, ona pozostawała bohaterko, siedząc na wysokim taborecie za barem, gotowa służyć nocnym pijusom, którzy przemierzali okolice w poszukiwaniu przytulnego miejsca, gdzie mogliby zakończyć podróż do krainy śpiączki alkoholowej. W mało prawdopodobnym przypadku jakiegokolwiek kontroli mogła bez problemu wyjaśnić, że bar jest zamknięty, kasa policzona, a ona wraz z kilkoma przyjaciółmi spędza w ten sposób przyjemnie czas. Wypisywała rachunki w ostatniej chwili, kiedy było pewne, że w okolicy nie pojawi się już żaden mundurowy. Ten sprytny fortel, rodzaj cywilnego aktu oporu wobec niesprawiedliwości państwa, początkowo wszystkich uszczęśliwiał. Każdy zabłąkany i nieprzytomny z wdzięczności pijus wiedział, że ma gdzie pójść. Szczodre napiwki rekompensowały Annie jej poświęcenie. Do tego dorzucała pieniądze za godziny nadliczbowe. Obroty knajpy znacznie wzrosły. Oczywiście zdarzało się, ostatnio coraz częściej, że Annie na darmo czekała na klientów. Libero początkowo się tym nie zaniepokoił, ale któregoś dnia Vincent Leandri przypadkowo powiedział mu, że jego kumple z Ajaccio, wracając z dyskoteki w sobotę wieczorem, wstąpili do baru napić się czegoś, a Annie wcześniej twierdziła, że tej nocy nikt się nie zjawił. Libero chciał dokładnie wiedzieć, kiedy, co i ile wypili znajomi Vincenta Leandriego, więc ten dla pewności specjalnie do nich zadzwonił, by się upewnić. Libero wściekł się i nie pomogło nawet, kiedy Vincent z życiową mądrością fatalisty zauważył, że kelnerki zawsze podbierały kasę, bo takie już jest prawo natury, i namawiał go do pobłażliwości. Powtarzał, że nic się nie stało, ale Libero nikogo nie słuchał, chciał przyłapać Annie na gorącym uczynku, bo jedynie to zmusi ją do przyznania się. Inaczej ta tłusta kurwa, dziwka, obrzydliwa ladacznica wszystkiemu zaprzeczy. Uspokoił się dopiero, kiedy wpadł na pomysł, jak to zrobić i ten sposób zadośćuczynić własnej, żadnej zemsty wściekłości. Zwerbował w mieście grupę młodych ludzi, o których wiedział, że nie znają Annie. Dał każdemu z nich pieniądze z poleceniem wydania ich co do ostatniego grosza w barze. Mieli przyjść nazajutrz w nocy i udawać, że są przejazdem. A przede wszystkim mieli skrupulatnie notować, co kto i ile pije, i zdać mu potem szczegółowe sprawozdanie. Wywiązali się z zadania z nienaganną lojalnością. Następnego dnia, kiedy Annie stawiała się po południu w pracy, uśmiechnięty Libero czekał na nią za barem.

– Miałaś trochę ruchu w nocy?

Uśmiech zniknął mu na chwilę z twarzy, kiedy Annie odpowiedziała „tak”, wręczając mu banknoty zawinięte w zwój rachunków. Libero przeliczył i znowu szeroko się uśmiechnął.

– Niewiele tego.

Tak, nie było dużo ludzi, jedynie dwóch facetów z Zonza, którzy zatrzymali się na kieliszek tuż przed powrotem do domu. Poczekała trochę, a potem zamknęła koło piątej. Trochę jej się dłużyło, ale trudno, nie każda noc coś przynosi, tak już jest. Libero, nie zwracając uwagi na klientów, zaczął wrzeszczeć:

– Długo jeszcze będziesz mi opowiadać te pierdoły?

Krzyczał, że w barze byli goście, jest tego pewien, ale Annie uparcie odpowiadała:

– Nie! To nieprawda! Nie!

Miała przy tym minę upartej smarkuli. Zbliżył się do niej z zaciśniętymi pięściami, opisując dokładnie każdego z chłopaków i wyliczając wszystko, co tej nocy wypili. Powiedział też, ile dał im na to pieniędzy. Przed tak przytłaczającymi dowodami Annie nie miała innego wyjścia, jak rozplakać się i błagać o przebaczenie. Libero zamilkł. Matthieu z ulgą pomyślał, że sprawa jest załatwiona, Annie zostanie zbesztana, odda pieniądze, zagrozi się jej, że przy najmniejszym kolejnym potknięciu będzie surowo ukarana, i wszystko wróci do normy. Ona sama też miała taką nadzieję.

– Odbiło mi. Oddam wszystko. To się już nigdy nie powtórzy, przysięgam.

Ale milczenie Libero nie zwiastowało przebaczenia. Nawet nie miał zamiaru pozwolić Annie na spłacenie długu.

– Nie chcę, żebyś cokolwiek mi oddawała. Zatrzymaj wszystko, co wzięłaś. Teraz wejdź na górę, do mieszkania, natychmiast spakuj manatki i wynoś się. Nie chcę cię tu już więcej widzieć. Wynoś się. Natychmiast.

Annie płakała, prosiła go, przysięgała, klienci wstawali od stolików i opuszczali lokal, by nie widzieć tego, co się dzieje. Błagała – odbiło jej, ale przecież zawsze pracowała dobrze, nie może jej tego zrobić, gdzie ona się teraz podzieje? Czy on sobie nie zdaje sprawy, że Annie ma już czterdzieści trzy lata, nie może jej wyrzucić jak psa, znowu powtórzyła swój wiek, uklękła, wyciągała ramiona w stronę Libero, który stał nieruchomo i patrzył na nią z nienawiścią. Czterdzieści trzy lata, czy on sobie z tego zdaje sprawę, zrobi wszystko, czego od niej zażąda, wszystko. Im głośniej płakała, tym zbroja Libero stawała się twardsza, wykuta w nienawiści, zupełnie jakby ta leżąca na ziemi kobieta uosabiała absolutne zło, od którego za wszelką cenę należało uwolnić świat.

– Wychodzę na godzinę i jak wrócę, nie chcę cię już tutaj widzieć.

Kiedy wyszedł, wstała, zataczając się. Rym wzięła ją za rękę i pomogła wejść na górę. Matthieu nie śmiał spojrzeć w jej stronę, w piersi czuł bolesny ciężar, którego natury i przyczyny nie rozumiał. Czekał, aż nastanie noc i na nowo zacznie się życie. Życie bez niespodzianek, bo znowu stał się małym dzieckiem potrzebującym tego samego, wiecznie powtarzalnego rytuału, z dala od nieuformowanych myśli, których fale nieprzyjemnie zalewały jego umysł, by w końcu rozprysnąć się niczym bąbelki nad mokradłem. Zatęsknił za smakiem alkoholu, za stałym napięciem, które nie pozwalało mu zasnąć, za zszarpanymi bez powodu nerwami. Czekał, kiedy przyjdzie czas na położenie się do łóżka, na dotyk Izaskun i spojrzenia Agnes. Mimo zmęczenia, mimo oddechów przesiąkniętych kwaśnym smrodem szampana, dżinu i papierosów, mimo gęstej, klejącej się do poplamionych zębów śliny, mimo ociężałych powiek, coś dziwnie popychało go ku temu równie jak jego własne zmęczonemu ciału, wydzielającemu do mokrej pościeli te same toksyny. Pożądanie nie miało tu znaczenia, podobnie jak nie miało znaczenia zmęczenie lub wulgarność cielesnej rozkoszy. Sen nadchodził później. Zanim zamknął oczy, by zapaść w otchłań bez marzeń, oddawał się nocnemu rytuałowi, zapisanemu w księgach praw tego świata. Tak jak i inni sumiennie odgrywał swoją rolę w życiowej choreografii i dla niej wstawał każdego poranka i czuwał aż do późnej nocy. Każdy świat opiera się na nieszczęsnym centrum grawitacji, od którego zależy cała jego tajemnicza równowaga. Rym zajęła miejsce za kontuarem, a Matthieu myślał z zadowoleniem, że ta równowaga w niczym nie została zachwiana ani zagrożona. Nie wyczuł subtelnych wibracji podłoża, nie zauważył rozbiegającej się po nim gęstej sieci szczelin ani zabarwionego niechęcią lęku, z jakim dziewczyny zbliżały się obecnie do Libero, który odzyskał dobry humor i uśmiech. Wszystko było w porządku. Pierre-Emmanuel nie wyglądał na zaniepokojonego zniknięciem Annie, a nawet, by zrobić przyjemność Izaskun, nauczył się nowej baskijskiej piosenki. Matthieu nie spostrzegł gniewnych spojrzeń, jakie rzucał zza mikrofonu w stronę Libero. Izaskun z uśmiechem wyznała, że język Basków jest jej całkowicie obcy, bo wychowała się w Saragossie. Wszystko było w porządku. Matthieu pił i z niczego nie zdawał sobie sprawy, ale jakże mógłby zdać sobie sprawę z czegokolwiek ktoś, do kogo nadal nie docierało, że stracił ojca? O drugiej Pierre-Emmanuel odłożył mikrofon, zwinął kable i schował gitarę. Libero wręczył mu pieniądze.

– Powinieneś mnie uprzedzić co do Annie, nie uważasz?

Libero zeszytywniał niczym porażony prądem.

– To nie twój interes, dupku, rozumiesz? Pilnuj własnego nosa.

Zaskoczony Pierre-Emmanuel znieruchomiał, a potem powoli włożył pieniądze do kieszeni i poszedł po futerał z gitarą, mówiąc:

– Ostatni raz zwracasz się do mnie tym tonem.

– Zwracam się do ciebie, jak mi się podoba.

Pierre-Emmanuel wyszedł ze spuszczoną głową, w barze zapadła martwa cisza. Matthieu znowu poczuł tajemniczy ciężar przemieszczający się od piersi do żołądka i zapytał Libero, co jest grane. Libero uśmiechnął się do niego szeroko i napełnił dwa kieliszki.

– Tak już jest z tymi kretynami. Jeśli jesteś za dobry, wykiwają cię. Są głupi. Nie widzą różnicy między dobrocią a słabością, to dla nich zbyt skomplikowane. Trzeba do nich mówić językiem, który rozumieją. Możesz mi wierzyć, teraz zrozumieją doskonale.

Matthieu kiwnął głową i wyszedł z kieliszkiem na dwór. Popatrzył melancholijnie w noc i po raz pierwszy pomyślał, że jego oczy nie widzą chyba tego samego co oczy przyjaciela z dziecinnych lat. Wyjął z kieszeni list od Judith, przeczytał go jeszcze raz i nie zwracając uwagi na późną porę, sięgnął po telefon.

Po trzech niekończących się godzinach oczekiwania, które Aurelie zniosła spokojnie i bez nerwów, przyjął ją urzędnik konsulatu. Zakończyli wykopaliska, nie odnaleźli katedry Augustyna, ale pozostało jeszcze tyle nieodkopanych miejsc, kiedyś na pewno ją znajdą i marmur absydy, która była świadkiem agonii biskupa Hippony, otoczonego w swych ostatnich chwilach modlącymi się księżmi, na nowo zajaśnieje w słońcu. Aurelie zaprosiła Masynissę Guermata na dwa tygodnie do miasteczka, a on właśnie powiadomił ją, że odmówiono mu wizy. Przed pokrytymi drutami kolczastymi murami ambasady stała trzystumetrowa kolejka, kobiety i mężczyźni w różnym wieku cierpliwie czekali, by się dowiedzieć, że podanie o wizę, które dzierżyli w dłoni, nie zostanie przyjęte, bo nie dołączyli do niego zaświadczenia, o które nikt nigdy ich nie prosił. Aurelie podeszła bezpośrednio do bramki bezpieczeństwa, spodziewając się, że jako obywatelce Francji pozwolą jej wejść do budynku poza kolejnością. Recepcjonistka kazała jej drogo zapłacić za ten przywilej, ponieważ posadziła ją w fotelu i o niej zapomniała. Urzędnik, który ją wreszcie przyjął, miał na sobie koszulę z krótkimi rękawami, w paski, i okropny krawat. Po kilku minutach Aurelie zrozumiała, że nie uzyska wyjaśnień, po które przyszła. I że nikt w ambasadzie nie zgodzi się, by powtórnie rozpatrzyć podanie Masynissy, gdyż wszyscy tutaj w obrzydliwy sposób delectują się arbitralną i kapryśną władzą, władzą maluczkich i sługusów, czego facet w koszuli z krótkimi rękawami był idealnym przykładem. Uśmiechał się do niej idiotycznie i pyszałkowato z wysokości niezdobytej twierdzy własnej głupoty. W biurze obok stara kobieta w hidżabie zawstydzona znosiła grad spadających na nią pogardliwych słów i pretensji z powodu źle wypełnionego, poplamionego, nieczytelnego, nadającego się na śmietnik podania. Przytulała się do niej mała dziewczynka. Aurelie, bez najmniejszego efektu, starała się przemówić do rozsądku urzędnika. Masynissa ma przecież doktorat z archeologii, wykłada na uniwersytecie w Algierze. Czy taka pozycja mogłaby kiedykolwiek wydać mu się mniej satysfakcjonująca niż praca robota na czarno na jakiejś francuskiej budowie? Ona sama wykłada na uniwersytecie. Czy ten pan wyobraża sobie, że w wolnych chwilach zajmuje się potajemnym przerzutem emigrantów? Chodzi tylko o kilka dni wakacji, a potem Masynissa grzecznie wróci do Algierii, ona to gwarantuje. Facet w koszuli z krótkimi rękawami pozostawał niewzruszony. Miała ochotę wbić mu w ramię nożyczki, leżące na skórzanej podkładce jego biurka. Wyszła z konsulatu wściekła, chciała pisać do konsula, ambasadora, prezydenta, powiedzieć, że wstydzi się za to, że jest Francuzką i że postawa urzędników, którzy ją przyjęli, jest niegodna reprezentowanego przez nich kraju. Wiedziała, że i tak na nic się to nie zda, więc postanowiła sama pojechać do miasteczka, chociaż na tydzień, a potem na cały sierpień przyjechać do Masynissy, do Algieru. Chciała побыć trochę z matką, a przede wszystkim z dziadkiem. Nie mogła zostawić go samego sobie. Bardzo cierpiała z powodu śmierci ojca, ale była przekonana, że Marcel cierpi jeszcze bardziej, bo kolej rzeczy jest taka, że to dzieci chowają do grobu rodziców. Okrutne zakłócenie tego porządku potęgowało ból o poczucie niesprawiedliwości, z którą nie można się było pogodzić. Zapragnęła pójść z dziadkiem na spacer, ramię w ramię, wieczorową porą. Tak też, pełna oddania, zrobiła. Ze wzruszeniem czuła, jak ciężko się o nią opiera, kruchy i tak bardzo stary. Kiedy kładł się spać, z braku innych rozrywek szła do baru. Młody gitarzysta zrobił postępy, poprawił technikę wokalną, ale nadal z upodobaniem wyśpiewywał cukierkowo słodkie ballady, najchętniej włoskie, zamykając przy tym z głębokim wzruszeniem oczy, i wsłuchiwał się w oklaski z fałszywie skromną miną kogoś, kto zna swoją wartość. Potem świadom towarzyszących mu kobiecych spojrzeń nonszalancko podchodził do baru. Otwarcie kpił z

Virgila Ordioniego, który w swojej bezbronnej naiwności tylko się śmiał. Aurelie miała czasami ochotę spoliczkować go z całych sił, jakby jej również udzieliła się zgubna i niezdrowa atmosfera panująca obecnie w barze. W powietrzu wisiała burza. Siedzący przy barze mężczyźni obleśnie wpatrywali się w dekolty turystek, spuszczaali spojrzenie w kierunku ich zaczerwienionych słońcem ud, nie zwracając uwagi na mężów, którym fundowali kolejki nie z sympatii, lecz żeby ich do nieprzytomności upić. Libero musiał często interweniować, a czasami wręcz fizycznie narzucić swój świeżo zdobyty autorytet. Matthieu zdawał się całkowicie dezorientowany. Aurelie ze smutkiem patrzyła na brata. Wyglądał jak mały chłopiec, bo taki właśnie pozostał, mały, denerwujący, wrażliwy chłopiec, którego jedyną ucieczką przed okrucieństwem istnienia był nierealny świat dzieciennych marzeń.

świat łakoci i niezwykniętych bohaterów. W przeddzień wyjazdu Aurelie poznała Judith Haller, którą Matthieu zaprosił na wakacje. Powitał ją tuż przed zamknięciem baru, na oczach dziewczyny wsuwając za pasek spodni pistolet. Zinterpretował skonsternowane spojrzenie jako milczący i pełen podziwu hołd wyrażony jego męskości. Zachwycony swoją nową rolą właściciela baru, zafundował Aurelie i Judith kolejkę. Tego wieczoru na obie czekało jeszcze mnóstwo wrażeń, między innymi bogaty w decybele i wyciskający łyzy spektakl. Judith sączyła właśnie swój trunek, rozmawiając przy tym z Aurelie. Nagle powietrze rozdarł ryk zranionego zwierzęcia, aż podskoczyła ze strachu. Na tarasie Virginie Susini, z twarzą schowaną w dłoniach, krzyczała i szlochała, kołysząc się przy tym miarowo w przód i w tył i nie pozwalając nikomu się zbliżyć. Najwyraźniej w niezrozumiałym porywie godności Bernard Gratas nie stawiał się na jej wezwanie do spółkowania. Z niezwykłą u niego dumą zażądał, by od tej chwili już nigdy nie traktowano go jak knura. Virginie zamurowało, a potem nagle wpadła w histerię godną wykładu i analizy przypadku w amfiteatrze szpitala Salpêtrière. Niczego nie brakowało, ani spazmów, ani drgawek, ani uważnych i zachwyconych słuchaczy. Krzyczała, że chce umrzeć, że jest tylko cielesną powłoką bez duszy. Wykrzykiwała imię Gratas i wrzeszczała, że go potrzebuje. A ponieważ nikt się nie spodziewał tej ważnej nowiny, fakt ten dodawał scenie dramatyzmu. Ona go potrzebuje, pragnie, dlaczego Bernard jej nie chce? Była zbrukana, brzydka, chciała umrzeć, a kiedy zaskoczony, lecz wzruszony Gratas zbliżył się i dotknął jej dłoni, nie przestając płakać, zawiesiła mu się na szyi i pocałowała w usta. Oddał jej pocałunek z taką namiętnością, że Libero zmuszony był ostro ich upomnieć, by poszli łajdaczyć się gdzie indziej. Ostatni klienci wymienili sprośne komentarze. Virginie to wariatka, a Gratas – wymiękły galijski chuj. Teraz wszyscy się o tym przekonali i zaśmiewali się do upadłego. Ale Judith nawet się nie uśmiechnęła. Aurelie starała się ją pocieszyć.

– Nie przypuszczam, żeby co wieczór był tu taki cyrk.

Następnego dnia Aurelie ucałowała matkę i dziadka, obiecując mu, że wkrótce znowu przyjedzie. Smutno jej było wyjeżdżać, ale miała ochotę odetchnąć innym powietrzem i zobaczyć się z Masynissą. Poprosiła Matthieu, by zaopiekował się dziadkiem i bardziej uważał na Judith, którą zostawiła niepewnemu losowi, życząc jej udanych wakacji.

Nie mógł sobie przypomnieć, dlaczego do niej zadzwonił w samym środku nocy i poprosił, by do niego przyjechała. Może chciał sobie udowodnić, że odszedł wystarczająco daleko od świata, w którym ona ciągle żyła, i nie musiał już ani się jej obawiać, ani przed nią uciekać. Nie było już dwóch światów, pozostał tylko jeden, wspianiały i suwerenny – ten, do którego należał Matthieu. Nie obawiał się już, że Judith pociągnie go za sobą lub obudzi w nim bolesne ślady poprzedniego rozdwojenia. Chciał, by ujrzała go takim, jaki jest, jakim zawsze pragnął być, ale ona tego nie widziała. Mówiła do niego, jakby się nie zmienił, wracała do dawnych rozmów, których sensu już nie rozumiał, więc rozmawiał z nią jak z duchem. Opowiadała mu szczegółowo przebieg egzaminu habilitacyjnego, wspominała dźwięk dzwonka w amfiteatrze Descartes. W jej opowieściach stara, znana mu Sorbona przekształcała się w pełną okrucieństwa świątynię, gdzie składano ofiary, gdzie modlili się kapłani i cierpiętnicy, gdzie zdarzały się niewiarygodne cuda. Tak bardzo bała się egzaminu z filozofów niemieckich, modliła się, by trafić na Schopenhauera i o mało co nie zemdlą, odczytując na wylosowanej kartce nazwisko Frege. Nagle spłynęła na nią łaska, wszystko wydało jej się jasne, jakby pochylił się nad nią sam bóg logiki. Matthieu odruchowo kiwał głową, mimo że nie chciał słyszeć o Fregem, Schopenhauerze, Sorbonie. Myślał o Izaskun, z którą nie mógł już spać, bo na czas pobytu Judith wrócił do domu. Nie mógł przecież skazać jej na posępne towarzystwo matki i dziadka, mimo że pragnął wrócić do mieszkania nad barem i niecierpliwie czekał na moment, kiedy odprowadzi Judith na samolot. Zresztą nie czuła się dobrze w miasteczku. Ciągle proponowała jakieś pozałowania godne eskapady kulturalne albo chciała iść na plażę. Mówiła, że boi się Virgila Ordioniego i że alkohol przyprawia ją o bóle głowy. Matthieu cierpliwie znosił te oczywiste objawy złej woli, aż do chwili, kiedy uczynił Judith odpowiedzialną za swoje nieszczęścia. Którejś nocy, podobnej do wszystkich innych, Pierre-Emmanuel bez wyraźnego powodu usiadł w końcu sali i czekał, aż dziewczyny posprzątają po klientach. Kiedy skończyły, podeszła do niego Izaskun i wyszli razem. Przez trzewia Matthieu przepłynęła powoli gorąca lava. Wpatrywał się w drzwi, jakby miał nadzieję, że wróca. Judith położyła mu dłoń na ramieniu.

– Zakochałeś się w tej dziewczynie?

To było idiotyczne i niezręczne pytanie, na które nie mógł odpowiedzieć, bo w jego mniemaniu miłość i zazdrość nie miały nic wspólnego z nieznośnym bólem, który palił mu wnętrzności. Izaskun była jego siostrą, teraz to sobie przypominał, jego kochaną kazirodczą siostrzyczką. W barze nigdy nie okazywał jej czułości, nie odczuwał potrzeby, by jak większość mężczyzn zaznaczyć publicznie swój teren. Ktokolwiek ich obserwował, nie domyślał się, że coś się między nimi wydarzyło. Bo co takiego mogło się wydarzyć? Po prostu dzielili intymność łóżka, spali w nim razem i wspólnie celebrowali obrządek gwarantujący stabilność świata. W imię czego miałyby być zazdrosny? Nagle pomyślał, że ktoś może mu odebrać to, co powinno do niego wrócić, ale tym razem nie wróci. Nie odnajdywał już w sobie poczucia wyższości i niezwykłości, zachwiały się fundamenty świata, a szczeliny zamieniły się w szpary. Nazajutrz Izaskun przez cały wieczór rzucała na Pierre-Emmanuela zamglone spojrzenia, przerywała pracę, by podejść, pocałować go lub się do niego przytulić. Libero besztął ją, a ona w odpowiedzi mamrotała coś obraźliwie po hiszpańsku. Matthieu nie rozpoznawał w tej miauczącej, zadurzonej kotce, która co wieczór obnosiła się ze swym kretyńskim uczuciem, swojej kochanej siostrzyczki, a mimo to przyznał się w duchu, że umiera z miłości i zazdrości. Zrozumiał, że ona nigdy do niego nie wróci. Wyobrażał sobie seksualne wyczyny Pierre-Emmanuela, widział je całkiem wyraźnie i nie

mógł tego znieść. Słyszał krzyki Izaskun, która nigdy tak nie krzyczała, kiedy była z nim, i przeniósł całą swoją nienawiść na Judith. To jej przyjazd zapoczątkował apokalipsę, bo stanowiła obce ciało, które świat w brutalnych i chaotycznych porywach starał się z siebie wyrzucić. Koniec z pełnią i harmonią. Nieszczęście zaczęło gonić nieszczęście. Judith i Matthieu czekali na liczącego kasę Libero, by pójść razem do nocnego klubu. Do baru wbiegła spanikowana Rym, w koszulce i w majtkach. Zginęły jej pieniądze, które przez cały rok oszczędzała na napiwkach. Schowała je w kuferku pod ubraniem, nikt poza Sarą o tym nie wiedział. A teraz nie może ich znaleźć i nie pamięta, kiedy widziała je po raz ostatni. Mówiła o planach, których już nigdy nie zrealizuje i o młodzieńczych marzeniach, o które nikt nigdy się nie zatroszczył. Nikogo nie oskarżała, ale przecież ktoś musi być winny. Prosiła o pomoc, by przeszukać całe mieszkanie, nie słuchała Libero, tłumaczącego, że na nic się to nie zda, chciała wszystko jeszcze raz przejrzeć, teraz i natychmiast. Przewrócili całe mieszkanie do góry nogami, ku oburzeniu Agnes i Izaskun powyrzucali na środek ich rzeczy, zajrzeli pod kartony z alkoholem w pomieszczeniu gospodarczym i za kontuar. Nic nie znaleźli, a Rym nie pozwalała im przestać. Libero starał się ją uspokoić, ale nic do niej nie docierało, więc w końcu się zdenerwował.

– Do jasnej cholery! Po co są banki? Trzeba być nienormalnym, żeby trzymać forszę w domu! Koniec, już nie zobaczysz swoich pieniędzy, rozumiesz? To mógł być każdy, nawet jeden z tych łajdaków, którzy przychodzą się z wami pobawić. To mógłbym być nawet ja, ale to i tak nic nie zmieni, bo twojej forsy po prostu nie ma. Już jej nie zobaczysz.

Rym spuściła głowę i zamilkła. Nie było już mowy o pójściu do nocnego klubu. W drodze powrotnej do domu Judith nagle się zatrzymała i wybuchła płaczem.

– Co ci jest? Szkoda ci Rym?

Judith zaprzeczyła.

– Nie. Ciebie mi szkoda. O ciebie się martwię.

Matthieu przyjął jej współczucie jak obelgę. Nikt nigdy dotychczas tak go nie obraził. Zmusił się, by zachować spokój.

– Jutro odwiozę cię na lotnisko.

Judith otarła łzy.

– Dobrze.

Był pewien, że już nigdy jej nie ujrzy. Nie wiedział jeszcze, ale wkrótce miał się o tym przekonać, że te raniące go słowa były podyktowane miłością. I że nikt nigdy tak go nie kochał i nigdy nie pokocha jak Judith. I że kilka tygodni później, tej krwawej, okrutnej nocy, która obróci w nicość jego świat, to o niej pomyśli i nie zwracając uwagi na późną porę, u niej będzie szukał pomocy: zadzwoni do Judith zaraz po telefonie do Aurelie. To nie obecność obcych ciał zagraża światu, lecz jego wewnętrzne zepsucie, odwieczne przekleństwo dekadentkich imperiów. Wyjazd Judith nic więc nie zmienił. Kilka dni później Rym się zwolniła i nikt nawet nie starał się jej zatrzymać. Stała się posępna i rozgoryczona, a od pamiętnej nocy poszukiwań bez przerwy darła koty z Agnès i z Izaskun. Nie mogła znieść myśli, że być może obcuje na co dzień z kimś, kto okradł ją z przyszłości. Zamiast niej postawiono przy kasie Gratasa, który z trudem koncentrował się na pracy, bo Virginie nieustannie podchodziła do niego, by go obmacywać. Obecność i poczynania dwóch par w okresie godowym miały bardzo niekorzystny wpływ na obrót interesu. Libero interweniował często, lecz bezskutecznie, niezależnie od tego, czy używał prośby czy groźby. Pierre-Emmanuel rozkoszował się jego wściekłością. Zachowywał się niczym pan na włościach, wydawał Izaskun rozkazy, na które ona odpowiadała ze służalczym oddaniem, albo wzywał ją przez mikrofon, by wsadzić jej do ust swój wielki język, macając przy tym z zapalem jej pośladki. Libero był u kresu wytrzymałości nerwowej.

– Chyba rozwalę łeb temu pieprzonemu gnojkwowi.

Pierre-Emmanuel doprowadził do perfekcji zabawę, którą zapoczątkował jeszcze za czasów Annie. Rozpalał do czerwoności frustrację pokrzywdzonych przez los i obnosił się przed nimi z własną satysfakcją seksualną. Jego ulubioną ofiarą był Virgil Ordioni. Zanudzał go szczegółami z alkowy lub z udaną naiwnością dopytywał się, co Virgil chciałby zrobić kobiecie, z którą znajdzie się sam na sam. Poddawał jego refleksji cały wachlarz pozycji, jedną bardziej świńską od drugiej, wśród których kazał mu wybierać ulubioną. Virgil śmiał się i krztusił własną śliną, robił się fioletowy na twarzy. Libero znów starał się interweniować:

– Kiedy wreszcie zostawisz go w spokoju?

Na co Pierre-Emmanuel udawał, że robi to wszystko w dobrej wierze i poklepywał Virgila po ramieniu. A Virgil go bronił.

– Daj spokój. On jest w porządku.

Pierre-Emmanuel nie był w porządku i Libero doskonale o tym wiedział, ale nie chciał być na tyle okrutny, by otworzyć Virgilowi oczy, pokazując mu prawdziwą twarz jego dręczyciela, więc stawał za barem, cedząc między zębami:

– Pieprzony gnojek.

Nióśł ten pełen goryczy krzyż odrazy aż do godziny zamknięcia. Jechał potem do centrum w towarzystwie Matthieu, ociągającego się z powrotem do pokoju dzieciennego, na który skazała go niewierność Izaskun. Łazili od baru do baru, czasami sypiali z turystkami na plaży lub na parkingu i wracali do osady o świcie, pijani jak świnie, z czołem przyklepionym do szyby samochodu, który zygzakiem wspinał się nad przepaścią. Pod koniec sierpnia Vincent Leandri zaprosił ich do restauracji na kolację, więc powierzyli bar Gratasowi. Miasto powoli pustoszało, turyści wyjeżdżali, nad portem unosiła się przyjemna bryza, życie zdawało się płynąć przyjemnie, a oni cieszyli się perspektywą spędzenia wieczoru z dala od baru. Nie martwili się o to, co może się tam zdarzyć, uznali, że nawet jeśli Gratas i Pierre-Emmanuel postanowią urządzić orgię na stole bilardowym, to niech sobie używają, ile wlezie. Zjedli langusty, wypili białe wino, a Vincent zaproponował im, by pojechali napić się czegoś do lokalu przyjaciela, dzięki któremu poznali kiedyś Annie. Wprawdzie wycieczka za miasto tylko po to, by znaleźć się w kurewskim barze, nie stanowiła szczytu ich marzeń, ale chcieli zrobić przyjemność Vincentowi. Przyjaciel ponownie przyjął ich z szeroko otwartymi ramionami i zaofiarował butelkę szampana. W końcu sali, w szkarłatnym świetle, panienki, rozmawiając, oczekiwały na klientów. Wszedł jakiś gruby, obleśny facet i usiadł przy barze. Podeszła do niego jedna z dziewczyn. Fragmenty tego, o czym mówili, docierały do uszu Matthieu. Grubas starał się zaimponować, opowiadając coś niedorzecznie i dowcipkując głupawo, na co dziewczyna odpowiadała tak wymuszonym śmiechem, że było to wręcz niegrzeczne. Matthieu rozpoznał głos Rym. Miała na sobie czarną sukienkę i pantofle na wysokich obcasach. Przesadny makijaż oszpecił jej twarz. Matthieu szturchnął Libero i właśnie mieli wstać ze swoich taboretów, żeby się z nią przywitać, ale powstrzymała ich rybnym, nieruchomym spojrzeniem. Potem powoli znów odwróciła się do faceta i na nowo, jakby nigdy nic, zaczęła się śmiać. Pozostali bez ruchu. Szampan grał się w kieliszkach. Grubas zamówił butelkę i skierował się do odizolowanego boksu. Rym przygotowała tacę, wiaderko z lodem, dwa kieliszki i poszła za nim. Zaciągając za sobą ciężką, czerwoną kotarę, po raz ostatni spojrzała na Matthieu i Libero.

– No to chyba pójdziemy.

W samochodzie Vincent starał się ich pocieszyć. Takie już jest życie, nic się na to nie poradzi, rzadko kiedy podobne dziewczyny kończą na angielskim dworze, to wprawdzie możliwe, ale zdarza się wyjątkowo rzadko, można by nad tym ubolewać, ale cóż, tak już jest, nikogo nie można o to obwiniać. Takie życie. Libero zaciskał zęby.

– One wszystkie tak skończą. Wszystkie.

Spojrzał na Matthieu.

– To my stworzyliśmy to wszystko.

Matthieu obawiał się, że to prawda. Demiurg nie jest Bogiem. Dlatego też nikt nie oczyści go z grzechów tego świata.

Ich czas minął: nie mógł już pójść do niej nocą, stąpając cicho po pustym korytarzu hotelu Narodowego, a ona nie czekała już na niego z bijącym sercem. Spędzane wspólnie chwile stały się ciężkie od spojrzeń, które się na nich zatrzymywały. Od czasu do czasu, by oddalić się od Algieru, wyjeżdżali na cały dzień do Tipasy. Zatrzymywali się w Bou-Haroun, żeby coś zjeść. Rozrzucone na kamiennym nabrzeżu fioletowe flaki ryb gotowały się w słońcu i najłżejszy powiew wiatru przynosił z sobą śmierdzące wyziewy. Siedzieli na tarasie restauracji i mimo wszystko jedli, popijając czerwonym winem serwowanym w butelkach po coca-coli. Po południu spacerowali po wykopaliskach, rozdeptując czasami używaną prezerwatywę, zapomnianą tu przez parę, która tak jak i oni nie miała gdzie pójść. Ale nie próbowali naśladować tych porywów na łonie natury, bo to, co gdzie indziej mogło by ująć za młodzieńczą miłosną chwilę zapomnienia, tu przypominało odrażającą konieczność. Kończył się sierpień, miesiąc upałów, rybich wnętrzności i wilgoci, miesiąc bez miłości. Aurelie zrozumiała, że istnieje tylko jedno miejsce, gdzie pozwolono by jej kochać Masynissę. Nie Francja i nie Algieria. To było miejsce w czasie, a nie w przestrzeni.

Nie znajdowało się na końcu świata, tylko tutaj, na samym początku V wieku. W zburzonych murach Hippony cień Augustyna dawał tu potajemnie ślub tym, którzy nigdzie indziej nie mogli się połączyć więzami małżeńskimi. Aurelie była smutna. Nie zakochiwała się łatwo, nie ulegała sentymentalizmowi, ale pragnęła wiedzieć, gdzie ją ta historia zaprowadzi. Gotowa zaakceptować własne porażki, z wielkim trudem zgadzała się na kapitulację z powodu brutalnej, niezależnej od jej woli rzeczywistości. Zdawała sobie sprawę, że w tym przypadku nie ma wyboru i że musi skapitulować. Znowu wyrósł przed nią szklany mur, którego nie zdoła ani przekroczyć, ani roztrzaskać, mimo że tego właśnie najbardziej teraz pragnęła. W Draria Masynissa zaprosił ją na szaszłyki do skromnej, swojskiej, rodzinnej restauracji. Obsługa okazała się zbyt szybka i fachowa, posiłek nie trwał dłużej niż kwadrans. By go przedłużyć, sączyli powoli miętową herbatę. Masynissa zapłacił i wrócili do Algieru. Na rogatek policja sprawdziła dokładnie ich papiery, przyglądając się im podejrzliwie. Podwiózł ją pod hotel, do którego nie mógł z nią wejść. Chciała mu zrobić przyjemność, zapraszając go tym razem do chińskiej restauracji w hotelu El Djazair. Spędzili okropny wieczór. Wino medea czuć było korkiem, Aurelie oddała kelnerowi dwie butelki, przy trzeciej zrezygnowała. Masynissa, początkowo zdruzgotany, rzucał wściekłe spojrzenia na garsona, który podawał im sajgonki z kurczaka, uśmiechając się przy tym zagadkowo i nieprzyjemnie. Masynissa był coraz bardziej zdenerwowany, wiedział, że kelner kpi sobie z niego, że mówi mu „szanowny panie” z emfazą wskazującą na to, że mimo obecności Francuzki u jego boku uważa go za prostaka.

– Nie znasz tych łajdaków i ich pogardy. Zobacz, jaki jest dumny ze swej roboty sługusa.

Pozostawił nietknięte danie. Aurelie poprosiła o rachunek i zapłaciła kartą kredytową. Kelner podsunął jej kwit do podpisu, uśmiechając się przy tym do jej towarzysza. Masynissa chwycił go dyskretnie za kamizelkę i powiedział coś po arabsku. Kelner przestał się uśmiechać. Wsiedli do samochodu. Masynissa był rozgoryczony.

– Nie powinniśmy chodzić do takiej restauracji. Samo wejście pięćset dinarów, nie mówiąc o daniach. Zresztą to nie są miejsca dla mnie.

Aurelie go rozumiała. Przytuliła się do niego. Udało jej się go przekonać, by pozwolił zapłacić za pokój dla niego w tym samym hotelu co ona. W ten sposób spędzą razem noc. Będą udawać, że się nie znają, a potem bezszelestnie przyjdzie do niej, jak w Annabie. Jednak doskonale zdawała sobie sprawę, że wstydził się sytuacji utrzymania, a kiedy brał ją w

ramiona, wyczuła, że ten wstyd przeważa nad pożądaniem. Po dwóch dniach wrócił do rodziców. I tyle. Wykopaliska zostały zakończone, każde z nich powróciło do swojego świata, i tylko wyciągali do siebie dłonie nad przepaścią, której nic nie mogło zapełnić. Myślenie, że ojczyznę można sobie wybrać, jest złudne. Aurelie nie łączyły z tym krajem żadne więzi, jeśli nie liczyć krwi, którą zbrukał się tutaj jej dziadek André Degorce, i zagubionych relikwii starego biskupa, zmarłego tu przed wiekami. Zmieniła datę wyjazdu i spakowała walizki. Nie powiedziała o tym Masynissie. Bo cóż mogła mu powiedzieć? Jakże opuścić kogoś, komu nie ma się nic do zarzucenia i kogo nie chce się opuszczać? Co mogliby sobie rzec poza kilkoma banałami? Obawiała się, że jeśli jeszcze raz go zobaczy, jej pragnienie bycia z nim spowoduje, że znowu bezużytecznie odsunie datę wyjazdu. Nie napisała żadnego listu. Nie chciała zostawić po sobie nic poza nieobecnością, pragnęła, aby jej brak na zawsze go prześladował, tak jak kiedyś pocałunek zaginionej księżniczki, którego nie mógł zapomnieć numidyjski król o tym samym imieniu. Zadzwoiła do matki, by powiadomić ją, że wieczorem będzie w Paryżu. Na lotnisku obojętnie wypełniła wszelkie formalności. Patrzyła przez okienko na Baleary, a kiedy ujrzała prowansalski brzeg, otarła zaczerwienione oczy. Claudie czekała na nią z kolacją.

– Jak się masz, córeczko? Wyglądasz na zmęczoną.

Odpowiedziała, że wszystko w porządku, ucałowała matkę i poszła spać do swojego dzieciennego pokoju. O czwartej nad ranem dzwonek telefonu komórkowego wyrwał ją ze snu, w którym dziwny wiatr owiewał jej ciało i powoli zasypywał je piaskiem. Miała świadomość, że powinna się gdzieś schronić, ale nie chciała pozbawiać się ciepłej pieśczoły powiewu, tak rozkosznej, że myślała o niej w chwili, kiedy podnosiła telefon. Usłyszała przerywany oddech, szloch, czkawkę i głos Matthieu.

– Aurelie! Aurelie!

Powtarzał jej imię i płakał.

Nie nadciągnęły barbarzyńskie hordy. Nie przygalopowali Wandalowie ani Wizygoci. Po prostu Libero nie chciał już zajmować się barem. Zdecydował, że poczeka do końca sezonu, najpóźniej do jesieni, pomoże dziewczynom znaleźć jakąś porządną pracę, a potem będzie pomagał bratu Sauveurowi i Virgilowi Ordioniemu w owczarni. Albo podejmie studia, tego jeszcze nie wiedział, ale w knajpie pracować już nie będzie, bo przestał w niej lubić samego siebie. Matthieu poczuł się zdradzony. Co teraz ma zrobić? Libero wzruszył ramionami.

– Widzisz się tutaj za kilka lat? Wiecznie te same, żalosne dziewczyny. Albo wypierdki w stylu Colony. Pijusy. Pijaństwa. To gówniana robota. Robota, od której się głupieje. Nie możesz żerować na ludzkiej głupocie. Myślałem, że tak, ale nie możesz, bo sam stajesz się jeszcze głupszy niż średnia. Widzisz się tu, Matthieu? Za pięć czy za dziesięć lat?

Matthieu widział się doskonale. A nawet tylko taką przyszłość dla siebie widział. To prawda, że sezon był trudny, ale przecież najgorsze za nimi. Jakże teraz to wszystko zostawić, kiedy już tyle zrobili dla miasteczka. Przedtem wszystko tu było martwe, to oni wprowadzili tu trochę życia, ludzie chętnie zaczęli u nich bywać, dobrze się czuli w ich barze. Przecież nie mogą teraz wszystkim pieprzyć i odejść, tylko dlatego że zaczyna się trochę gorszy okres.

– Mówisz o bandzie kretynów, którzy wydają tu wszystkie pieniądze, bo wyobrażają sobie, że bzykną się z dziewczynami, i nawet nie wiedzą, że one nigdy się z nimi nie prześpią. A oni są za głupi na to, by zwyczajnie pójść na kurwy. Zastanawiam się, czy nie wolałem, kiedy tu panowała śmiertelna cisza. Jestem zmęczony. I chcę móc spokojnie spojrzeć sobie w twarz w lustrze.

Też coś, dlaczego Libero nie może spojrzeć sobie w oczy? Czy to oni są odpowiedzialni za ludzką nędzę? Przecież nie są ani bandytami, ani alfonsami, nawet jeśli zamkną bar, to i tak tysiące dziewczyn skończą na ulicy. Co mogą na to poradzić, że Rym, zgodnie ze swym powołaniem, została kurwą? Czy one wszystkie nie miały kurewskich skłonności, jak dajmy na to, Izaskun?

– Nie opowiadaj głupot, Matthieu. Chociaż ty.

To był ostatni wieczór sierpnia. Przyjaciele Pierre-Emmanuela przyjechali z Corte, by uczestniczyć w pożegnalnym występie. Instalowali nagłośnienie na tarasie, klienci zajmowali miejsca, Virgil Ordioni wyładowywał wędlinę z furgonetki. Pół godziny po północy muzykanci odłożyli instrumenty i wśród licznych oklasków opuścili scenę. Usiedli przy barze, obok Virgila, który popijał w kącie wódkę, czekając, aż Libero znajdzie chwilę czasu, by dotrzymać mu towarzystwa. Pierre-Emmanuel poklepał go po ramieniu.

– Cieszę się, że cię widzę! Bernard, nalej nam. I Virgilowi też! Polej mojemu przyjacielowi!

Libero rozmawia! z jakąś włoską rodziną, siedzącą przy stoliku na zewnątrz. Od czasu do czasu rzuca! spojrzenie do środka. Izaskun podeszła do baru z tacą. Kiedy przechodziła obok, Pierre-Emmanuel chwycił ją w pasie i pocałował w szyję. Krzyknęła piskliwie. Wszedł Libero.

– Izaskun, rób, co do ciebie należy, do cholery! Ludzie czekają. Bernard, zajmij się kanapkami i stolikami na zewnątrz. Ja cię tu zastąpię.

Libero usiadł na taborecie przy kasie i pochylił się w stronę Pierre-Emmanuela.

– Mówiłem ci sto razy: daj jej spokojnie pracować i poczekaj, aż zamkniemy bar, żeby pójść się z nią pieprzyć. Wydaje mi się, że to nie jest zbyt trudne do zrozumienia?

Pierre-Emmanuel uniósł dłonie w obronnym geście.

– Ach! Jak ciężko jest być zakochanym! A ty, Virgil, byłeś już kiedyś zakochany? Opowiedz nam, jak to było?

Chłopaki z Corte też nalegali, by Virgil Ordioni opowiedział im o swoich miłosnych podbojach, a on śmiał się, mówiąc, że niewiele ma do opowiadania. Nie chcieli mu wierzyć. To niemożliwe, Virgil na pewno jest wielkim uwodzicielem, no przyznaj się, Virgil? Przecież są sami swoi. W jaki sposób podrywa kobiety? Bajeruje je? A może w tańcu? Ach! No tak! Bierze je na poezję! Píše dla nich wiersze, prawda? No, niech im opowie, chociaż jedną przygodę, jedną jedyną, tę o ostatniej kobiecie, która uległa jego urokowi, jedną jedyną historię, to przecież nic, przyjaciołom można się zwierzyć. A może potrzebuje bardziej intymnego nastroju do zwierzeń? Pewnie woli pójść z nimi do nocnego klubu i tam, przy butelce, bez skrupowania, wszystko im opowie, co? Musi im opowiedzieć. Jak ją uwiódł, co robił z nią w łóżku, czy głośno krzyczała. Problem tylko w tym, że w górskich buciorach i drelichowych spodniach nie wpuszczą go do nocnego klubu, to niemożliwe, takie panują zasady, nie ma żartów. Poza tym to nieostrożnie zabierać ze sobą takiego uwodziciela jak Virgil, wszystkie wolne kobitki będą jego i dla innych nic nie zostanie! Trzeba też pomyśleć o innych! A nie tylko samemu korzystać! Należy okazać odrobinę altruizmu, szczególnie wobec tych, którzy przemierzali kilometry aż z Corte. To niegrzecznie nie dać im najmniejszej szansy, bo obrażą się i już nigdy tu nie wrócą. Nie, to nie jest dobry pomysł zabierać Virgila do nocnego klubu. Virgil nie przestawał się śmiać i twierdził, że gdyby tylko miał co opowiedzieć, chętnie by to zrobił. Libero westchnął.

– Bawi was to? Nie możecie się od niego odczepić?

– Odwał się! Przecież żartujemy! To z sympatii! Lubimy Virgila!

Tak, lubili go, a on nie odpłacał im za tę sympatię należycie. Wszystko przed nimi ukrywał. Mógłby im chociaż opowiedzieć o swojej narzeczonej. Na pewno ma w górach jakąś narzeczoną, przy której grzeje się zimą. Na przykład jakąś grubą, nabitą tłuszczem i cuchnącą kozą pasterkę. Co, Virgil, masz chyba coś takiego w rezerwie? Chyba że nie lubi grubych. Nie mówiąc już o problemie depilacji, bo jeśli jesteś choć trochę wymagający, to tłusta, śmierdząca kozą pasterka z niewydepilowaną cipką to coś nie do zniesienia! Chyba lepiej zawiązać sobie supełek, niż dymać byle co. To całkiem zrozumiałe. Ci z delikatnymi upodobaniami wolą świeże młódki ze starannie wygolonymi udami, łydkami, kuciapką, wszędzie gładkie jak aksamit, to jest dopiero przyjemność. Pierre-Emmanuel zaczął wychwalać Izaskun. Cudowna pipka, bez najmniejszego włoska, niczym u niemowlęcia, ciepłutka, szczególnie w zgięciu przy pachwinie, tam, gdzie skóra jest cienka jak pergamin. Wystarczy dotknąć tego miejsca ustami, a ciepło rozlewa ci się po całym ciele. Czujesz to, Virgil? Virgil zaśmiał się nerwowo, spuścił oczy i skulony zaszył się w kącie. Libero uderzył pięścią w kontuar, ale Pierre-Emmanuel kontynuował, pochylił się nad Virgilem i opowiadał mu do ucha, jak cudownie aksamitną skórę ma Izaskun i jaka jest świetna w łóżku. Szczególnie, kiedy bierze twoją fujarę w usta. Nie opanujesz się, musisz krzyczeć. Czy Virgil może to sobie wyobrazić? Na pewno? Jeden z koleśków z Corte wydał z siebie krzyk ekstazy, a inny wybuchł śmiechem, mówiąc:

– Jakże on może to sobie wyobrazić? Kozy nie potrafią ssać pały!

Wszyscy zaczęli rechotać, a Virgil nadal kulił się na taborecie. Śmiech uwiązał mu w gardle, wydobył z siebie coś niczym jęk. Zbliżała się druga. Bar pustoszała. Dziewczyny wycierały gąbką stoliki. Libero wrzasnął:

– Dość tego!

Oczy wychodziły mu z orbit. Pierre-Emmanuel nie od razu zrozumiał, co się dzieje. Chwycił Virgila za ramię. Ten ani drgnął.

– Co ty, jesteś jego mamusią? Virgil nie potrzebuje twojej opieki! Jest wystarczająco...

– Jesteś zwykłym gnojkiem.

Zbliżył się Matthieu. Ujrzał prawą dłoń Libero otwierającą szufladę pod kasą.

- Jesteś gnojkiem. Spierdalaj stąd natychmiast wraz w twoimi pieprzonymi kompanami...
- No! Grzeczniej proszę!

– ...powiedziałem, z twoimi pieprzonymi kompanami, czyli ty, ty i ty, na wypadek gdybyście nie zrozumieli. Słyszycie, zasrane gnojki, spieprzajcie stąd natychmiast. A ty rozejrzyj się uważnie wokół, bo kiedy stąd wyjdiesz, tak długo, jak ja tu będę, noga twoja już tu nie postanie, a jeśli tylko odważysz się przekroczyć próg, słyszysz, kiedy tylko stąpniesz na ten próg, rozwalę ci łeb. Jeśli ci się wydaje, że żartuję, spróbuj zrobić to teraz, wyjdź i spróbuj wrócić, gnoju! Spróbuj!

Pierre-Emmanuel i jego koledzy stali przez chwilę naprzeciwko Libero, którego dłoń zanurzyła się w szufladzie.

- No to spadamy.

Pierre-Emmanuel objął Izaskun i pocałował ją przeciągle, tuż obok Virgila.

- Przyjdę za chwilę do twojego mieszkanka.

Kiedy kierował się w stronę wyjścia, Matthieu zauważył, że lekko drżą mu dłonie. Przy drzwiach Pierre-Emmanuel odwrócił się jednak w stronę Libero.

- Trzymaj zawsze rękę blisko szuflady. Nie zapominaj o tym.
- Jeśli wrócisz bez kumpli, nie muszę. Nie martw się o mnie.

Libero położył obie dłonie na ladzie i odetchnął głęboko.

- No dobra, porządkujemy i zamykamy.

Izaskun przyniosła tacę z brudnymi kieliszkami i postawiła ją na kontuarze. Virgil przyglądał jej się pustym wzrokiem, z rozdziawionymi ustami. Spojrzała na niego i zaczęła wykrzykiwać coś po hiszpańsku. Libero kazał jej iść spać, okrążył bar i wziął Virgila za ramię.

- Chodź ze mną.

Posadził go na zewnątrz i postawił przed nim butelkę wódki. Virgil ani drgnął. Libero przykucnął obok niego i mówił mu coś długo w języku, którego Matthieu nigdy nie rozumiał, bo nie była to jego ojczysta mowa. Libero mówił przyjacielskim, ciepłym głosem, ściskając dłoń Virgila, jak w przyjaźni, która nie ma początku ani końca. Od czasu do czasu tamten kiwał głową. Libero zostawił go na chwilę samego na tarasie. Powiedział Gratasowi, żeby poszedł już sobie do Virginie, i nalał dwa kieliszki. Podał jeden Matthieu.

- Nie wiem, czy dobrze się stało, że go tak upokorzyłeś.

– Cóż innego mogłem zrobić? A zresztą mam w dupie tego kretyna. Jeśli będzie szukał guza, dostanie wciury. A nawet jeśli nie będzie szukał, też mu przyłożę.

Noc, kiedy nastąpił koniec świata, była spokojna. Nie pojawił się żaden wandalski jeździec. Żaden wizygocki wojownik. Nikt nie zarzynał dziewic w płonących domach. Libero liczył kasę. Pistolet leżał obok na kontuarze. Być może Libero z nostalgią wspominał lata studiów, uczone teksty, które chciał spalić na ołtarzu ludzkiej głupoty, a których echo nadal do niego docierało.

Bóg bowiem stworzył dla ciebie świat, który niszczy, a ty sam też skazany jesteś na śmierć.

Przed barem zatrzymał się samochód. Wysiadł z niego Pierre-Emmanuel. Był sam. Zatrzymał się na tarasie i przez otwarte drzwi obserwował Libero. Ale nawet nie próbował wejść do środka. Kiedy przechodził obok Virgila Ordioniego, potargał mu włosy, mówiąc żartobliwym tonem:

– Nadeszła pora na cielesne igraszki – po czym skierował się w stronę mieszkania kelnerka. Libero opuścił wzrok w stronę kasy. Na zewnątrz rozległ się głuchy odgłos uderzeń i przeraźliwe wycie, równie przenikliwe jak szcęk kołatek na nocnym, czwartkowym nabożeństwie. Libero wybiegł z baru z pistoletem w rękę, Matthieu za nim. Latarnie publiczne były pogaszone, ale i tak w świetle księżycy, na samym środku ulicy, ujrzeli

masywny cień Virgila Ordioniego, pochylonego nad Pierre-Emmanuelem, który nie przestawał wyć. Virgil siedział mu okrakiem na klatce piersiowej, unieruchamiając przy tym ramiona. Nogi leżącego, bez jednego buta, uderzały gwałtownie o asfalt, a on rozpaczliwie zarzucał biodrami, by się uwolnić. Virgil wydmuchiwał głośno powietrze przez nos, niczym rozwścieczony byk. Ściągnął swej ofierze spodnie wzdłuż ud i rozszarpał cienki materiał gaci. Matthieu przyglądał się scenie nieruchomo jak skamieniały, a Libero, krzycząc, skoczył Virgilowi na plecy i starał się go przewrócić:

– Virgil! Przestań! Przestań!

Ale Virgil nie przewrócił się i nie przestał. Parsknął niezdarnie, zarzucił ramieniem do tyłu. Libero wyłożył się jak długi na drodze, twarzą ku gwiazdom. Virgil walił z całych sił zaciśniętymi, wielkimi pięściami w nogi Pierre-Emmanuela, jedną dłonią przygwoździł mu kolana do ziemi, a drugą wyciągnął z kieszeni nóż i otworzył go. Libero stanął obok, krzycząc:

– Przestań! Przestań!

Nieustające młynki, wywijane dłonią dzierżącą nóż, nie pozwoliły mu się zbliżyć. Znalazł się za plecami Virgila w chwili, kiedy Pierre-Emmanuel, czując zimny dotyk ostrza na podbrzuszu, zaczął się jeszcze głośniejszym wydzierać. Libero walił zapamiętałą kolbą pistoletu w ramiona i kark Virgila, a ten niewzruszenie odganiał się od niego jak od naprzykrzającej się muchy, zagłębiając jednocześnie palce w krocze Pierre-Emmanuela i przesuwając nóż nieco niżej. Libero przeszkadzał mu w tym, więc ciosem na odlew po raz kolejny rozłożył go na ziemi. Libero podniósł się na kolana. Usłyszał nieludzki wrzask Pierre-Emmanuela, od którego zmroziło mu krew w żyłach. Spojrzał błagalnie na ciągle nieruchomego Matthieu i krzyknął po raz ostatni:

– Virgil! Zmiłuj się! Proszę cię!

Ale krzyczał na darmo. Zwierzęce wycie nadal rozdzierało noc. Libero podskoczył jednym ruchem do pozycji stojącej, ładując jednocześnie pistolet. Wyciągnął przed siebie wyprostowane ramię i strzelił w głowę Virgila Ordioniego, który zwałił się na bok. Pierre-Emmanuel wyczołgał się spod ciała, odsunął się od niego przerażony jak od ognia i siedział z opuszczonymi spodniami, drżąc na całym ciele i jęcząc. Miał zdarte do krwi nogi i krwawą ranę na podbrzuszu. Libero podszedł do Virgila i znowu padł na kolana. Po asfalcie rozprysły się skrawki mózgu i bryzgi krwi. Trup jeszcze drgał w konwulsjach, ale nie trwało to długo. Libero zasłonił sobie oczy i stłamsił szloch. Wstał, by obejrzeć ranę Pierre-Emmanuela i ponownie usiadł obok Virgila. Ujął jego dłoń i podniósł ją do ust. Pierre-Emmanuel nadal jęczał, od czasu do czasu Libero mówił do niego cicho:

– Zamknij mordę, nic ci nie jest, zamknij wreszcie mordę.

Zasłaniał sobie oczy, szlochając, i powtarzał:

– Zamknij mordę.

Uniósł lekko pistolet w stronę Pierre-Emmanuela, który monotonicznie powtarzał:

– O Jezu, o Jezu, o Jezu, o Jezu.

Nie przestawał. Matthieu przyglądał im się, stojąc nieruchomo w świetle księżyca. Znowu ciemności zapanowały nad światem. Nic po nim nie pozostało, nawet najmniejszy ślad. Znowu z ziemi do Boga unosił się zapach krwi i triumfalny trzask łamanych kości, bo żaden człowiek nie jest aniołem stróżem swego brata. Wkrótce nastała cisza, wystarczająca, by wśród letniej nocy usłyszeć melancholijne hukanie puszczyka.

Kazanie o upadku Rzymu

Aurelie usiadła na łóżku, w którym odpoczywał dziadek. Wiedział, że teraz bez obaw może zagłębić się w niezrozumiałych marzeniach agonii, bo ona nad nim czuwa i zamiast niego wypatruje chwili śmierci. I że zmęczenie nie zakłóci jej czujnego spojrzenia. Lekarze przyznali Marcelowi Antonettiemu niebywałą przywilej umierania w domu. Mogli walczyć z chorobą, ale nie z demonem starości, z nieuchronną ruiną wyniszczonego ciała. Żołądek wypełnił się krwią. Serce pękało od siły własnych uderzeń. Wysuszone ciało rozżarzało się przy każdym wdechu świeżego powietrza i spalało powoli niczym wonna mirra w kadzielnicy. Dwa razy dziennie przychodziła pielęgniarka, by zmienić kroplówkę i potwierdzić ogrom spustoszenia. Virginie Susini przynosiła z baru posiłki, które Bernard Gratas przygotował dla Aurelie. Od wczoraj Marcel przestał jeść. Claudie i Matthieu już wsiedli do samolotu i będą tu w ciągu dnia. Aurelie wolałaby, żeby nie przyjeżdżali, ale Matthieu nalegał. Judith zostanie w Paryżu sama z dziećmi tak długo, jak będzie to konieczne. W ciągu minionych ośmiu lat wrócił na Korsykę tylko jeden raz, by przed trybunałem w Ajaccio świadczyć w procesie Libero, ale w miasteczku nie postawił wtedy nogi. Nie zmienił się. Nadał wyobraza sobie, że wystarczy odwrócić wzrok, by odesłać pewne rozdziały własnego życia w nicość. Nadal wierzy, że to, na co nie patrzymy, przestaje istnieć. Gdyby Aurelie posłuchała swego złego serca, powiedziała mu, żeby został w Paryżu. Że jest już za późno. Że może sobie darować odgrywanie komedii odkupienia. Ale nic nie powiedziała i teraz czeka. W pokoju dziadka, przy przymkniętych roletach. Nie chce, żeby zbyt ostre światło raziło go w oczy. Nie chce też, by umarł wśród ciemności. Od czasu do czasu Marcel otwiera oczy i odwraca ku niej głowę. Ona bierze go za rękę.

Kochana. Kochana.

Nie boi się. Wie, że ona jest przy nim i wyręcza go w oczekiwaniu na ciche nadejście śmierci. Z ulgą opada więc na poduszkę. Aurelie nie wypuszcza jego dłoni ze swojej. Być może śmierć przyjdzie przed przybyciem Matthieu i Claudie i wtedy przyjmą ją razem, jak komunię. Śmierć zabierze ze sobą Marcela i świat, który żyje już tylko w nim. Pozostanie fotografia, zrobiona latem 1918 roku, ale nie będzie już Marcela, który na nią patrzy. Nie będzie już chłopca w marynarskim ubranku ani czteroletniej dziewczynki, ani żadnej tajemniczej pustki, tylko zbiór nieruchomych plam, których znaczenia już nikt nigdy nie zrozumie. Tak naprawdę nikt nie wie, czym są światy. Ale czasami możemy dostrzec zapowiedź ich końca. Wyzwolenie migawki w określonym momencie świetlistego lata, szczupłą dłoń młodej, zmęczonej kobiety ściskającą dłoń umierającego dziadka lub kwadratowy żagiel statku wkraczającego do portu Hippony, niosącego z Italii niewiarygodną wieść o upadku Rzymu.

Przez trzy dni Wizygoci pod wodzą Alaryka plądrowali miasto, a na ich długie, niebieskie płaszcze spływała krew dziewczic. Augustyn przyjął tę wiadomość bez wielkiego wzruszenia. Od lat walczył z szaleństwem donatystów i teraz, kiedy zostali zwyciężeni, poświęcił cały swój zapał, by powrócili na łono Kościoła katolickiego. Wychwalał cnotę przebaczenia, ale wśród słuchających wiernych nadal panowała chęć zemsty. Obracające się w gruzy mury miast nie przerażają biskupa, bo nawet jeśli ze zgrozą odrzucił od siebie herezję, w jakiej żył jako młody, grzeszny człowiek, być może zachował głębokie przeświadczenie, że zgodnie z naukami Maniego świat jest zły i nie zasługuje na to, by opłakiwać jego koniec. Tak, Augustyn nadal wierzy, że świat pełen jest ciemnych czeluści zła, ale wie, że nie kryje się w nich nic, co przeczyłoby istnieniu wiecznego Boga. Ciemności istnieją tam, gdzie brak światła, podobnie jak zło oznacza, że Bóg odszedł z tego świata tak daleko, że jedynie Jego

łaska i nieskazitelne wody chrztu mogą wypełnić przepaść między nimi. Niech ciemność pochłonie świat, jeśli tylko pozwoli to sercom ludzi otworzyć się na Boże światło. Każdego dnia uciekinierzy przynoszą do Afryki przekleństwo rozpacz. Paganie oskarżają Boga, że nie uchronił ich miasta, mimo że stało się chrześcijańskie. Z betlejemskiego klasztoru nad całym chrześcijaństwem rozbrzmiewają lamenty Hieronima, który rozpacza nad losem skazanego na płomienie i barbarzyńskie ataki Rzymu, a w swym bluźnierczym smutku zapomina, że chrześcijanie nie należą do świata, lecz do wieczności rzeczy ponadczasowych. W kościołach Hippony wierni dzielą się swym niepokojem i zwątpieniem z biskupem. Pragną dowiedzieć się z jego ust, jaki to śmiertelny grzech ściągnął na nich tak okrutną karę. Pasterz nie może ganić owieczek za ich strach. Musi je uspokoić. W grudniu 410 roku Augustyn wszedł do nawy katedry i wkroczył na ambonę. Przeogromny tłum przybył, by go słuchać. Czekają teraz wszyscy w łagodnym, zimowym świetle, ściśnięci wokół prezbiterium, aż wzniesie się nad nimi głos, który złagodzi ich strach i cierpienie.

Posłuchajcie mnie, bracia i siostry.

My, chrześcijanie, wierzymy w ponadczasowość rzeczy wiecznych, do których sami należymy. Bóg obiecał nam śmierć i zmartwychwstanie. Fundamenty naszych miast nie wyrastają z ziemi, lecz z serca Apostoła, którego Pan wybrał, by zbudować na nim swój Kościół. Bóg nie wznosi bowiem dla nas cytadel z kamienia, dała i marmuru, On wznosi nad światem cytadelę Ducha Świętego, twierdzę miłości, która nigdy się nie podda i zawsze będzie trwać w chwale, nawet jeśli po nas pozostanie jedynie popiół. Barbarzyńcy zdobyli Rzym i wasze serca są tym zgorzone. Ale pytam was, którzy jesteście mi tak bliscy. Dlaczego wątpicie w Boga, który obiecał wam zbawienie za sprawą swojej łaski? Czyż to nie w braku waszej wiary tkwi prawdziwe zgorzenie? Płaczecie, bo Rzym płonie? Czy Bóg obiecał wam kiedykolwiek, że świat będzie trwał wiecznie? Runęły mury Kartaginy, zgasł ogień Baala, zniknęli wojownicy Masynissy, którzy zburzyli mury obronne Syrty, wszystko rozsypało się niczym piasek. Wiecie o tym przecież. A mimo to wierzyliście, że Rzym nie upadnie. Czyżby Rzym nie został stworzony przez ludzi takich jak wy? Od kiedy to wierzyacie, że mamy moc tworzenia rzeczy wiecznych? Człowiek buduje na piasku. Jeśli chcecie objąć to, co zbudował człowiek, schwytnie w ramiona jedynie wiatr. Wasze dłonie pozostaną puste, a serca smutne. I jeśli tak bardzo kochacie świat, zginiecie wraz z nim.

Wszyscy jesteście mi drodzy.

Jesteście moimi braćmi i siostrami i przykro mi patrzeć na wasz smutek. Ale jeszcze większym cierpieniem napawa mnie, kiedy widzę, że jesteście głusi na słowo Boże. To, co rodzi się ciałem, jako ciało umiera. Światy jedne po drugich przechodzą z ciemności w ciemność. Rzym mimo całej swojej chwały należy do świata doczesnego i musi odejść razem z nim. Ale wasze dusze, wypełnione światłem Bożym, nie przeminą. Ciemności ich nie pochłoną. Nie płaczcie nad ciemnością świata. Nie wylewajcie łez za zniszczonymi pałacami i teatrami. Niegodne to waszej wiary. Nie oplakujcie braci i sióstr, którzy zginęli od miecza Alaryka. Jak możecie obwiniać o ich śmierć Boga, Boga, który złożył w ofierze za nasze grzechy swego jedyne Syna? Bóg oszczędza tego, kogo chce. A ci, których wybrał, by umarli jako męczennicy, radują się teraz, że nie oszczędzono ich ciała i pozwolono im żyć wiecznie w rozkoszy niebiańskiej i światłości Bożej. Tylko to obiecano nam, chrześcijanom.

Drodzy moi.

Niech ataki pogańskie was nie niepokoją. Tyle barbarzyńskich miast upadło i nie ochroniły ich żadne idole. Ale ty, czy ty wielbisz bożki z kamienia? Przypomnij sobie, kto jest twoim Bogiem. Przypomnij sobie, co ci zwiastował. Zapowiedział, że świat polegnie od ognia i miecza, obiecał ci zniszczenie i śmierć. Dlaczego przeraża cię, że proroctwa się spełniają? On obiecał ci również powrót swego Syna w chwale, obiecał, że z ruin i zgłiszcz wyłoni się królestwo wiecznej światłości, które będzie również twoim udziałem. Dlaczego więc płaczesz, zamiast się radować, ty, chrześcijanin, który żyjesz w oczekiwaniu na koniec

świata? Może nie powinniśmy ani płakać, ani się radować. Rzym upadł, a ziemia ani niebo nawet nie zadrżały. Spójrzcie wokół. Rzym upadł, ale czy nie jest tak, jakby nic się nie wydarzyło? Szlak gwiazd się nie zmienił, noc ciągle następuje po dniu i w każdej chwili teraźniejszość wylania się z nicości i zamienia się w nicość. Stoicie przede mną, a świat nieustannie posuwa się w kierunku końca, który przyjdzie o nieznannej godzinie. Bóg nie wyjawia nam wszystkiego. Ale to, co nam wyjawia, wystarczy, by wypełnić nasze serca i wzmocnić nas w cierpieniu. Nasza ufność w Jego miłość jest tak wielka, że chroni nas przed zwątpieniem czyhającym na tych, którzy nigdy jej nie poznali. Dzięki niej nasze serca pozostają czyste i radują się Chrystusem.

Augustyn przerwał na chwilę. Dostrzegł skupione twarze. Na wielu wiernych spłynął spokój. Ale słyhać jeszcze powstrzymywane szlochy. Tuż obok młoda kobieta unosi ku niemu zamglone Izami oczy. Biskup spogląda na nią surowym wzrokiem zagniewanego ojca i widzi, że przez łyzy uśmiecha się do niego zagadkowym uśmiechem, więc tuż przed podjęciem mowy wykonuje nad nią gest błogosławieństwa. Kiedy dwadzieścia lat później będzie leżał na podłodze absydy, a klęczący wokół współbracia będą się modlili o zbawienie jego duszy, co do którego nikt nie ma wątpliwości, wspomni ten właśnie uśmiech.

Augustyn umierał w rodzinnym mieście, które od trzech miesięcy oblegały oddziały króla Wandalów Genzeryka. A może w Rzymie w 410 roku nie wydarzyło się nic, tylko zachwiało się centrum grawitacji, i to lekkie drżenie wywołało następne i w końcu popchnęło Wandalów poprzez Hiszpanię, przez morza aż ku murom Hippony. Augustyn jest u kresu sił. Umartwienia tak go osłabiły, że nie może się podnieść. Nie słyszy już zwycięskich okrzyków wznoszonych przez armię Wandalów ani przerażonych głosów wiernych, którzy schronili się w nawie. W jego wycieńczonym umyśle katedra stała się skąpaną w świetle i ciszy przystanią, osłanianą ręką samego Boga. Wkrótce Wandalowie rozpierzchną się po całej Hipponie. Wśród stukotu końskich kopyt zaleją ją brutalnością i ariańską herezją. Być może zniszczą wszystko, co kiedyś, jako słaby grzesznik, ukochał. Ale on wygłosił już tyle kazań na temat końca świata, że nie powinien się teraz o to martwić. Mężczyźni będą umierać, kobiety będą gwałcone, barbarzyński płaszcz nie raz jeszcze zanurzy się w przelanej krwi. Na posadzce, na której spoczywa Augustyn, widnieją znaki Chrystusa: Alfa i Omega, więc dotyka tych liter koniuszkami palców. Obietnica Boga spełnia się, a dusza w agonii jest słaba, łatwiej ją skusić. Co Bóg może przyobiecać ludziom. On, który tak mało o nich wiedział, że pozostał głuchy na rozpacz swego Syna, nigdy ich nie rozumiał, nawet stając się jednym z nich? I jakże ludzie mogą ufać obietnicom Boga, jeśli nawet Chrystus zwątpił w Jego boskość? Augustyn zadrżał na zimnej, marmurowej posadzce i w chwili, kiedy jego oczy miały otworzyć się na wieczną światłość panującą tam, gdzie nigdy nie wtargnie żadna armia, pomyślał z trwogą, czy ci zalani łzami wierni, których jego kazanie o upadku Rzymu nie pocieszyło, nie zrozumieli tych wypowiedzianych kiedyś słów lepiej niż on sam. Bo to prawda, że światy mijają, jeden po drugim wylaniają się z ciemności i w ciemność odchodzą. Ale to ich następowanie po sobie może nic nie oznacza. Ta nieznośna hipoteza rozpala do bólu duszę Augustyna, z którego ucieka ostatnie tchnienie. Umiera wśród swych braci i pragnie spocząć w Panu. I wtedy przypomina sobie tajemniczy uśmiech przez łyzy, który podarowała mu prostoduszna, młoda, nieznajoma kobieta i który stał się dla niego świadectwem końca i jednocześnie początku, bo zaprawdę jedno kryje się w drugim.